

JAK RYSZARD PETRU Z PASJĄ NISZCZY NOWOCZESNĄ
KULISY

PROTEST NIEPEŁNOSPRAWNYCH.
CZY TO NARZĘDZIE OPOZYCJI

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 21 (286) 2018
21–27 maja
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

BEATA SZYDŁO

POLITYKA NIE JEST DLA GRZECZNYCH DZIEWCZYNEK

PIERWSZY TAKI WYWIAD!
WICEPREMIER MÓWI DOROCIE ŁOSIEWICZ
O TRUDNYCH CHWILACH PO DYMISJI,
RELACJACH Z PREZESEM KACZYŃSKIM,
PREMIEREM MORAWIECKIM,
A TAKŻE O PRZEPISIE NA ROSÓŁ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

AŻ 381 NAGRÓD!

KONKURS

plastyczny dla dzieci

POLSKA, MOJA OJCZYZNA

VI edycja konkursu w 100. rocznicę odzyskania przez Polskę Niepodległości

Konkurs plastyczny dla dzieci w wieku: **5-9 lat** • **10-16 lat**

1. Wykonaj pracę plastyczną swoją ulubioną techniką na temat „Polska, moja Ojczyzna". Możesz skorzystać z pomocy rodziców.
2. Dołącz **2 kupony konkursowe** z tygodnika „Sieci". Obok drukujemy ostatni, ale oba kupony mogą pochodzić z tego samego wydania, więc wystarczy kupić dwa egzemplarze tygodnika. Kupony wypełniają rodzice lub opiekunowie.
3. Wyślij pracę z dopiskiem „konkurs plastyczny" na adres redakcji: FRATRIA Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa. **Termin dostarczenia prac: 25 maja 2018 r.**
4. Sprawdź, co wygrałeś! **Listę nagrodzonych opublikujemy 4 czerwca 2018 r.** w tygodniku „Sieci" i na www.wsieciprawdy.pl.

REGULAMIN I PEŁNA LISTA NAGRÓD NA **www.wsieciprawdy.pl**

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PARTNERZY GŁÓWNI:

PGE Polska Grupa Energetyczna

PZU

GRUPA LUXMED

PARTNERZY:

ATAS

KOMPAS

GRANNA

wydawnictwo FRONDA

Prószyński i S-ka

Centrum Bajki w Pacanowie

ENERGY LANDIA

FARMA ILUZJI PARK EDUKACJI I ROZRYWKI

HULAKULA ROZRYWKOWE CENTRUM MIASTA

PARK ROZRYWKI JULINEK

PARTNERZY INSTYTUCJONALNI:

FUNDACJA NIEPODLEGŁOŚCI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ





WYGRAJ JEDNĄ Z **381** NIESAMOWITYCH NAGRÓD:



2 wakacyjne obozy o wartości 2 000 zł każdy od Biura Turystyki Aktywnej KOMPAS



2 zagraniczne wyjazdy językowe o wartości 2 500 zł każdy od firmy ATAS

84 vouchery rodzinne do miejsc rozrywki: Hulakula, Park Rozrywki Julinek, Farma Iluzji, Energylandia, Centrum Bajki w Pacanowie o wartości 130-450 zł każdy





52 zestawy gier dla całej rodziny o wartości 140-210 zł każdy od Granny



45 zestawów książek od wydawnictwa Prószyński i S-ka o wartości 65 zł każdy





45 zestawów książek od Wydawnictwa Fronda o wartości 45-125 zł każdy



100 zestawów komiks + płyta o wartości 50 zł każdy od Fundacji Niepodległości

18 zestawów komiksów o wartości 135 zł każdy od Instytutu Pamięci Narodowej

33 gry o wartości 45-54 zł każda





SIECI KUPON KONKURSOWY **NR 4**

imię i nazwisko rodzica/opiekuna . . . . . .

imię i nazwisko dziecka . . . . . .

data urodzenia i wiek dziecka . . . . . .

dokładny adres zamieszkania . . . . . .

. . . . . .

e-mail rodzica/opiekuna . . . . . .

telefon rodzica/opiekuna. . . . . .

Akceptuję regulamin konkursu.

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych oraz umieszczenie ich w informatycznej bazie danych Fratria Sp. z o.o. w rozumieniu ustawy z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (Dz.U. 2016 r., poz. 922) w celach prowadzenia konkursu, wyłaniania zwycięzców i przyznawania, wydawania, odbioru i rozliczania nagród.

☐ * Wyrażam zgodę na umieszczenie moich danych osobowych w bazie danych Fratria Sp. z o.o., która będzie ich administratorem, na ich przekazywanie osobom trzecim, a także na ich przetwarzanie zgodnie z ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (Dz.U. 2016 r., poz. 922) w celach marketingowych. Oświadczam, że zostałam/em poinformowana/y o prawie wglądu do swoich danych i możliwości żądania uzupełnienia, uaktualnienia, sprostowania oraz czasowego lub stałego wstrzymania ich przetwarzania lub ich usunięcia.

* pole do akceptacji

data . . . . . podpis rodzica lub opiekuna . . . . . .

eprasa.pl d83cf5c87b

SIECI spis treści



29 Krótkie życie dziewic politycznych
Maja Narbutt



49 Skazani na sukces
Jolanta Gajda-Zadworna



68 Kłótnia o Iran
Jan Rokita

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

9 **MARSZ AUTOKARÓW**
Krzysztof Feusette

12 **TALENT PITYŃSKI**
Jan Pietrzak

13 **LUTER LISICKIEGO**
Bronisław Wildstein

15 **LUDZKIE SPOJRZENIE**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **Z BEATĄ SZYDŁO**
rozmawia Dorota Łosiewicz

KRAJ

26 **OPOZYCJA W OPOZYCJI DO OPOZYCJI**
Stanisław Janecki

29 **KRÓTKIE ŻYCIE POLITYCZNYCH DZIEWIC**
Maja Narbutt

32 **WKRĘCENI W POLITYKĘ**
Konrad Kołodziejski

35 **Z WALDEMAREM PARUCHEM**
rozmawia Jacek Karnowski

40 **ŻEGNAJ, DEMOKRACJO, WITAJ, OLIGARCHIO**
Piotr Ikonowicz

42 **Z MACIEJEM GOLUBIEWSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

46 **MAFIA POD OCHRONĄ PAŃSTWA**
Marek Pyza

SIECI KULTURY

49 **SKAZANI NA SUKCES**
Jolanta Gajda-Zadworna

52 **RECENZJE**
Adam Ciesielski

53 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

54 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

56 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

60 **PRZEKŁUTY BALON REWIZJONIZMU**
Piotr Zaremba

HISTORIA

64 **TAJEMNICA CZARNEGO TRAKTU**
Marcin Wikło

ŚWIAT

68 **KŁÓTNIA O IRAN**
Jan Rokita

72 **POWRÓT AZJATYCKIEGO ORBÁNA**
Piotr Skwieciński

SPORT

74 **LIGA MŁODYCH TALENTÓW**
Cezary Kowalski

GOSPODARKA

75 **EUROPEJSKI KONGRES GOSPODARCZY 2018**
Maciej Wośko i Stanisław Koczot

78 **CZAS NA KOMISJĘ ŚLEDCZĄ**
Janusz Szewczak

KUCHNIA

86 **MOJE SMAKI: MIKOŁAJ MARCELA**
Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

88 **DWA NURTY**
Piotr Skwieciński

89 **DOOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska

90 **PRZYMIARKA DO KONSTYTUCJI – CZ. II**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **KATEGORYCZNIE, RADYKALNIE, FUNDAMENTALNIE**
Aleksander Nalaskowski

93 **FULOP, PRZEPROŚ**
Wiktor Świetlik

94 **TYTANI SZALEŃSTWA**
Robert Mazurek

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

98 **ZASÓB LIMITOWANY**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

12/0418/F, 22/0418/F, 29/0418/F, 30/0418/F, 33/0417/F

eprasa.pl d83cf5c87b

Turboliberalne oszustwo

Nie ma chyba nikogo, kto nie chciałby polepszenia losu osób niepełnosprawnych i ich rodzin. Widać jednak, że protest w Sejmie nie taki ma cel. Problemem jest nie tylko kierowanie nim przez polityków opozycji – może się w końcu zdarzyć, że posłowie niechętni rządowi wspierają dobrą sprawę. Prawdziwe kłopoty są trzy.

Po pierwsze – bezwzględne trwanie przy postulacie wyłącznie „żywej gotówki", całkowita blokada dialogu. Symboliczny był moment, gdy panie nawet nie chciały przeczytać rządowej propozycji.

Po drugie – bezwzględne i coraz bardziej brutalne prowokacje wobec marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego, który stanąwszy wobec próby blokady parlamentu, stara się znaleźć kompromis między szacunkiem dla protestujących a koniecznością pracy. Szantaż moralny wobec niego, polegający na używaniu niepełnosprawnych dzieci jako tarana wymuszającego rozszerzenie protestu o celebrytów opozycyjnych, trudno zaakceptować.

No i trzeci czynnik – protest wspierają przedstawiciele nie jakiejś tam opozycji, ale opozycji turboliberalnej. To są środowiska, które na pewno nie dadzą żadnej słabszej grupie nawet złotówki na głowę. Przez całą III RP zagarniali wyłącznie dla siebie. I ci ludzie używają dziś grupki niepełnosprawnych do bicia w rząd, który przełamując ogromne opory, przekierował kilkadziesiąt miliardów rocznie na cele społeczne!

Szczyt cynizmu został osiągnięty.

Michał Karnowski

Tusk, Trump i polski interes

Kiedy Donald Tusk odjeżdżał do Brukseli, związani z ówczesną partią rządzącą polittechnolodzy lansowali narrację, w której myśl nowy przewodniczący Rady Europejskiej będzie najlepszym gwarantem realizowania przez Unię Europejską polskiego interesu. Chwilę potem ministrem spraw zagranicznych został Grzegorz Schetyna, a nieżyczliwi mu kręcili nosem: jak to, szef MSZ bez doświadczenia w sprawach zagranicznych? Na co platformerscy ortodoksi potrafili odpowiedzieć: to już nie ma znaczenia, bo od teraz prawdziwy polski minister spraw zagranicznych będzie w Brukseli.

Zestawmy te nadzieje z dniem dzisiejszym. Jaki może być ważniejszy polski interes niż przeciwdziałanie rozpadowi więzi między Europą a USA? Zagrożonych przez, z jednej strony, niebanalną osobowość prezydenta Ameryki, a z drugiej – przez zoologiczny antytrumpizm zachodnioeuropejskich elit?

Jak pod tym względem zachowuje się Tusk? Bardzo wyraźnie przejął narrację (a może i punkt widzenia) tego drugiego politycznego podmiotu. Przykłady można by niestety mnożyć. Najnowszy, czyli słynne: „Patrząc na ostatnie decyzje prezydenta Trumpa, można pomyśleć: mając takich przyjaciół, nie potrzebujemy już wrogów", dopełnia czary. To nie są słowa kogoś próbującego wypośrodkować.

Czy jest to zgodne z interesem Polski? To, niestety, jedynie retoryczne pytanie.

Piotr Skwieciński



eprasa.pl d83cf5c87b

Z życia koalicji

To słuszne chwalić samego siebie, zwłaszcza jeśli nie znajduje się innych chwalców – tak rzekomo powiedział Erazm z Rotterdamu, który niniejszym debiutuje w naszej rubryce, a przynajmniej nam się wydaje, że debiutuje. Dziś wydanie absolutnie nadzwyczajne, bo świętujemy 20. urodziny i z tej okazji zaprosiliśmy naszych bohaterów na imprezkę w miejscu szczególnym, bo położonym między izbą wytrzeźwień przy ul. Kolskiej a Powązkami. Nie wiemy, gdzie kończyli niektórzy z naszych gości.

Oczywiście doceniamy wszystkich, którzy przybyli, naprawdę, ale król mógł być tylko jeden. W prawdziwą ekscytację wprawił wszystkich Zdzisław Kręcina, postać kultowa, wieloletni sekretarz generalny PZPN. Selfie z Królem Zdzisławem chciał mieć każdy. Aha, Zdzichu – tak się przedstawiał – do swojego stolika wziął butelkę czystej, polewał i debatował. Kolegów intelektualistów z dawnego „Plusa Minusa" przekonywał, że jest doktorem socjologii, żonę Mazurka, że Kanadyjczykiem, a wszystkim udowodnił, że jest boski.

Pod nieobecność Andrzeja Dudy (zapamiętamy) i Stanisława Karczewskiego, któremu zabroniła przyjść żona (pan marszałek miał następnego dnia Pierwszą Komunię – swoją lub wnuka – i nie mógł się stawić na nią sfatygowany), najwyższym rangą przedstawicielem władz był Mateusz Morawiecki. O dziwo, choć ojciec nie widział, to jednak nie pił. Zupełnie jak panowie z BOR.

Z wicepremierów godnie przechadzał się Piotr Gliński. Otoczony był grupką wyznawców, ale okiem socjologa łypał na zadziwiająco różnorodne towarzystwo. Zdążył też zrugać w krótkiej rozmówce Kosiniaka-Kamysza, po której lider PSL udał się do wianuszka dziewcząt, a Gliński pozostał ze starymi dziadami. Za to wicepremier Szydło nie przyszła, ale w zastępstwie przysłała nam swego szefa gabinetu z prezentami. Rozczarujemy państwa – prezenty nie były do picia, a szefa gabinetu odesłaliśmy z powrotem.

Do picia były za to podarunki – choć my wcale nie prosiliśmy o prezenty! – od minister Jadwigi Emilewicz, która zna nas jeszcze z czasów przedrubrykowych. Był też Jerzy Kwieciński, inny minister, którego nazwy resortu za nic nie jesteśmy w stanie powtórzyć. Nawet na trzeźwo, ale miło, że wpadł.

Najwytrwalszym tancerzem okazał się inny minister, a nasz pierwszy naczelny z „Nowego Państwa", Adam Lipiński. Nas zaciekawiło co innego. Otóż Lipa w pewnym momencie z imprezy zniknął, zostawiając na niej żonę, legendarną Halinkę, po czym wrócił jak gdyby nigdy nic i zabrał się do tańców. Jak przystało na ministra od równości, Lipiński pił i tańczył równo.

Z kandydatów na prezydentów miast od początku odnotowano obecność Miry Stachowiak-Różeckiej (Wrocław) i Jacka Żalka (Białystok). Wpadł też wprost z własnej imprezy Patryk Jaki, ale nie doszło do spodziewanego spotkania na szczycie, bo Rafał Trzaskowski przysłał kajającego się esemesa, że nie dotrze, bo coś tam. Może nie wiedział, jak dojechać, bo to w końcu poseł z Krakowa?

Każda impreza ma swą dynamikę, w szczycie naszej gości było zdrowo ponad 150 sztuk, ale ciekawe rzeczy działy się też, kiedy już dniało. I tak koło pół do czwartej rano Tadeusz Cymański przestał na chwilę konferować z Królem Zdzisławem (przewidujemy awans Pomezanii Malbork wprost z V ligi do ekstraklasy) i rzucił znamienne słowa: „Ja też wpadłem tylko na godzinkę".



PRZEGLĄD

Mazurka

eprasa.pl d83cf5837

Z życia opozycji

Zasadniczo na przyjęciu wszyscy sympatycznie z sobą rozmawiali, acz był jeden wyjątek. Tego dnia Ryszard Petru wyszedł z Nowoczesnej, a Joanna Scheuring-Wielgus uczyniła to dzień wcześniej. Nic dziwnego, że oboje nie padli w objęcia Katarzyny Lubnauer. Ona również nie garnęła się do uścisków i od byłych kolegów partyjnych wolała towarzystwo kiełbasy z grilla (przewodnicząca Nowoczesnej uwielbia dobre mięso, co jest akurat dość konserwatywne). Wszyscy razem mistrzowsko się unikali.

A Petru – co tu ukrywać – nam wygarnął. – Opisujecie mnie okropnie złośliwie – wypalił. – Ale my wszystkich opisujemy złośliwie – broniliśmy się. – Ale mnie wyjątkowo – obstawał przy swoim pan Ryszard. No cóż, wreszcie mieliśmy okazję przyznać mu rację.

Platformę Obywatelską reprezentowali Borys Budka i Sławomir Neumann. Właśnie przewodniczący klubu parlamentarnego PO odbył najbardziej zaciekłą debatę polityczną wieczoru. Otóż w kolejce do toalety spierał się on o edukację z żoną Zalewskiego. Co ciekawe, żadne z nich nie miało świadomości, kim jest rozmówca.



TYGODNIA

Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Podczas imprezy idealnie było widać, że PSL pod przywództwem Władysława Kosiniaka-Kamysza ma szansę na nowy elektorat. Lider ludowców przez całą imprezę był bowiem otoczony nie przez chłopów, ale baby. I to jakie! Wianuszek najmłodszych i najatrakcyjniejszych lasek nie odstępował go na krok. A to niby my byliśmy bohaterami wieczoru. Skandal!

Poseł Marek Jakubiak nie dość, że przybył z przepiękną żoną, to jeszcze ofiarował nam beczkę... Nie, nie piwa. Beczkę whisky własnej produkcji! Trunek ten był jednym z przebojów imprezy. Acz nie skosztował go kolega partyjny Jakubiaka – Paweł Kukiz pił wyłącznie wodę. Aha, byli też inni, którzy wzgardzili whisky. Król Zdzisław odmawiał czegokolwiek kolorowego, a i dawno niewidziany Krzysztof Janik tradycyjnie preferował czystą. Cóż, Janik to była zawsze konserwatywna frakcja SLD.

W nielicznym – na szczęście! – gronie abstynentów byli, prócz Kukiza, Aleksandra Jakubowska i Robert Kwiatkowski. Bardzo chcieliśmy, by ten ostatni udzielił kilku wskazówek Jackowi Kurskiemu, jak robić apolityczną telewizję. Niestety, Kurski na imprezę nie dotarł, co zostanie zapamiętane, a konsekwencje zostaną wyciągnięte. Był za to inny były prezes TVP, Bronek Wildstein, ale on chyba z Kwiatkowskim nie gaworzył.

Spóźniony przybył natomiast Leszek Miller, entuzjastycznie witany przez dawną gwiazdę telewizyjnej „Panoramy" Wojciecha Nomejkę. Przyjemnie było też patrzeć, jak były premier gawędzi z Markiem Królem. Ktoś na widok Millera zawołał „Właśnie miałem do ciebie dzwonić!". W odpowiedzi Miller opowiedział taką historyjkę: „Amerykańscy naukowcy zbadali, jakie jest najczęściej powtarzane na świecie kłamstwo, i wiecie, jakie to kłamstwo?" – zapytał eksszef SLD. Nikt nie wiedział, więc Miller odpowiedział sam: „Właśnie miałem do ciebie zadzwonić". O dziwo, po imprezie sam do nas zadzwonił i wyrażał coś na kształt zachwytu.

Paweł Piskorski i Janek Artymowski ze Stronnictwa Demokratycznego chcieli sobie oczywiście zrobić selfie ze Zdzisławem Kręciną. I poprosili nas o pomoc w tej kwestii. Odmówiliśmy. Tacy niby liberałowie, a potrzebują pomocy społecznej. Ale chyba dali radę.

Nieboszczkę Unię Wolności reprezentował na imprezie Andrzej Potocki. My go uraczyliśmy alkoholem, a on nas świetną historią, jak to kiedyś na święcie „Gazety Wyborczej" usadzono go przy Miłoszu. Prawdziwym Miłoszu, z krzaczastymi brwiami i Noblem. No więc Potocki jakoś zagaja, żeby nie wyjść na dzikusa. A Miłosz podsuwa mu kielicha i pyta: „No i jakże się pan bawi na święcie »Trybuny Ludu«?".

eprasa.pl d83cf5c87b

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Zróbcie wszystko, by żadna osoba z PiS nie weszła do żadnego samorządu!" – krzyknęła do kamer jedna z pań protestujących w Sejmie. No to prawie wszystko jasne. Tym bardziej że panie ostro zaprotestowały również przeciwko daninie solidarnościowej, którą mają płacić obywatele zarabiający powyżej 1 mln zł rocznie. Skąd ta troska o najbogatszych? Może z Nowoczesnej, która protest nakręciła?

W PiS myślą, co z tym wszystkim zrobić. Na stole dwie opcje. Pierwsza to ustąpić, wydzielić ćwierć miliona niepełnosprawnych w najtrudniejszej sytuacji i dać im żywą gotówkę, co będzie kosztowało 1 mld zł rocznie. Druga opcja zakłada nieuleganie szantażowi i być może bardziej zdecydowane działania porządkowe. W każdym razie coś zrobić trzeba, bo protest powoli przeradza się w rodzaj „Majdanu wewnętrznego".

Protestujących ***chciała odwiedzić premier Szydło***, ale nie dostała pozwolenia, więc nie odwiedziła. Była premier jeździ za to po kraju. Podczas spotkania w Zakopanem napadła na nią ostro jakaś pani. TVN zaczął kręcić, szykował się smakowity kąsek. Ale niestety, po chwili ta sama pani zaczęła wyzywać i TVN, i przyjaciół tej telewizji. Kamery więc stanęły. Opozycja medialna ceni wariatów, ale takich bardziej kumatych.

Opozycja polityczna zaś wykazała się skrajną niekompetencją. Każdy porządny polityk wie, że gdy robi się spotkanie, to nie wynajmuje się dużej sali; lepsza mała, bo nawet jeśli wszyscy się nie zmieszczą, to pójdzie sygnał, że na spotkania walą tłumy. Podobnie z marszem: najlepsza jest wąska ulica z wysokimi budynkami. A Schetyna zaszalał i wybrał pl. Zamkowy. Zamiast wielkiego marszu była smutna pikieta.

„Wyborcza" zrobiła sondaż wśród swoich czytelników i wyszło jej, że 78 proc. „dość często" lub „bardzo często" wstydzi się tego, że jest Polką lub Polakiem. Jeszcze więcej, bo aż 88 proc., rzadko lub nigdy czuje się dumnym z bycia Polakiem. Czyż nie perełka? Ale najlepsze, że oni ten sondaż sami opublikowali! Może chcieli się pochwalić, że choć narodu nie udało się w całości ogłupić, to swoim wyznawcom mózgi i dusze wyprali do cna? Ale wyszło, jak wyszło: sami pokazali, że są już tylko smutną, sfrustrowaną quasi-sektą.

Naczelny „Wyborczej" ***Adam Michnik ogłosił w Wiedniu:*** „Gdyby żył Joseph Goebbels, robiłby taką telewizję publiczną, jaką oglądamy w Polsce". Dodał, że „TVP potrafi zaszokować nawet w porównaniu z telewizją moskiewską". Po pierwsze Goebbels, robiłby chyba lepszą propagandę, a po drugie, w Polsce najważniejsza szkoła propagandy mieściła się przy Czerskiej. Tam wszystko się narodziło: fake newsy, demonizowanie przeciwnika, konsekwentne kampanie. Michnik może mieć pretensje wyłącznie do siebie.

A tymczasem na pożegnanie z dużą polityką ***ludzie Nowoczesnej rozbawiają Polaków***. W roli głównej Ryszard Petru. „Dług? Jak chcą, to niech spłacają" – to komentarz do bałaganu finansowego, który zostawił po sobie w partii. A do tego wrzutki typu: „Nowoczesna zostanie wchłonięta przez Platformę". Lubnauer odpowiedziała celnie: „Bałabym się wejść w nowy projekt z kimś takim". Święta prawda: Polska w rękach Leppera byłaby bezpieczniejsza niż w rękach Petru.

Do wyborów daleko, ale też blisko. „To już czas kampanii, czas liczenia procentów, a nawet procencików. Żaden projekt mogący zrazić dużą grupę wyborców już nie przejdzie" – stwierdził niedawno nieco melancholijnie bardzo ważny polityk PiS. Ostatnim odważnym ruchem była ustawa o łowiectwie, ale na tym koniec. Na lodzie zostaną więc, jak wszystko wskazuje, biedne norki, no i Kurski, bo abonamentu szybko nie będzie.

Jeden z naprawdę ważnych polityków SLD zarzekał się w rozmowie z pewnym dziennikarzem, że jego partia nie wejdzie po wyborach w koalicję z platformersami: „Z tymi oszustami? W życiu!". Padła więc propozycja zakładu – o 100 tys. zł. Dla dziennikarza to było za dużo, zaproponował stawkę znacząco niższą – dobry obiad. SLD-owiec skrzywił się: „No nie, o obiad to się w tej sprawie zakładał nie będę". Więc może to tylko kwestia ceny?

Zastępczyni Tomasza Lisa w „Newsweeku" ***Renata Kim*** pochwaliła się fotką z flagą gejowską na tle pomnika smoleńskiego, którą zatytułowała: „Schody do nieba". PZPR potrafiła z porządnych ludzi zrobić świnie. Platforma miała talent do zarażania każdego nikczemnością. Tomasz Lis podobnie: przerabia ludzi w coś, co trudno rozpoznać. W tej redakcji naprawdę muszą się dziać mocne dramy. Może to taki dziennikarski „Dom zły"?

Pokład rządowego embraera, wylot na ważne spotkanie za granicę. Nastroje dobre, wesoło. Kapitan przez głośniki, jak to w zwyczaju, mówi: „Dzień dobry", i dalej: „Witam na pokładzie samolotu Tu sto pięć...". Błyskawicznie orientuje się, że się pomylił i zmienia na embraer. Ale nastrój prysł. TO wciąż bardzo boli.

Sygnalista

eprasa.pl d83cf5c87b

Marsz autokarów

Ciemno. No to poszliśmy. Na razie na autokar, ale najtrudniejszy pierwszy krok. Za pięć minut wyjeżdżamy na rewolucję – rząd pod sąd, Kaczora powiesić, Duda obłuda i te sprawy. Wystarczy już tych sondaży i mediów, które pytają o panienki z mieszkania sekretarza Gawłowskiego, podczas gdy on nie może się bronić, ponieważ, po primo: jest osadzony, po secundo: biorąc mecenasa Giertycha, zrobił się w konia totalnie. Niestety autokaru ciągle nie ma. Po krótkiej kłótni próbujemy zachować spokój. Bez nas nie pójdą.

Świt. Coś mi się wydaje, że zanim my się przedrzemy do stolicy, będzie po wszystkim. Autokar nie przyjedzie. Podobno za mało było chętnych od nas z Dzierpiszewa, więc teraz musimy się dostać do Pacanowic na własną rękę i tam, spod warzywniaka obok dawnego pekaesu, odbierze nas Jurek. Ten, co jego brat chodził do Platformy, a teraz siedzi. Na razie w Urzędzie Miejskim. Ustalamy z Pamelą i Narcyzem, że jedziemy na razie jego „betą", a za paliwo wyciągniemy coś z centrali na miejscu. Najwyżej Kijowskiego się poprosi, żeby pożyczył z puszkowego.



KRZYSZTOF FEUSETTE

Poranek. Masakra. Okazuje się, że Pamela coś pochrzaniła, i warzywniak jest, ale w Łąkołodach, nie Pacanowicach, ale stamtąd nikt nie jedzie, więc w sumie dobrze żeśmy trafili, tylko musimy wyjść na rogatki, pod stację benzynową. No i mamy się nie martwić, czy zdążymy, bo na początek i tak mają występować ci trzej aktorzy. Pszenniak, Sylwester i Oldbłyski. Czy jakoś tak. Sylwester to nawet w Pożarze w Burdelu występował, więc nie byle kto.

Południe. Docieramy na miejsce po 10 godzinach. Nic to. Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie. Na razie jest science fiction. Czyli fantastyczna atmosfera. Ludzie powoli się zbierają. To znaczy podobno są już wszyscy, ale nie uwierzę, żebyśmy pod wieczór do tego miliona nie dociągnęli. Wszędzie niebieskie flagi, jak morze albo niebo nawet, zwłaszcza że to kółko na środku to przecież jest z gwiazdek. Na Pszoniakowskiego i Serpentyna nie zdążyliśmy, za to Pamela twierdzi, że o Olbrzymskiego nie tylko, że się otarła, lecz nawet słówko z nimi zamieniła. Jakie konkretnie, nie wie, bo tamtemu zaraz po występie dykcja siadła o 40 proc.

O, jest Schetyna! Jak zaraz charyzmą błyśnie, to się w autokarach siedzenia zaczną same rozkładać. A jak nawet ktoś przetrzyma, to go potem Rzepliński w pół minuty ukołysze. Dlatego nie ludzie, ale hasła się liczą. I są nowe. Kaczor jako Stalin na transparencie, „Ojczyznę wolną racz nam wrócić... Jarku" – taka drwinka z „Boże, co Polskę" i reszty katotalibanu. Bo państwo od Kościoła musi być rozdzielone! Co innego bp Pieronek albo ks. Lemański, w ostateczności ks. Boniecki, egzorcysta amator, który tak pięknie wsparł Nergala, gdy ten palił Pismo Święte i wychwalał morderców. Ich Kościół, otwarty na antykatolicyzm, na „Klątwę" i tym podobne to jest zupełnie inna rozmowa.

13.00. No to ruszamy – z posad bryłę świata. Babka przed nami, jakieś 70 wiosen, chciała waginę wyciągnąć, to znaczy transparent z poprzedniej imprezy, ale żeśmy ją przekonali, że w ten sposób dostarczy paliwo rządowym mediom. W ogóle ciężki kawałek chleba jest z tym maszerowaniem. Raz nam mówią, żebyśmy się zagęścili, bo TVN chce bliskie kadry nagrać, potem – żebyśmy się rozleźli maksymalnie, bo kręcą na żywo z helikoptera. W sumie to chyba częściej na boki chodzimy niż do przodu.

13.15. Jakiś facet przed chwilą krzyczał, że jest nas dużo, dużo więcej niż przed rokiem, ale okazało się, że mu się imprezy pomyliły, i myślał, że jest na spotkaniu klasowym. Martwię się frekwencją. Ratusz podaje – to znaczy przecieki takie mamy, bo wciąż jeszcze liczą – że mają mediom „ok. 50 tys." rzucić. Chyba łapówki, żeby nas przypadkiem nie policzyły. À propos – dlaczego myśmy tego marszu nie połączyli z jakąś zbiórką na Staszka Gawłowskiego? Przecież mogliśmy kwestować wśród gapiów, skoro wiadomo, że posłom pensje obcięli, a taki Trzaskowski nawet grosza już nie wrzuci po traumie ze staruszką. Dramat filantropa w kraju zawistników. Z drugiej strony może jednak na Staszka coś by dołożył? Przecież Gawłowska twierdzi, że najbardziej to on się z przyjaciółmi lubi bawić! Chyba w kotka i myszkę. Bo przecież nie w policjantów i złodziei.

13.40 i już po marszu. Szału można dostać. Po to żeśmy tyle godzin jechali, żeby nawet godziny lekcyjnej z tego nie było? Pytam Pamelę, co ratusz mówi, a ta tylko gałkami przewraca, żebym przy ludziach nie pytał. Na ucho mi sprzedała, że internauci wszystkich jakąś fachową metodą policzyli i wyszło im całe 6 tys. No i fajnie. Miała być trójka i sześć zer, a wyszła szóstka i trzy zera. Jak mówi Trzaskowski: czeski błąd. Z drugiej strony – co w tym dziwnego? W końcu kiedy człowiek przeliczy te 100 autokarów Platformy plus te niby 30, które kodziarze mieli zapełnić, i pomnoży te 130 środków transportu przez 40 pasażerów w każdym, to mu nawet ze stołeczną młodzieżówką więcej niż 6 tys. nie wyjdzie za chińskiego Vincenta.

Na szczęście Kaśka Lubnauer zapowiedziała, że wszyscy, jak tam stoimy, damy kiedyś Kaczyńskiemu mata, więc jednak z jakąś nadzieją człowiek wraca do tej strasznej rzeczywistości. Od Pacanowic na piechotę.

eprasa.pl d83cf5c87b

Palestyna

Kapuściński się mylił

Ludzie Zachodu, w tym Polacy, zszokowani nadmiernym, jak się wydaje, użyciem ostrej amunicji przez siły izraelskie broniące granicy z Gazą przed przerwaniem jej przez bojowców Hamasu i zorganizowane przez nich tłumy, mają tendencję do niedostrzegania istoty sprawy.

A więc po pierwsze, nie mamy tu do czynienia ani z pokojowymi demonstrantami, ani z migrantami, tylko z próbą inwazji. Gdyby – teoretycznie – Izraelczycy dopuścili do przerwania granicy, to te tłumy z Gazy zaczęłyby masowo mordować izraelską ludność cywilną. I nie może mieć co do tego żadnych wątpliwości nawet ktoś, kto – jak ja – uważa, że strzelanie z broni palnej do agresorów w taką broń niewyposażonych powinno być ograniczone do najgroźniejszych sytuacji, które na granicy z Gazą raczej nie zachodziły. Czy usprawiedliwia to masowe użycie ostrej amunicji? Pewnie nie, ale też nie jest to w tej sytuacji ani ludobójstwo, ani zbrodnia przeciw ludzkości.

I po drugie, mówi się i słusznie o nędzy, która popycha Palestyńczyków do radykalizmu. I istotnie, Gaza, m.in. na skutek ograniczenia dostaw przez Izrael (ale też przez, równie bojący się islamistów, arabski przecież i muzułmański Egipt) pozostaje w stanie trwałej katastrofy humanitarnej. I beznadziei, w której dla młodego, pozbawionego zatrudnienia i szans na zatrudnienie mężczyzny udział w zamieszkach jest jedyną okazją do przeżycia kilku godzin w sposób barwny, do oderwania się na chwilę od myśli, że jego egzystencja nigdy się nie polepszy i nie ma sensu. Ale też warto pamiętać, że i Gaza, i Zachodni Brzeg, gdzie sytuacja gospodarcza jest lepsza, ale przecież też bardzo zła, otrzymują stałą i bardzo wysoką pomoc, przede wszystkim od Unii Europejskiej. I nie przekłada się to na nic.

Co jest przyczynkiem do szerszej refleksji. Palestyńczycy koncertowo, od wielu dekad, trwonią szansę za szansą. Nie na budowę niepodległości (bo tę mieli chyba tylko raz, bezpośrednio po porozumieniu z Oslo, choć też stracili ją z własnej woli, na skutek odrzucenia ówczesnych, szczodrych propozycji izraelskich) tylko szans innych, których mieli i mają znacznie więcej. Na jakąś generalną poprawę swojego bytu, co w dłuższej perspektywie przełożyłoby się przecież na szanse polityczne. Niezależnie od rzucania im kłód pod nogi przez Izrael.

Kapuściński opisywał Palestyńczyków jako – na skutek ponadtysiącletniego mieszania krwi i wpływów kulturowych – najzdolniejszy naród arabski. Zaczynam myśleć, że się mylił.

Piotr *Skwieciński*



Węgry

Liberalizm kontra demokracja

Rozpoczynając trzecią kadencję rządów, Viktor Orbán ogłosił, że czas pożegnać się z demokracją liberalną. Jej model osłabia bowiem życie wspólnotowe (od rodzinnego, przez kościelne, po narodowe), redukując więzi międzyludzkie i wysuszając źródła kapitału społecznego. Zdaniem węgierskiego premiera dzisiejszy liberalizm prowadzi do dyktatu: w polityce – oligarchii, w gospodarce – korporacji, a w kulturze – poprawności politycznej. Dlatego – jak sam deklaruje – chce bronić demokracji przed liberałami.

Dla wielu może się to wydawać zaskakujące, a jednak wizję podobnego starcia kreśli np. wpływowy politolog amerykański Fareed Zakaria. Różnica polega jedynie na odwróceniu znaków – dla niego to liberalizm jest zbawienny, a demokracja podejrzana. Dlaczego? Bo lud potrafi być nieobliczalny i łatwo może zostać uwiedziony przez populistów, którzy są w stanie uruchomić mroczne instynkty zbiorowe.

Pojawia się zatem zasadne pytanie: kto ma w takim razie sprawować władzę? Kto powinien być suwerenem? Zgodnie z założeniami demokracji najwyższym suwerenem jest lud (gr. demos, łac. populus). Jeśli Zakaria odmawia ludowi tego prawa, to co proponuje w zamian? Otóż wskazuje on wprost na rozstrzygającą rolę oświeconych elit liberalnych, które powinny korygować kierunek rozwoju państw. Jednym słowem: oligarchia.

To samo, tylko innym językiem, mówi Orbán. On z kolei wzywa do walki ze współczesną oligarchią, której emanacjami są m.in. wielkie korporacje czy eurobiurokracja, poszerzające swą władzę i zagarniające coraz więcej kompetencji kosztem instytucji demokratycznych i kontroli obywatelskiej.


Fareed Zakaria

Na to nakłada się jeszcze jeden istotny podział, widoczny zwłaszcza na naszym kontynencie. Nigdzie w świecie nowożytnym ustrój demokratyczny nie rozwinął się poza państwami narodowymi. To one stwarzają ramy umożliwiające funkcjonowanie tego systemu. Nie ma takiego „demosu", a więc takiego suwerena jak naród europejski. Próba budowania ponadnarodowej władzy w Unii odbywa się więc nie tylko kosztem państw narodowych, lecz także demokratycznych zasad i reguł.

Grzegorz *Górny*

Alexandros Michailidis/Shutterstock.com
Drop of Light/Shutterstock.com

eprasa.pl d83cf5c87b



Włochy

Na kursie kolizyjnym z UE

Liderzy Ruchu Pięciu Gwiazd Luigi Di Maio oraz Ligi Północnej Matteo Salvini przełamali w miniony weekend polityczny pat trwający we Włoszech od wyborów 4 marca. Obaj politycy zadeklarowali, że są na drodze do zawarcia umowy koalicyjnej „na wzór niemiecki" i uformowania stabilnego rządu. A stało się to możliwe po tym, jak Liga zerwała sojusz z Forza Italia Silvio Berlusconiego, z którym układania się nie wyobrażał sobie Ruch, a zarówno Di Maio, jak i Salvini zrezygnowali z ambicji piastowania urzędu premiera.

Porozumienie dwóch antysystemowych, eurosceptycznych i w przypadku Ligi antyimigranckich partii było ogromnym zaskoczeniem nie tylko dla liberalnych elit nad Tybrem, lecz także dla Unii Europejskiej. Wszyscy spodziewali się, że po 10 tygodniach bezowocnych negocjacji prezydent Sergio Mattarelli wyznaczy tymczasowy rząd, a Włosi ponownie będą musieli udać się do urn. Teraz wszystko wskazuje na to, że nad Tybrem powstanie „populistyczny" gabinet, i to taki, który chce odejść od rygoru budżetowego.

A to – jak pisze portal EUobserver – poważnie niepokoi Brukselę i europejskich partnerów Rzymu, z Niemcami na czele. Liczący 39 stron wstępny projekt umowy koalicyjnej między Ruchem a Ligą wyciekł do mediów i jest w nim mowa o zniesieniu sankcji wobec Rosji, opracowaniu mechanizmu opuszczenia strefy euro oraz zmiany traktatów UE, w tym renegocjacji Paktu stabilności i wzrostu. Nowy rząd zamierza również zwrócić się do EBC o anulowanie 250 mld euro włoskiego długu. Kwestia zmiany traktatów i anulowania długu pozostaje wciąż sporna między obiema partiami, ale – jak podkreślił poseł Ligi Nicola Molteni w rozmowie z „Il Messaggero" – „twardsza postawa wobec Unii będzie fundamentem nowego rządu, i to nie podlega negocjacji". Według niego „ludzie są ważniejsi niż przestrzeganie narzuconej z zewnątrz polityki oszczędnościowej". Sam Salvini powiedział podczas spotkania z wyborcami, że Włochy „nie będą już przyjmowały rozkazów z Unii", a jeśli rynki są zaniepokojone, „to dobrze, bo to oznacza, że w europejskich stolicach zrozumieli, że nadchodzą zmiany".

Ze wstępnej umowy koalicyjnej wynika, jak wyliczył portal EUobserver, że Salvini i Di Maio planują wydatki budżetowe w wysokości 100 mld euro. To dużo jak na kraj, którego zadłużenie wynosi 132 proc. PKB (2,3 bln euro). Twarda postawa obu polityków jest odbierana w Brukseli jako szantaż, Włochy bowiem to trzecia co do wielkości gospodarka, a zarazem jeden z krajów założycielskich UE. Italexit, którym grożą, mógłby spowodować reakcję łańcuchową i doprowadzić do rozpadu eurostrefy.

Dlatego głosy płynące z Komisji Europejskiej są jak na razie ostrożne i sygnalizują wolę współpracy. Wiceszef KE Jyrki Katainen zadeklarował, że UE jest gotowa współpracować z każdym stabilnym włoskim rządem, bez względu na to, z jakich sił politycznych się składa. Bruksela ma nadzieję, że liderzy Ruchu i Ligi zmiękczą nieco swoją postawę, gdy tylko zaczną realnie rządzić. Ta nadzieja może się okazać jednak płonna, Salvini i Di Maio bowiem obiecali Włochom podczas kampanii, że wyciągną kraj z gospodarczej stagnacji, „bez względu na koszt".

Aleksandra Rybińska

Armenia

Niedoceniany czynnik oligarchii

Nikol Paszynian, przywódca antyrządowych protestów w Armenii, został wybrany na premiera. Wedle konstytucji, skrojonej pod odsuniętego od władzy Serża Sarkisjana, daje mu to bardzo szerokie kompetencje. Jednocześnie jednak sukces nowego szefa rządu będzie zależał głównie od jego umiejętności poruszania się w nieprzychylnym mu środowisku, cały aparat państwa nadal znajduje się bowiem w rękach jego oponentów. Albo więc zdoła zbudować własne zaplecze i skutecznie zneutralizować dawną oligarchię, albo zostanie zmieciony. Jest jeszcze jedna możliwość, może zostać z czasem dokooptowany do starego układu.

Na razie Paszynian próbuje się porozumieć z Rosją zaniepokojoną wiosennymi manifestacjami w Armenii. W kolorowych rewolucjach, które przetoczyły się przez byłe republiki sowieckie, Władimir Putin dostrzega bowiem rękę obcych, przede wszystkim amerykańskich służb, których ostatecznym celem jest zmiana na Kremlu. Nic więc dziwnego, że wydarzeniom w Armenii przypatrywano się w Moskwie z dużą uwagą. Tym bardziej że ruch protestu, złożony głównie z młodych ludzi, nie ukrywał swoich prozachodnich sympatii.

Paszynian zapewnia Rosję, że o żadnym zwrocie w kierunku Zachodu nie ma mowy i że stosunki z Moskwą pozostają dla Armenii priorytetem. Taką politykę wymusza nie tylko stacjonowanie na terytorium Armenii wojsk rosyjskich, lecz również stary konflikt z Azerbejdżanem o Górski Karabach. Bo dopóki Armenia będzie pozostawać w ścisłym sojuszu z Rosją, dopóty Kreml nie pozwoli Azerbejdżanowi na wznowienie działań zbrojnych w Górskim Karabachu.

Jest jeszcze jeden powód prorosyjskich deklaracji nowego premiera. To konieczny (choć nie jedyny) warunek utrzymania się na stanowisku. Jeśli Paszynian okaże się lojalny wobec Moskwy, ta nie będzie ingerować w proces wymiany aparatu władzy. A premier musi jej dokonać, aby wzmocnić swoją pozycję.

Rewolucyjna zmiana w Armenii nie wchodzi więc dziś w grę. Pytanie brzmi raczej, czy możliwa jest jakakolwiek zmiana? A jeśli tak, to czy okaże się trwała?

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl d83cf5c87b

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Talent Pityński



Jan Pietrzak

Na marginesie przykrej afery Fulopa warto zauważyć, że z pewnego punktu widzenia możemy mówić o sukcesie. Jest to sukces talentu Andrzeja Pityńskiego. Jego dzieło utrwaliło się na dobre w polskiej świadomości, stało się najważniejszym monumentem obrazującym zbrodnię w Katyniu, a przez nią tragiczne losy Polski w II wojnie światowej. Powstało na świecie i w kraju wiele pomników katyńskich, lecz bardzo niewiele o podobnej sile przekazu.

Pamiętam, kiedy przyjechaliśmy z Kabaretem pod Egidą do Kanady w listopadzie 1981 r., zażądaliśmy modlitwy przy niedawno postawionym pomniku w Toronto. Jest to duży blok czarnego granitu, dramatycznie pęknięty w połowie. Ubecy z konsulatu robili wszystko, by uniemożliwić grupie artystów odwiedzenie pomnika, grozili odebraniem paszportów i karą finansową ze strony Pagartu. A był to czas, kiedy cieszyliśmy się z karnawału „Solidarności" i wierzyliśmy, że prawda zwycięża!

Odważni ludzie, walcząc z agentami rosyjskimi, których wszędzie było pełno, z uporem tworzyli w Polsce katyńskie „upamiętnienia", skromne z konieczności. Są to w większości krzyże stawiane na terenach przykościelnych albo głazy w przypadkowych miejscach. Jednak głaz to nie dzieło sztuki, to dzieło przyrody. Udana artystyczna wizja tworzy wyższy stan świadomości historycznej, emocjonalną wartość dodaną. Statua Wolności na wysepce Liberty Island u ujścia rzeki Hudson do Atlantyku dla milionów ludzi jest symbolem amerykańskiego marzenia. Nawet najbardziej wyszukany głaz takim symbolem by się nie stał.

Często o tych sprawach rozmawiam z entuzjastami budowy Łuku Triumfalnego Bitwy Warszawskiej... Natomiast rozmowy z władcami Warszawy utknęły w martwym punkcie, bo zajęci byli rozkradaniem miasta. Ciekawe, że większość ratuszowych fachowców, nawet aprobujących pomysł, zwracała uwagę, że nie może on być zbyt duży i ekstrawagancki, bo naruszy urbanistyczne standardy. Są to zwolennicy pomników, które mają nie rzucać się w oczy (!). Tacy raczej nie zaakceptują w Polsce żadnego projektu Andrzeja Pityńskiego... Obym się mylił!

A my na to jak na Lato



Z wokalistą Filipem Latą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Śpiewający prawnik, który rozbił system. Czy nie tak się pan trochę czuje po finale programu „Twoja twarz brzmi znajomo"?

Filip Lato: Rzeczywiście, jestem śpiewającym prawnikiem, ale sukcesy w programie traktuję bardziej jako okazję do świetnej zabawy, zdobycia nowych doświadczeń i pomocy osobom w potrzebie. Obecnie jestem zaangażowany w nagrywanie albumu, który powinien się ukazać jesienią, promuję też singiel „Halo Ziemia". Jeśli na tych polach odniosę sukcesy, to będę bardziej skłonny przychylić się do tej – notabene niezwykle miłej – opinii!

Fenomenalne wykonanie „Snu o Warszawie" Czesława Niemena sprawiło, że nazwisko Lato nie kojarzy się już dziś tylko z piłką nożną. Zauważył pan to?

Jestem bardzo szczęśliwy, że udało mi się tak zamieszać w opinii publicznej właśnie tym wykonaniem. Wcielić się w Czesława Niemena to nie tylko wielkie wyzwanie, lecz również prawdziwa przyjemność. Wzrostu popularności jednak na razie w życiu codziennym nie odczuwam.

Ciekawe, czy to po pana występie Jason Derulo zdecydował się przyjechać jesienią do Polski?

Chciałbym, ale wątpię! [śmiech] Ale gdyby potrzebował zastępstwa w Warszawie, to wie, że może do mnie dzwonić!

Co zaśpiewa pan podczas tegorocznego Polsat SuperHit Festiwal?

Wystąpię drugiego dnia festiwalu, a więc wtedy, kiedy będą prezentowane najpopularniejsze piosenki ubiegłego roku. Będę miał przyjemność wykonać wspólnie z chórem Sound'n'Grace nasz wspólny hit „100"!

Fot. Kajus W. Pyrz

eprasa.pl d83cf5c87b

BRONISŁAW WILDSTEIN

Luter Lisickiego

W minionym roku obchodziliśmy pół tysiąca lat od przybicia na drzwiach katedry w Wittenberdze przez Marcina Lutra 95 tez, które uznane zostały za akt założycielski reformacji. Ten jeden z ważniejszych momentów w zachodniej historii przez wielu uznawany jest za datę końca średniowiecza i narodzin odrodzenia. Co ciekawe, rocznicę tę obchodzili nie tylko protestanci, lecz i najwyżsi dostojnicy Kościoła katolickiego z papieżem Franciszkiem na czele. I to od interpretacji ich udziału w tych uroczystościach rozpoczyna swoją książkę „Luter. Ciemna strona rewolucji" Paweł Lisicki. Jest to nie tylko głęboka analiza myśli i działania ojca reformacji, lecz opowieść o przełomowym okresie w naszej historii, który legł u podstaw wszystkich rewolucji nowoczesności, a także o zagrożeniu „protestantyzacją" Kościoła katolickiego pod pastorałem Franciszka.

95 tez Lutra nie musi jawić się współczesnemu czytelnikowi jako rewolucyjne, ale było takie poprzez zakwestionowanie roli papieża jako głowy Kościoła, a w konsekwencji całego stanu kapłańskiego, który jest pośrednikiem między bytowaniem ziemskim a transcendencją. Wcześniej, zgodnie z tradycją i Ewangelią, to Kościół był jedynym prawomocnym interpretatorem prawd wiary. Od czasu Lutra stać się nim miało bezpośrednio Pismo Święte. Podejście takie zdawać by się mogło apoteozą wolności, ale to ojciec reformacji absolutnie negował wolność ludzkiej woli. Jego doktryna pozbawiała człowieka jakiejkolwiek zasługi w walce z grzeszną stroną swojej natury. Przezwyciężenie zła sprawiała wyłącznie nieodgadniona łaska Boska, na którą ludzkie uczynki nie miały, bo mieć nie mogły, żadnego wpływu.

Wyobrażenie, że człowiek swoim działaniem oddziaływać może na decyzję Pana, było czymś, co szczególnie oburzało doktora z Wittenbergi (oburzało go zresztą bardzo wiele, czemu dawał wyraz w swoim niepomiarkowanym języku). Jedyną postawą, którą według niego winniśmy prezentować, jest absolutna i bezgraniczna wiara ze świadomością, że nie możemy próbować w żaden sposób pojąć obcego i odległego Boga. Rozum ludzki był „kurwą", która gotowa na dowolne usługi zdolna była usprawiedliwić wszelkie ludzkie nieprawości.



Fot. Andrzej Wiktor

Luter zakwestionował całą tradycję, a jej miejsce, siłą rzeczy, choć paradoksalnie przy podstawowych założeniach mistrza z Wittenbergi, wypełniła wola ludzka, w którą on sam nie wierzył. Bezpośredni kontakt z Pismem Świętym, które nie jest ani oczywiste, ani jednoznaczne, prowadził do tego, że w oparciu o nie człowiek sam zaczął kształtować swoje religijne wyobrażenia, co zresztą skutkowało – i skutkuje – pączkowaniem kolejnych protestanckich wyznań. Sam Luter zresztą deklarował, że pewne fragmenty Biblii są ważniejsze, a inne znaczą zdecydowanie mniej. Pojęcie prawdy objawionej, a więc w ogóle prawdy, było coraz trudniejsze do utrzymania.

Luter stopniowo odrzucił wszelkie zasady religii katolickiej. Odpusty, pielgrzymki, obcowanie świętych, celibat, śluby zakonne, mszę jako ofiarę, czyściec. W ten sposób wypchnął religię z życia doczesnego, które stało się bez reszty domeną świecką. Otworzyło to perspektywę wzmacniania władzy politycznej, której Kościół nie mógł już stanąć na przeszkodzie. Kiedy myślimy o wszelkich jej ekscesach, winniśmy pamiętać o tym, że drogę do nich otworzyła reformacja.

Lisicki pokazuje na szerokim tle (rzecz to zresztą powszechnie uznana), jak materialne interesy wspomagały reformacyjną rewolucję. Jednym z istotniejszych były korzyści feudałów, którzy mogli nie tylko uwolnić się od dokuczliwej kurateli Kościoła, lecz dodatkowo przejąć jego majątek. XVI-wieczną antykościelną kampanię, jak przekonująco uzasadnia Lisicki, potraktować można jako pierwowzór wielkich ideologicznych ofensyw wymierzonych w istniejący ład i, zawsze, w Kościół. Można jednak odnieść wrażenie, że dziś Kościół pod przewodnictwem Franciszka znużył się przeciwstawianiem światu oraz ciągłą walką o narzucanie mu moralnego oraz poznawczego ładu i postanowił dostosować się do niego. Czyli uczynić to, co jego przeciwnicy usiłują mu stale suflować. Czy celebracja rozdarcia chrześcijaństwa i wystąpienia człowieka, który nienawidził Kościoła przez ten właśnie, nie oznacza jego kapitulacji i przyjęcia protestanckiej postawy? To pytanie Lisicki formułuje wprost.

OGNIEM NA WPROST

Komu bije dzwon

W związku z problemem tzw. uchodźców za Odrą zapytano przywódcę partii Związek 90/Zieloni Roberta Habecka o zdradę narodu niemieckiego przez lewicę. „To nazistowska koncepcja" – odrzekł z pełnym spokojem i dezynwolturą. Oczywiście miał na myśli koncepcję narodu jako taką. „Nie ma narodu – kontynuował – a skoro tak, to w konsekwencji nie może być jego zdrady. To zarzut wynikający z gniewu, który może być naprawdę dzielący, dyskryminujący i szkodliwy". Ripostował mu przewodniczący Alternatywy dla Niemiec (AfD) i poseł Parlamentu Europejskiego Jörg Meuthen, nazywając Habecka „pseudointelektualnym islamofilem" oraz „snobem wobec narodu niemieckiego". Lewica, nie tylko zresztą niemiecka, jeśli chce przepchnąć jakiś kolejny absurd sprzeciwiający się zdrowemu rozsądkowi i rzeczywistemu stanowi rzeczy, powtarza jak mantrę słowa: „dzielący", „dyskryminujący" czy „szkodliwy" w różnych konfiguracjach. Jeśli tego jest za mało, należy wyżej wymienione epitety podbić sformułowaniem „faszysta" lub „nazista". Do tej pory tak sklasyfikowany rozmówca chował się w mysią dziurę i przepraszał, że żyje. Ale dziś już nawet w Niemczech przestaje to działać.

W szwedzkim mieście Växjö radni zgodzili się, by lokalny muezin wzywał wiernych na modlitwę. Zawodzenia popłyną przez głośniki zainstalowane na minarecie lub ewentualnie sam mułła może się wdrapać na wieżę i własnym głosem przypominać wiernym o obowiązkach wobec proroka. O ile oczywiście będzie miał na to ochotę i poziom dźwięku słyszanego z zewnątrz nie przekroczy 110 decybeli, a z wewnątrz 45 decybeli. Generalnie nie byłoby problemu, gdyby nie to, że stojącemu 1,5 km dalej kościołowi katolickiemu dalej zabraniają bicia w dzwony. Tamtejszy ksiądz Ingvar Fogelqvist powiedział, że prośba o możliwość używania dzwonów kościelnych została odrzucona w latach 90. i ponownie na początku XXI w. W kościele jest niewielki dzwon, który według słów kapłana „brzmi ładnie, ale nie słychać go na dużą odległość". Czyli nie przekracza 110 decybeli. Protestuje chadecja, ale na razie bez skutku. Muezin natomiast zawodzi coraz głośniej, a dzwony milczą dalej.

W Brukseli wielkie święto. Europosłowie szepczą po kątach. Panuje nastrój podniecenia. Pracownikom Parlamentu Europejskiego wręczono zaproszenia. Mają się zebrać przed siedzibą tej instytucji, by zrobić sobie wspólne zdjęcie. Wielkimi krokami zbliżył się bowiem Międzynarodowy Dzień przeciw Homofobii! Fotka będzie z – rzecz jasna – tęczowymi flagami w dłoni. Ale nie tylko. Po raz pierwszy nastąpi oficjalne wywieszenie tęczowej flagi (symbolu ruchu LGBT i coś tam) przez PE na maszt, który ma być wyrazem solidarności z osobami mającymi problemy z własną seksualnością, walczącymi o swoje prawa. Na nic się zdały nasze protesty wyrażone w formie listu współprzewodniczącego Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, szefa delegacji PiS do europarlamentu prof. Ryszarda Legutki, w którym poprosił przewodniczącego europarlamentu Antonia Tajaniego o wyjaśnienia. Polityk przekonuje w nim, że „pod hasłem homofobii kryje się odmowa zmiany definicji małżeństwa, a ataków na osoby LGBT właściwie nie ma". Ale zdaniem PE oraz „Gazety Wyborczej" homoseksualiści są wszędzie bici, maltretowani i poniżani. Skala ich cierpień jest nieporównywalnie większa niż katolików na świecie i dlatego nikt w Brukseli nie powiesił jeszcze krzyża.



Rośnie liczba ekstremistów we Francji. Obok terrorystów islamskich, lewackich zadymiarzy o komunistyczno-anarchistycznym profilu pojawili się weganie. Wśród niejedzących mięsa wzrasta agresja. W centrum Lille o 2.00 w nocy doszło do ataku na sklep mięsny. Efekt: stłuczona witryna, zasypany szkłem towar oraz wymalowane sprayem napisy „Stop dla specyzmu", czyli dyskryminacji gatunkowej. Zdaniem wegańskich radykałów ludzie spożywający mięso występują przeciw różnorodności gatunkowej na Ziemi i stanowią powód wymierania zwierząt na naszej planecie. Tymczasem właścicielka mięsnego twierdzi, że została zastraszona i codziennie rano z lękiem przychodzi do pracy, „bo to ekstremiści". Należy dodać, że to już drugi zamach na jej sklep. Natomiast mer Lille Marie Aubry wydała komunikat, w którym wyraziła zaskoczenie „aktami wandalizmu w wykonaniu aktywistów, którzy mienią się weganami". Weganie twierdzą, że nie jedzą mięsa m.in. dlatego, że po nim ludzie stają się bardziej agresywni. Nic bardziej mylnego. Potwierdzają to ataki na mięsny w Lille i sama postać jednego z najbardziej agresywnych ludzi w dziejach historii ludzkości – Adolfa Hitlera.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Ludzkie spojrzenie



Marta Kaczyńska

Od kwietnia bieżącego roku obowiązują wyższe kary za znęcanie się nad zwierzętami. Za pozbawienie ich życia grożą trzy lata więzienia, w przypadku szczególnego okrucieństwa do pięciu lat pozbawienia wolności. Sądy są także zobowiązane orzekać o zapłacie od 1 tys. zł do 100 tys. nawiązki na cel związany z ochroną zwierząt w każdym przypadku, a nie tak jak uprzednio wedle uznania. W ostatnich dniach rząd przyjął projekt ustawy nowelizującej przepisy penalizujące niezachowanie zwykłych lub nakazanych środków ostrożności przy trzymaniu zwierzęcia.

Obowiązujące prawo za niedopilnowanie pupila przewiduje obecnie grzywnę w maksymalnej wysokości do 250 zł. Dla wielu osób zapłacenie takiej kwoty nie stanowi znaczącej dolegliwości, a kara nie spełnia swojej prewencyjnej funkcji. Wielu posiadaczy psów groźnych ras bez obawy o możliwe konsekwencje prawne pozwala im spacerować bez smyczy, narażając zwłaszcza małe dzieci na niespodziewane i często przykre w skutkach spotkanie z czworonogiem. Nowe regulacje mają podwyższyć pułap kary za taką niefrasobliwość do 5 tys. zł lub ograniczenia wolności. Wydaje się, że mogą one stanowić skuteczne zabezpieczenie interesów potencjalnych ofiar psich napaści i żywiołowych czworonogów.

Wymiar sprawiedliwości coraz częściej ma do czynienia ze sprawami zainicjowanymi przez osoby poszkodowane wskutek nieostrożnych zachowań właścicieli zwierząt i osób trzecich. W orzecznictwie sądowym widoczna jest zmiana tendencji w postrzeganiu zwierząt, w szczególności w przypadkach, w których idzie o utratę zwierzęcia wskutek działania lub zaniechania osób postronnych. Do niedawna czworonogi były traktowane przedmiotowo. W przypadku zawinionego uszkodzenia ciała lub spowodowania śmierci psa można było się spodziewać zasądzenia kosztów leczenia lub zwrotu wartości rynkowej zwierzęcia, którą określano, biorąc pod uwagę przede wszystkim rasę psa oraz jego wiek.

Od pewnego czasu sędziowie zaczęli dostrzegać znaczenie więzi, jaka nawiązuje się między człowiekiem a zwierzęciem – analogicznie, jak się to dzieje w odniesieniu do więzi rodzinnych. Więź ta zazwyczaj nacechowana jest znacznym zaangażowaniem psychicznym ze strony człowieka, dla którego czworonóg jest nie tylko jednym z domowników, lecz także towarzyszem wspierającym w realizowaniu sportowych pasji czy też ważnym urozmaiceniem codzienności zapewniającym komfort psychiczny.

W orzeczeniu z 7 września 2017 r. Sąd Okręgowy w Krakowie wskazał, że w potocznym odbiorze pies jest symbolem wierności i bezinteresownej przyjaźni, a lojalność i oddanie, które wykazuje, to część jego naturalnego instynktu, ściśle związanego z ludzkim poczuciem miłości i przyjaźni. Przez to właśnie wielu właścicielom psów pozwala na traktowanie ich jak pełnoprawnych członków rodziny. Ze względu na jego cechy jest zwierzęciem, z którym człowiek wiąże głębokie, wielowymiarowe relacje. Nie tylko jest nazywany najlepszym przyjacielem człowieka, lecz również jest najbardziej predystynowany do nawiązania silnej więzi z człowiekiem. W związku z powyższym utrata psa, np. wskutek pogryzienia go przez inne zwierzę, powinna być postrzegana jako okoliczność naruszająca dobra osobiste w postaci wyjątkowej więzi, która łączy z nim właściciela.

Od pewnego czasu sędziowie w swoich orzeczeniach zaczęli zwracać uwagę na znaczenie więzi, jaka tworzy się między człowiekiem a psem

Opisane zmiany legislacyjne, a także nowe tendencje w orzecznictwie są bez wątpienia przejawem bardziej ludzkiego spojrzenia na sprawy dotyczące zwierząt.

REKLAMA

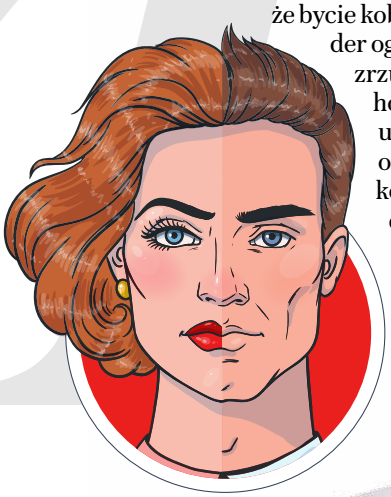




eprasa.pl d83cf5c87b

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Za drogo



Trzy lata temu Alexander Veach rozpoczął terapię hormonalną, by stać się kobietą – Arią Veach. O sprawie informuje m.in. Wprost.pl. Jednak po pewnym czasie Aria uznała, że jednak woli być mężczyzną, bo okazało się, że bycie kobietą jest zbyt drogie. W związku z tym Aria-Alexander ogłosił, że będzie intensywnie trenował na siłowni, by zrzucić piersi, które pojawiły w skutek przyjmowania hormonów. Mieszkaniec Los Angeles czuł się kobietą uwięzioną w ciele mężczyzny, jednak już po terapii okazało się, że to jednak mężczyznę uwięziono w ciele kobiety. Ot, paradoksy ponowoczesności.



4. miejsce

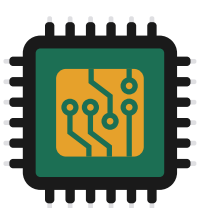
taką lokatę zajmuje Polska wśród 10 krajów z największym na świecie odsetkiem osób ze stanem przedcukrzycowym.

5 proc.

taka dynamika wzrostu PKB utrzymuje się w Polsce w ostatnich trzech kwartałach. To dwa razy więcej niż średnia w Unii Europejskiej.

ok. 1 mln dol.

za tyle sprzedano na aukcji w Monako białe lamborghini huracán papieża Franciszka. Teraz auto trafi w ręce hiszpańskiej firmy zajmującej się wypożyczaniem samochodów.



Zaczipowani

Pracownicy szwedzkiego oddziału biura podróży TUI pozwolili sobie wszczepić bioczipy. Dzięki temu mogą się poruszać po firmie bez kart identyfikacyjnych, bioczip pozwala też np. uruchomić firmową drukarkę. To na razie tylko testy takiego rozwiązania" – informuje Rp.pl. Urządzenia, o których mowa, znajdują się pod skórą dłoni pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Na eksperyment pierwszy zdecydował się dyrektor zarządzający firmy. Po nim bioczipy dało sobie wszczepić ok. 50 pracowników. Ich komentarze były niezwykle pozytywne: „Jestem gotowy na przyszłość" – mówił jeden. „Czuję się udoskonalony" – powiedział drugi. To nie pierwsza firma, w której pracownicy pozwolili się oczipować. Trzy lata temu zrobiło to samo 400 pracowników firmy Epicenter. Elektroniczne identyfikatory wszczepione pod skórę miały im zastąpić karty identyfikacyjne używane m.in. do otwierania drzwi i bramek. Według Rp.pl w przyszłości tego rodzaju bioczipy mogą być nośnikiem biletów komunikacji miejskiej, biletów lotniczych czy kart płatniczych. Orwell by tego lepiej nie wymyślił.



Fińska lekcja

Wstrząsające wnioski płyną z raportu opublikowanego przez fińską policję. Wynika z niego, że aż 108 spośród 116 zbrodni na tle seksualnym w Finlandii w 2016 r. dokonali muzułmańscy imigranci. „Niemal połowa dokonanych przez islamistów przestępstw została popełniona na Finkach, które nie ukończyły jeszcze 18. roku życia" – podaje Pch24.pl. Niemal połowa wszystkich przestępstw seksualnych dokonanych przez imigrantów z krajów muzułmańskich to gwałty, w tym również gwałty zbiorowe. Czy to jest to osławione kulturowe ubogacanie? Jak dobrze, że Polska się na ten eksperyment nie zdecydowała.

eprasa.pl d83cf5c87b



Niemieckie święta

Ramadan popularniejszy w Niemczech niż Oktoberfest? Tak uważa Eren Güvercin, niemiecki dziennikarz i członek zarządu stowarzyszenia europejskich muzułmanów. Według niego „Ramadan jest świętem, które jest bardziej zakorzenione w niemieckiej kulturze niż wiele innych, zaczerpniętych z innych krajów tradycji, takich jak m.in. Halloween" – czytamy na tvp.info. Niemcom wypada życzyć, aby zamiast piwnych biesiad nie musieli zacząć gremialnie pościć.

> ***Nie mówię, że już jest faszyzm, ale jak będzie tak dalej, to idziemy w kierunku dyktatury*** – stwierdziła eurodeputowana Róża Thun. I to jednak jest poprawa w wyrażaniu ocen, bo część opozycji wielokrotnie zdążyła ogłosić, że faszyzm już nad Wisłą się rozgościł.

Na zdrowie

Jest jednak jakaś dobra informacja. Jak podaje portal Onet.pl, WHO chce całkowitego zakazu stosowania tłuszczów trans w żywności. Według ogłoszonych 14 maja wytycznych ze sklepowych półek ma zniknąć „najgorszy tłuszcz świata", a wszystko do 2023 r. Jak szacuje WHO, uda się w ten sposób uratować od śmierci ok. 10 mln osób. Dlaczego jednak WHO godzi się, by jeszcze przez pięć lat dochodziło do ludobójstwa?



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x5)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Laudacja



Dominik Zdort

To cenne i ważne, że jubileusz Jerzego Jachowicza nie został przegapiony. Choć informację o tym, że to 80. rocznica urodzin, niektórzy przyjęli z zaskoczeniem. Koleżanka z redakcji naszego portalu tygodnik.tvp.pl była przekonana, że Jurek ma najwyżej 65 lat.

Jachowicz to postać emblematyczna dla mediów III RP. Wspomnijmy kamienie milowe stojące przy jego zawodowej drodze: od dziennikarstwa śledczego w „Gazecie Wyborczej", gdzie tropił zbrodnie bezpieki (kiedy jeszcze na takie materiały było tam zapotrzebowanie). Przez „Newsweek" Tomasza Wróblewskiego i „Dziennik" Roberta Krassowskiego. Po – obecnie – tygodnik „Sieci" Jacka i Michała Karnowskich.

Jachowicz jest dziennikarzem wybitnie niepokornym i bezkompromisowym, co zresztą przypłacił niegdyś ogromną osobistą tragedią. Dla jego szefów te cechy to zazwyczaj powód do dumy, choć czasem do zgryzot. Na przykład, gdy opowiada w rocznicowym wywiadzie o tym, że pismo, w którym pracuje, jest „zbyt politycznie zanurzone". Można się z tą diagnozą zgadzać lub nie, ale warto go cenić – za szczerość i prostolinijność. No, tak, ale to Jachowicz – widziały gały, co brały.

Czasem uczciwość Jurka oznacza łamanie zasad politycznej poprawności. Tak było w wywiadzie, którego udzielił Dariuszowi Wilczakowi dla potrzeb książki „Ona". Najpierw zastrzegł, że sam jest pochodzenia żydowskiego. A potem uderzył: „W kierownictwie gazety [„Wyborczej"] jest bardzo spójne środowisko wzajemnie się popierające [...] Etniczność, żydowskość miała znaczenie choćby przy obsadzaniu kierowniczych stanowisk, na których zarabia się ogromne pieniądze. Ja też zresztą zarabiałem dobrze, szczególnie na początku". I dorzucił: „Szefami i kierownikami zostają [...] przydupasy, najgorszy sort człowieka [...] cel główny to zysk osobisty i dla najbliższych. Etnicznie i ideowo najbliższych".

To szefów „Wyborczej" zabolało. Gdy zacytowałem kiedyś te słowa, wpływowi ludzie z Czerskiej sugerowali, że należy przykładnie ukarać... Zdorta. Mój ówczesny szef – chwała mu za to – nie uległ.

Na koniec prywatne wspomnienie: poznałem Jachowicza na początku lat 90., gdy był już dziennikarską sławą. Mimo tego jak nikt inny na sejmowych korytarzach był chętny, aby pomagać i doradzać młodszemu nieopierzonemu koledze z konkurencyjnej gazety. Dziękuję Ci, Jurku!

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl d83cf5c87b

RZECZY POSPOLITE

W krzaczorach



Tomasz Łysiak

W chwili, w której czytają państwo ten felieton, jest już wszystko jasne: albo kolejny tytuł mistrzowski został w stolicy, albo cieszą się nim fani w Białymstoku. Niezależnie jednak od tego, jak się potoczyły wydarzenia, pozostaje duży niesmak po fatalnej decyzji spółki Ekstraklasa SA, dotyczącej dekoracji ewentualnych mistrzów z Warszawy na stadionie w Poznaniu. Przy wygranej Legii lub remisie przy Bułgarskiej tytuł po raz kolejny powędrowałby na Łazienkowską. Lech ustami swego rzecznika zgłosił kilka dni przed meczem chęć zmian w tradycyjnych zasadach, które mówią, że drużyna zdobywająca tytuł zostaje nagrodzona medalami na boisku bezpośrednio po meczu. Rzecznik zaproponował, by gracze Legii dostali puchar oraz medale po powrocie do Warszawy. Finalnie taka była też decyzja Ekstraklasy. Skandaliczna. Słusznie ostro napisał o tym na Twitterze Zbigniew Boniek, oburzenie wyraził PZPN. Żadne tłumaczenia tu nie pomogą. Ugięto się pod presją i w dodatku pod presją „ewentualnych" zagrożeń – w wypadku zwycięstwa Legii podobno miałyby eksplodować złością trybuny w Poznaniu.

Lęk przed domniemaną reakcją kibiców spowodował, że zrezygnowano z podstawowych, fundamentalnych wartości przyjętych w cywilizowanym świecie sportu. Słowo „cywilizacja" jest tu jak najbardziej na miejscu, gdyż sport i reguły, jakimi się w nim kierujemy, to część kodu cywilizacyjnego. Jest w niego wpisany elementarny szacunek do przeciwnika, a także szacunek wobec zasad, tradycji i reguł sportowej rywalizacji.

Ktoś w internecie napisał, że gdy Putin o tym usłyszy, to weźmie przykład i w wypadku zwycięstwa naszych piłkarzy na mundialu w Rosji każe wręczyć nam medale... w Warszawie. Coś w tym jest. Bo poza wszystkim mamy do czynienia z fatalnym precedensem, na który być może władze futbolowej spółki będą się powoływać w przyszłości. Zęby bolały, gdy człowiek patrzył na żenujące wyczyny piłkarzy w Ekstraklasie. Chyba do tego dopasowano pomysł na dekorowanie mistrzów – w krzaczorach.

...i kropka



Piotr Cywiński

Ja będę premierem!" – zapowiadał jeszcze niedawno Ryszard Petru. Wierzył w siebie. I w formację, którą stworzył tuż przed wyborami w 2015 r. Wyborcy też wierzyli, sporo nawet, bo sondażowe notowania jego partia miała wtedy lepsze od pozbawionej władzy przez obywateli Platformy z nazwy Obywatelskiej. Miała, ale to już nieaktualne. Kilka dni temu założyciel i były szef Nowoczesnej ostentacyjnie odpiął z klapy marynarki znaczek „N". Nie chciał się dłużej z nią identyfikować. Było do przewidzenia, skoro kropkę przed „N" postawił już na początku, można rzec, koniec Nowoczesnej był wręcz zaprogramowany.

Trochę to musiało potrwać. Najpierw do jej wątpliwego rozgłosu przyczyniał się sam władca od sześciu króli i siedmiu boleści, specjalista od bon motów inteligentnych inaczej. Krzywa spadała. A że głowa psuje się od ryby, w Nowoczesnej nastąpił damski bunt. Podczas gdy nowoczesne kobiety świadome swych praw i obowiązków tyrały w Sejmie nawet w Boże Narodzenie i sylwestra, on sobie gdzieś tam, z jedną koleżanką..., mniejsza z tym. W każdym razie Petru został pozbawiony władzy. Nieco później puczystki same chwyciły się za włosy. Poszło o to, że jedna kłótliwa, druga nieudolna, trzecia niedoceniona, czwarta za Petru – w końcu panie się rozstały. Miłośnicy kabaretu politycznego nie muszą się jednak martwić, serial trwa.

Ostatnio wrócił na plan były przewodniczący. Ów wybitny rachmistrz, skoro wcześniej stał na czele Towarzystwa Ekonomistów Polskich, ba, w Banku Światowym publiczną kasą zawiadywał, a i w Banku BPH coś tam kalkulował, i w BRE Banku strategię finansową opracowywał, i w PKO też... – zostawił swą byłą partię w długach po uszy nowej szefowej Katarzyny Lubnauer. „Zamykam ten temat. Jak chcą, to niech spłacają", rzucił na odchodne w Polsacie, bo z babami nie gada. Zachciało im się rządzenia, niech rządzą. Na to oburzył się nowoczesny poseł Witold Zembaczyński, że on by „nie zostawił kobiety bez pieniędzy, czy też ze zobowiązaniami do uregulowania". Tere-fere, gdyby był Petru, inaczej by śpiewał. À propos śpiewania: Nowoczesna śpiewa teraz razem z Platformą z nazwy Obywatelską, od której się odżegnywała. I tu kółko graniaste, czterokanciaste się zamyka. Nawiasem mówiąc, była, może nawet jeszcze istnieje, Partia Razem polskiej lewicy, z imponującym dorobkiem: zero posłów, senatorów, eurodeputowanych i radnych wojewódzkich. No, ale w orszaku weselnym nie mówi się o pogrzebie...

eprasa.pl d83cf5c87b

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 110 350 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
NATASZA VIEWEGER – NATASZA.VIEWEGER@FRATRIA.PL
IWONA WIEJAK – IWONA.WIEJAK@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, CHARAKTERYZACJA: KLAUDYNA PABUDZIŃSKA-KOSSEK, PAP/RAFAŁ GUZ

eprasa.pl d83cf5c87b

Polityka nie jest dla grzecznych dziewczynek

Jeśli ktoś myśli, że uderzając we mnie, może mnie złamać, to się myli. Nie tak łatwo mnie zniszczyć. I na to nie pozwolę

Z wicepremier Beatą Szydło, przewodniczącą Komitetu Społecznego Rady Ministrów, rozmawia Dorota Łosiewicz

„Beata, Beata", „Nasza premier" – skandowali ludzie w Boguchwale. W Mielcu jedna z kucharek rzuciła się pani na szyję, płacząc. Ma pani satysfakcję w takich momentach?

Beata Szydło: Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie. W tzw. terenie ludzie przyjmują mnie bardzo ciepło. Często nawet poza oficjalnymi spotkaniami, gdy idę ulicą, podchodzą do mnie z dobrym słowem, dziękują. To daje satysfakcję i siłę, bo to oznacza, że zrobiliśmy dla ludzi coś dobrego.

Nie zawsze jest jednak tak różowo. Obok słów ciepłych pojawiają się głosy krytyki. Ktoś krzyczał: „Będziesz siedzieć", ktoś inny: „Oddaj nagrody". Jak pani na to reaguje?

Zawsze staram się spokojnie odpowiadać na pytania, nawet jeśli są trudne. Ludzie czasem po prostu potrzebują, żeby ktoś ich wysłuchał, i wtedy się okazuje, że nie są przeciwnikami rządu, tylko mają za sobą trudną historię, którą chcą opowiedzieć. Podczas jednego ze spotkań podeszła pani z konstytucją, zaproponowałam kawę w moim biurze. W Raciborzu pokrzykujące panie zaprosiłam na scenę, żeby powiedziały, co im leży na sercu. Wtedy one wyszły z sali. Gorąco robi się wtedy, gdy tłum staje w mojej obronie przeciw tym, którzy mnie atakują. Zauważyliśmy też ze współpracownikami, że jeździ za nami po Polsce stała grupa, która udaje „lokalnych niezadowolonych". I ta grupa pokazywana jest potem w mediach. I w końcu: możemy się nie zgadzać, możemy się nawet nie lubić, co w polityce jest normalne, ale Polska jest dla każdego z nas i wszyscy muszą mieć tu swoje miejsce.

By zrobić ten wywiad, towarzyszyłam pani przez jeden dzień w podróży. Zdziwiło mnie, jak łatwo łapie pani bezpośredni kontakt z ludźmi. To charyzma?

W gazetach czytam, że nie mam charyzmy. Natomiast faktycznie, chyba potrafię rozmawiać z ludźmi, umiem ich zjednywać. To o tyle zaskakujące dla mnie, że kiedyś byłam raczej nieśmiała, zamknięta w sobie i milcząca. Nigdy nie sądziłam też, że będę politykiem. Zmieniła mnie praca w samorządzie. Być może jest tak, że ludzie, których spotykam, widzą we mnie siebie samych. Często żartuję, że jestem po prostu dziewczyną z prowincji i nigdy nie będę celebrytką.

Na jednym ze spotkań ktoś z widowni gratulował pani klasy, z jaką opuściła pani urząd. Łatwo było zachować tę klasę w tamtych okolicznościach?

To był niełatwy moment. Musiałam podjąć bardzo trudną decyzję o tym, czy w rządzie pozostać, czy z niego odejść. Miałam świadomość, że odejście z rządu i odrzucenie odpowiedzialności za nasze zobowiązania wobec wyborców byłoby dla nich niezrozumiałe, sugerujące konflikty wewnętrzne, szkodzące też obozowi dobrej zmiany. Ileż to już było spektakularnych, dramatycznych odejść polityków? I co z nich wyniknęło? Jesteśmy zespołem. Mamy jeden cel i temu celowi trzeba podporządkować osobiste ambicje. Poza tym uważam, że w polityce potrzebna jest odpowie-

eprasa.pl d83cf5c87b

dzialność i dojrzałość. Tamtej sytuacji towarzyszył duży ładunek emocjonalny, także wśród wyborców, i nie chciałam swoim zachowaniem pogorszyć sytuacji. Po ludzku nie było to oczywiście łatwe. Mam nadzieję, że to będzie lekcja na przyszłość dla moich kolegów, iż można działać inaczej, spokojniej. Nie mogłam się na nikogo obrażać, bo jesteśmy drużyną, dużo razem zrobiliśmy i nie chciałam, aby moje zachowanie zaprzepaściło tę pracę. Starałam się zrozumieć, że tamten moment wymagał takich, a nie innych środków.

Polacy też to zrozumieli?

W terenie ludzie często pytają, dlaczego stało się tak, a nie inaczej. Nie komentuję tego. Mam poczucie, że mamy do zrealizowania projekt, który jeszcze nie został skończony. W zwycięstwo 2015 r. włożyłam bardzo dużo pracy, która trwała od 2011 r. Pracowałam nad przygotowaniem programu, nad drogą do zwycięstwa. Można powiedzieć, że wydeptywałam te ścieżki, jeżdżąc po kraju. Bardzo się z tym projektem utożsamiam, straciłam na jego przygotowanie zbyt wiele czasu, żeby machnąć ręką i wszystko zostawić.

Ma pani żal do Jarosława Kaczyńskiego?

Nie. My w tamtym czasie odbyliśmy wiele poważnych rozmów. Dużo się wtedy nauczyłam o polityce i zweryfikowałam swój stosunek do niej. Podobnie zresztą jak w ciągu dwóch lat, gdy byłam premierem. Choć w dużej polityce jestem od 2010 r., od chwili gdy zostałam wiceprezesem ugrupowania, przejmując obowiązki po śp. Aleksandrze Natalli-Świat, to jednak czas, gdy pełniłam funkcję premiera, był przyspieszonym kursem polityki. Teraz też spotykam się regularnie z prezesem Jarosławem Kaczyńskim. Nie ma mowy o żadnym żalu. Mam nowe zadania, przede mną nowe wyzwania. Życie toczy się dalej.

Żałowała pani kiedyś wejścia do polityki?

Wielokrotnie [śmiech]. Po raz pierwszy w 2005 r., dwa miesiące po wyborach. Przyszłam do parlamentu z samo-



Fot. Andrzej Wiktor

rządu, w którym bardzo wiele zależy od władz lokalnych. W Sejmie okazało się, że jestem trybikiem wielkiej maszyny i niewiele – jak wtedy sądziłam – ode mnie zależy. Dziś wiem, że decyzja o wejściu do dużej polityki (choć samorządowcy to też przecież politycy) była słuszna. Gdyby nie tamta decyzja sprzed 13 lat, to nie osiągnęłabym tego wszystkiego, co jest obecnie moim udziałem. A czego zwieńczeniem było poprowadzenie zwycięskiej kampanii prezydenta Andrzeja Dudy i praca w rządzie. Stałam na czele rządu, który zrobił bardzo dużo dobrego dla Polski i dla Polaków. Dotrzymaliśmy obietnic, nasz rząd był wiarygodny. Oczywiście popełnialiśmy błędy, bo – jak mówią – nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Ale z tych błędów zawsze z pokorą staraliśmy się wyciągać konstruktywne wnioski. Dzisiaj jestem wicepremierem rządu utworzonego przez Prawo i Sprawiedliwość, przez zjednoczoną prawicę. Zmieniamy Polskę, to wielka satysfakcja i zaszczyt.

A decyzji o podjęciu misji szefowej rządu pani żałowała?

Choć to było ogromne wyzwanie i wielka odpowiedzialność, to nigdy nie żałowałam. Oczywiście bywały różne momenty, ale ja mam naturę wojownika, nigdy się nie poddaję. No i – jak mówią moi bliscy – jestem uparta i nie żałuję swoich decyzji. Zanim podjęłam decyzję, zastanawiałam się, czy podołam. Wcześniej nie pracowałam w rządzie. Postanowiłam podjąć wyzwanie i w moim odczuciu wraz z koleżankami i kolegami z rządu daliśmy radę, choć łatwo nie było.

Jak pani zapamiętała dzień, w którym pani misja w fotelu premiera się skończyła?

To jeden z trudniejszych dni w moim politycznym życiu. Byłam jednak do niego przygotowana, ponieważ „grillowanie" Beaty Szydło trwało już od dłuższego czasu. Ataki na mnie przybierały na sile. Z jednej strony to niełatwe doświadczenie i człowiek w takich momentach ma dość, ale z drugiej – mówisz sobie „nie złamią mnie". Zresztą „grillowanie" Szydło wcale się wtedy nie skończyło. Jeden z tabloidów postawił sobie chyba za punkt honoru, by każdego dnia coś o mnie napisać. Smutne jest to, że to nie są tylko ataki zewnętrzne, lecz mamy czasem do czynienia ze szkodzącą PiS rozgrywką wewnętrzną. Jeśli jednak ktoś myśli, że uderzając we mnie, może mnie złamać, to się myli. Nie tak łatwo mnie zniszczyć. I na to nie pozwolę. Na własnej skórze przekonałam się, że polityka to nie jest zajęcie dla „grzecznych dziewczynek". Tamtego dnia byłam bardzo zmęczona i zdenerwowana. Chciałam jednak, żeby wszystko odbyło się tak, by jak najmniej zaszkodzić mojemu klubowi, kolegom i koleżankom. Czułam odpowiedzialność za ministrów mojego rządu. Koleżanki i koledzy zgotowali mi gorące owacje, które zapadły mi w pamięć i w serce. Naprawdę czułam wsparcie.

> Nie żałuję wystąpienia w Sejmie w sprawie nagród w tym sensie, że musiałam stanąć po stronie swoich ludzi

A potem rozpętała się afera z nagrodami...

Mam na ten temat swoje przemyślenia, ale zostawię je dla siebie. Przypomnę tylko, że wszystko odbyło się zgodnie z prawem, nie doszło do żadnych nadużyć, nikt niczego nie ukradł. Ministrowie nagrody przekazali dobrowolnie na cele charytatywne. Temat jest zamknięty. Dyskusja o wynagradzaniu urzędników pewnie prędzej czy później wróci.

Nie żałuje pani sejmowego wystąpienia w obronie nagród?

Nie żałuję w tym sensie, że musiałam stanąć po stronie swoich ludzi. Zrobiłabym to jeszcze raz. Powiedziałam wówczas, że biorę odpowiedzialność za to, co działo się w ciągu dwóch lat, gdy byłam premierem, i w każdej chwili mogę powtórzyć te słowa. Odpowiadam za sukcesy, porażki i za moich ludzi.

Ktoś z „pani ludzi" zawiódł panią?

Miałam świetny zespół, współpraca z ministrami, wbrew temu, co niektórzy sugerowali, układała się bardzo dobrze. Rząd pracował sprawnie, intensywnie i skutecznie. Jak w każdym zespole, bywały lepsze i gorsze momenty, ale wszystkich oceniam wysoko. Gdy wprowadzaliśmy trudne reformy, mieliśmy poczucie, że to jest sprawa całego rządu. Zresztą większość ministrów pracowała wcześniej nad programem, więc oni czuli to, co robią. Wszyscy znaliśmy się od lat. Byliśmy więc zespołem, który po wyborach naturalnie wszedł do rządu. A rząd miał wsparcie kolegów z klubu parlamentarnego PiS. Bez nich nic byśmy nie zrobili. Cały czas jesteśmy biało-czerwoną drużyną.

Wciąż nią jesteście?

Wierzę, że tak. Ja ze swej strony zrobię wszystko, aby tak było. Za chwilę wchodzimy w okres wyborczy. Trzeba więc skoncentrować siły. Musimy wygrać te wybory, bo jest zbyt dużo spraw, które po ewentualnej porażce nie będą kontynuowane. A kontynuowane być muszą. Rząd PiS wreszcie zajął się sprawami ludzi. I Polacy to doceniają. Sprawy kraju poszły w dobrym, oczekiwanym kierunku. Nie możemy zatem pozwolić, aby do władzy wrócili ludzie, którzy na wszelkie problemy mieli tylko jedną odpowiedź – nie da się, nie ma pieniędzy. Ich myślenie się przecież nie zmieniło. Przez dwa i pół roku bycia w opozycji nie wypracowali wielu nowych propozycji programowych. Wciąż tylko straszą Prawem i Sprawiedliwością.

Pojawiły się informacje, że pani loty do domu rządowym samolotem kosztowały 1,6 mln zł. To następny odcinek „grillowania" Beaty Szydło?

Możliwe, bo temat odgrzewany po raz kolejny. Zastanówmy się, jak ma podróżować premier, żeby było dobrze? Jak jeździmy samochodem, to niedobrze, bo są stłuczki. Sama wylą-

eprasa.pl d83cf5c87b



Fot. Andrzej Wiktor

dowałam na drzewie, a potem media i opozycja z ofiary wypadku zmieniły mnie prawie w jego sprawcę. Na sygnale – źle, bo butna władza. Bez sygnału – źle, bo kolumna nie zachowuje ostrożności. Lot samolotem rejsowym – źle, bo przyniósł utrudnienia dla pasażerów. BOR musiało skontrolować cały samolot i pasażerowie mieli dyskomfort, bo im się premier na pokładzie trafiła. To może pociąg? Byłam szczęśliwa, gdy podróżowałam pociągiem, było miło. Byłam zadowolona, że jadą ze mną tylko współpracownicy. Na stacji okazało się jednak, że w pociągu jedzie policja, BOR i wszyscy święci – więc też źle. Najmniej problematyczna okazała się CASA, która i tak musi wylatać określoną w regulaminach liczbę godzin. Albo będzie latać pusta, albo z pasażerami, bo latać i tak musi. Ale opozycja podniosła pełne hipokryzji larum, że to też źle. No to może powinnam w ogóle nie wracać do domu? Mam duży dystans do siebie, z pokorą podchodzę do wykonywanych obowiązków, jednak szef rządu – czy chce, czy nie chce – jest jedną z kilku osób w państwie, które nie mogą zrezygnować z tego „przywileju władzy", jakim jest ochrona.

Podobno aż pięć godzin spędziła pani z przebywającym w szpitalu Jarosławem Kaczyńskim. O czym państwo rozmawiali?

Przede wszystkim nie ma żadnej sensacji w tym, że rozmawialiśmy. Jestem wiceprezesem partii i z prezesem Jarosławem Kaczyńskim rozmawiam regularnie. Rozmawiamy o sytuacji w partii, o polityce, o tym, co trzeba zrobić. Staram się, żeby wiedział na bieżąco, co ja robię. Rozmawialiśmy także o jego zdrowiu, które jest teraz najważniejsze. Nie ma nic dziwnego w tym, że odwiedzam Jarosława Kaczyńskiego w szpitalu.

O tym, kto powinien być kandydatem PiS w kolejnych wyborach prezydenckich, także państwo rozmawiali?

Rozmawiamy o wszystkich ważnych tematach. Również o czekających nas kampaniach wyborczych.

Jakie ma pani teraz relacje z Andrzejem Dudą?

Obydwoje jesteśmy bardzo zajęci, więc czasu na prywatne spotkania jest mało. Widujemy się głównie w sprawach zawodowych.

W polityce jest miejsce na przyjaźń?

Prezydent Duda powiedział kiedyś w wywiadzie, że nie ma. Ta konstatacja mnie zasmuciła. Dziś jednak być może podpisałabym się pod tymi słowami. Polityka jest bardzo brutalna, walka jest bezwzględna. Można mówić o koleżeństwie, a przyjaźń... Wszyscy, którzy mówią, że jest, uważani są za naiwnych. Moim zdaniem to zależy od tego, jak ktoś podchodzi do polityki. Chyba łatwiej znaleźć ją gdzieś indziej. Ja mogę powiedzieć, że są osoby w polityce, które są dla mnie ważne.

O przyjaźń pewnie jeszcze trudniej w polityce międzynarodowej. Jakie jednak relacje łączyły panią z kanclerz Angelą Merkel?

Z kolegami z Rady Europejskiej miałam bardzo dobre relacje. I nawet nie zmieniło ich słynne głosowanie 27:1, w którym wystąpiłam przeciw Donaldowi Tuskowi. Tamta sytuacja zbudowała nawet pewien respekt wobec mnie, a mnie udało się zwrócić uwagę kolegów z Rady na ważną sprawę, tzn. że państwo, którego reprezentant ma objąć istotną funkcję, musi mieć prawo do rekomendacji takiej osoby. Nigdy nie miałam poczucia, żebym była lekceważona lub żebym nie była partnerem do dyskusji dla polityków z innych państw. Z Angelą Merkel miałyśmy bardzo dobre relacje i bardzo dobre rozmowy. Podobne, bardzo dobre relacje, mam z Theresą May. Po odejściu z funkcji premiera dostałam piękny list od Viktora Orbána, a później bardzo ładne życzenia urodzinowe. W czasie jego ostatniej wizyty w Polsce mieliśmy okazję porozmawiać na prywatnym spotkaniu w ambasadzie węgierskiej.

eprasa.pl d83cf5c87b


Fot. Piotr Tracz

Zauważyła pani zapowiadane ocieplenie w relacjach z Unią Europejską?

Nasze zdecydowane stanowisko w wielu sprawach zbudowało pozycję Polski jako kraju, z którym trzeba się liczyć. Mamy dyskusję z Komisją Europejską na temat praworządności, ale to w dużej mierze osobista sprawa wiceprzewodniczącego Timmermansa, który nie potrafił się przyznać do błędu. Jeśli chodzi o migrację, to jestem pewna, że powstrzymaliśmy Europę przed szaleństwem. Moim głównym doradcą ds. europejskich był Konrad Szymański, wybitny ekspert w tej dziedzinie. I przecież on wciąż pełni swoją funkcję. Teraz mamy trochę inne okoliczności, bo wchodzimy w czas walki o budżet. Unia straszy Polskę powiązaniem budżetu z praworządnością, żebyśmy się z pewnych rzeczy wycofali. Viktor Orbán dobrze jednak powiedział, że budżet przyjmuje się jednogłośnie, więc jeśli nie będzie porozumienia z Polską, to nie będzie budżetu.

A w wyborach do Parlamentu Europejskiego pani wystartuje?

Nie wykluczam takiej możliwości. Europa interesuje mnie o tyle, że potrzebny tam jest głos jasno stawiający z jednej strony interesy Polski, a z drugiej – upominający się o wartości, od których Europa odchodzi, a które są jej fundamentem. I nie idzie tu o eurosceptycyzm, tylko o rozsądne szukanie lepszych rozwiązań od tych, które dzisiaj proponują eurokraci, zapominając, że Unia jest dla Europejczyków, a nie odwrotnie.

Jak rząd radzi sobie z protestującymi w Sejmie?

Za rząd odpowiada premier i to on decyduje, co się dzieje w danym momencie, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. Wicepremierzy i ministrowie muszą się podporządkować, nawet jeśli mają inne zdanie. Jeśli chodzi o protest, to szybko przyjęto dobre dla protestujących prawo, podnoszące rentę socjalną oraz drugi projekt gwarantujący wsparcie rzeczowe. Protestujący postanowili zanegować te propozycje i zostać w Sejmie. Trudno rozmawia się z kimś, kto nie chce porozumienia. A tak to widzę. Wyjścia z sytuacji trzeba szukać w kompleksowych, systemowych rozwiązaniach, o których mówi minister Elżbieta Rafalska.

Spływ Dunajcem to nie był chyba dobry pomysł?

W Pieninach początek sezonu flisackiego to od lat bardzo ważne wydarzenie. Nie byłam w Krościenku prywatnie, tylko na zaproszenie mieszkańców i flisaków właśnie. Było spotkanie otwarte z mieszkańcami, rozmawialiśmy o problemach regionu. Lokalnie spotkanie zostało przyjęte bardzo dobrze. Kontekst ogólnopolski nie był jednak dobry. Może rzeczywiście zabrakło czujności.

Jakie są mocne strony opozycji, a jakie słabe strony partii rządzącej?

Opozycja jest w dużym rozedrganiu, miota się. Mocną stroną naszych przeciwników może być zlekceważenie ich przez Prawo i Sprawiedliwość. Słabą stroną PiS będzie zaś przeobrażenie się w taką samą partię władzy jak poprzednie. Jeśli stracimy z oczu cel, zaczniemy władzę konsumować, a przestaniemy chodzić do ludzi – przegramy. PiS jest partią ludową, w tym sensie, że my, żeby być na szczycie, musimy mieć kontakt z ludźmi. Komunikowanie się poprzez media to zdecydowanie za mało. Na konwencji w 2015 r. powiedziałam, że będziemy wszędzie tam, gdzie toczy się dyskusja o Polsce. Czas polityków celebrytów się kończy. Czas na polityków rzemieślników, którzy pokornie będą słuchać Polaków. Dzisiaj ponownie przywołuję te słowa. Musimy być wśród ludzi i dla ludzi.

Premier Morawiecki pasuje do partii ludowej?

Premier dużo jeździ po Polsce, spotyka się z ludźmi. W PiS jest miejsce dla każdego, kto z troską myśli o Polsce. To jest bardzo szeroka partia, będąca wypadkową różnych środowisk. Jarosław Kaczyński umiejętnie doprowadził do tego, że te środowiska zaczęły koegzystować. Dlatego tak ważne jest, żeby każdy dobrze rozumiał swoje zadanie. Siłą PiS może być to, że jest w partii i Mateusz Morawiecki, i Beata Szydło. A to daje szanse na zwycięstwo w kolejnych wyborach i na jeszcze większe możliwości rozwoju Polski. Tylko od nas zależy, czy damy radę to zrobić. Jeśli PiS przegra, to przez własne błędy, a nie przez siłę opozycji. Naszymi wrogami mogą być brak jedności i wewnętrzne spory, a nie Grzegorz Schetyna, Donald Tusk czy Ryszard Petru. Przegramy, jeśli przestaniemy być biało-czerwoną drużyną, jeśli pozwolimy się jej rozpaść. Dlatego opozycji tak zależy na tym, żeby nas podzielić.

Największy sukces pani rządu?

Program 500+. I tu wielki ukłon w stronę Elżbiety Rafalskiej oraz jej

eprasa.pl d83cf5c87b

zespołu. Ten program realnie zmienił życie rodzin, w centrum zainteresowania postawił rodzinę. Dodatkowo, co było także naszym celem, stał się kołem zamachowym dla gospodarki. Dotrzymaliśmy słowa. Zresztą większość zobowiązań z 2015 r. została dotrzymana. Bardzo często ludzie mi dziękują, że zmieniło im się życie, że jest praca, że już nie brakuje im do pierwszego. I ta wiara ludzi, przekonanie, że rząd wreszcie o nich myśli i jest wiarygodny, też jest naszym sukcesem. Ale nie możemy stracić czujności. Nie możemy zasypiać gruszek w popiele, przed wyborami potrzebujemy więcej konkretnych osiągnięć. Teraz jest czas na przyspieszenie, a nie na spijanie śmietanki.

Jak mąż zniósł fakt, że jego żona jest premierem?

To na pewno nie było dla niego łatwe doświadczenie. W tej pracy człowiek jest cały czas zajęty, pracuje się od świtu do nocy, adrenalina jest na najwyższych obrotach. Łatwo w tym zatracić siebie, swoją rodzinę. A przecież trzeba pamiętać, że jest życie po polityce, po premierowaniu. Zdawałam i zdaję sobie z tego sprawę, dlatego udało mi się zachować niezbędne proporcje. Polityka oczywiście brutalnie wkroczyła w nasze prywatne życie i nie było to łatwe. Mąż bardzo mnie wspiera i zawsze mogę na niego liczyć.

Chyba nie od początku było jasne, że to właśnie pani pójdzie w politykę.

Na początku wydawało się, że to będzie on. Mąż bardzo się angażował w życie publiczne od czasów studenckich. Działał w samorządzie, w organizacjach studenckich, pomagał ludziom. A życie tak się ułożyło, że to ja wylądowałam w polityce, ale mój mąż robi dużo dobrego. Od lat pracuje z niepełnosprawnymi dziećmi.

Jeden z państwa synów został księdzem, drugi kształci się na lekarza. Mają państwo poczucie sukcesu?

Nasi synowie są naszym największym sukcesem. Zawsze byliśmy normalną rodziną. Razem spędzaliśmy czas, wspólnie wyjeżdżaliśmy na wakacje. Mamy wielopokoleniową rodzinę, w której dbaliśmy o bliskie relacje. Dziadkowie pomagali w opiece nad dziećmi. Mąż angażował chłopców w różne prace i wspólne przedsięwzięcia. Zawsze wzajemnie mogliśmy i możemy liczyć na siebie.

A jak pani zareagowała na to, że syn chce zostać księdzem?

Na początku nie byłam entuzjastką tego pomysłu, bo to niełatwa droga. Bałam się jego decyzji. Namawiałam go, żeby najpierw wybrał studia na uniwersytecie. Jednak on stwierdził, że szkoda mu czasu. Po jakimś czasie zrozumiałam, że to powołanie, że nikt go tam nie trzyma na siłę, ma dobrą opiekę i skoro to jego droga, skoro ta droga ma dać mu szczęście, to muszę ją uszanować.

> Jeśli PiS przegra, to przez własne błędy, a nie przez siłę opozycji. Naszymi wrogami mogą być brak jedności i wewnętrzne spory, a nie Schetyna, Tusk czy Petru

Dzieci polityków często korzystają z funkcji, jaką pełnią ich rodzice. Pani synowie też próbowali?

Nigdy. Wręcz przeciwnie, to było dla nich zawsze obciążenie. Media próbowały wciągnąć ich „w politykę", ale poradzili sobie. Powiedziałam wcześniej, że udało mi się zachować zdrowe proporcje między polityką a życiem rodzinnym, dlatego nie mówmy już może o mojej rodzinie.

Wspomniała pani, że nie została celebrytką. Czy to znaczy, że najlepiej pani czuje się w domu?

Jeżeli chodzi o życie zawodowe, to najlepiej czuję się wtedy, gdy mam poczucie satysfakcji z pracy, jaką wykonałam. Że zrobiłam ją dobrze, a ci, dla których działam, są z niej zadowoleni. Pracuję dla ludzi, dlatego zawsze będę się wśród nich czuła dobrze. A najlepiej wypoczywam w domu.

A z koszykiem czy z wózkiem chodzi pani do sklepu?

Najczęściej z wózkiem, a potem wszystko przerzucam do samochodu. Jako wicepremier nie muszę mieć stale ochrony, mam zatem więcej wolności. Okna też myję sama [śmiech].

Nie mąż?

Mąż mył okna głównie w czasach studenckich. Kiedyś pracowaliśmy w spółdzielni studenckiej Żaczek, zarabiając na życie.

Jaki jest pani przepis na ten osławiony rosół?

Moja mama gotuje znacznie lepiej niż ja, a autorem najlepszego rosołu w rodzinie jest mój szwagier.

Wróćmy na koniec do polityki. Jaka będzie Nowoczesna bez Petru?

To ciekawe zjawisko. O ironio – kobiety ograły Ryszarda Petru. Nowoczesna raczej nie przetrwa. Nie ma żadnego pomysłu na siebie, nie ma oferty dla Polaków, no może poza likwidacją 500+. Bezideowa Platforma przetrwa, bo ma silniejsze struktury. Ale tą swoją bezideowością i pustką programową otwiera szansę dla lewicy.

Co dalej z Antonim Macierewiczem?

Wciąż gdzieś czytam, że „kombinuje na boku". To nieuczciwa nagonka medialna na pana ministra. Miejsce Antoniego Macierewicza jest w PiS.

A co dalej z PiS? Jarosław Kaczyński szuka następcy?

Nie szuka. Będzie rządził PiS jeszcze przez długie lata. Tylko on jest gwarantem jedności naszej partii. Nie ma drugiej takiej osoby, z taką charyzmą, doświadczeniem, talentem politycznym. Zmieniają się czasy i okoliczności. Dlatego prezes rozpoczął proces przebudowy i przemodelowania partii. To odpowiedź na nowe wyzwania. Mamy niepowtarzalną szansę, by rządzić przez kolejną kadencję.

eprasa.pl d83cf5c87b



Opozycja w opozycji do opozycji

Przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r. scena polityczna po stronie opozycyjnej może być jeszcze bardziej rozdrobniona niż na początku lat 90.



STANISŁAW JANECKI

Im dłużej trwa kampania zjednoczeniowa opozycji, tym dalej od zjednoczenia. Obecnie za jedyny przejaw jednoczenia uchodzi wchłanianie kurczącej się Nowoczesnej przez Platformę Obywatelską, co jest szumnie nazywane Koalicją Obywatelską. Wcześniej (8 lutego 2018 r.) Polskie Stronnictwo Ludowe połączyło swój klub poselski, zagrożony degradacją do koła poselskiego, z czteroosobowym kołem Unii Europejskich Demokratów (złożonym z posłów wyrzuconych z PO), ale politycznie nic z tego nie wynika. Nie ma oznak zjednoczenia na lewicy. Z kolei utworzona 5 maja 2016 r. pod wodzą Komitetu Obrony Demokracji koalicja Wolność, Równość, Demokracja (Sojusz Lewicy Demokratycznej, Inicjatywa Polska, Zieloni, Partia Demokratyczna, Stronnictwo Demokratyczne, Polskie Stronnictwo Ludowe, Dom Wszystkich Polska) jest martwa. Kolejne inicjatywy zjednoczeniowe prawicy narodowej kończą się fiaskiem. Właściwie nic nie zostało z powołanego w maju 2016 r. Stowarzyszenia Endecja (zakładali je Paweł Kukiz, Rafał Ziemkiewicz, Marek Jakubiak, Jacek Wilk

eprasa.pl d83cf5c87b



Fot. Andrzej Wiktor

i Adam Andruszkiewicz). Obecnie opozycja w działaniach zjednoczeniowych nie jest nawet na etapie Konwentu św. Katarzyny, czyli jednoczenia się prawicy, poczynając od jesieni 1994 r. A tamta inicjatywa była na tyle słaba i rozdarta, że rozpadła się już w 1995 r. Głównie z powodu niemożności wyłonienia wspólnego kandydata w wyborach prezydenckich w 1995 r.

STRACH PRZED SCHETYNĄ

Obecna opozycja zaczęła mówić o potrzebie, a nawet konieczności zjednoczenia podczas ulicznych manifestacji w 2016 r. Ale ani do końca 2016 r., ani w 2017 r. realnych inicjatyw zjednoczeniowych nie było. Dopiero w 2018 r. zaczęły się jakieś próby. W styczniu 2018 r. o zjednoczeniu miały dyskutować ugrupowania lewicowe, ale nic z tego jednoczenia nie wyszło. W kwietniu 2018 r. dogadały się PO z Nowoczesną, ale ta koalicja jest płytka, ograniczona właściwie do sejmików wojewódzkich i nie wnosi wartości dodanej.

Rozbicie opozycji sprawia, że nie zdyskontowała ona w znaczącym stopniu kryzysu wizerunkowego PiS i czasowego spadku notowań tej partii w sondażach w związku ze sprawą nagród dla ministrów oraz wiceministrów. Wciąż się mówi o jednoczeniu, jednak poza Nowoczesną, zarządzaną przez Katarzynę Lubnauer, żadne inne ugrupowanie nie chce uznać prymatu Platformy. A to dlatego, że obawiają się, iż Grzegorzowi Schetynie chodzi wyłącznie o osłabienie politycznych konkurentów, a nie o jednoczenie. I przykład Nowoczesnej ma tego najlepiej dowodzić. Schetyna przez ponad dwa lata robił wszystko, by Nowoczesną osłabić i zniszczyć, a wyciągnął rękę dopiero wtedy, gdy Katarzyna Lubnauer została z masą upadłościową. Przewodniczącemu PO chodzi teraz o to, by szefowa Nowoczesnej wniosła w posagu jak najwięcej dusz, ale z tym jest coraz gorzej.

O tym, że Nowoczesna wyjdzie na współpracy z PO jak Zabłocki na mydle albo Himilsbach na angielskim, są przekonani politycy PSL, dlatego nie zdecydowali się na wejście do Koalicji Obywatelskiej. Uważają oni, że koalicja z PO osłabiłaby, a nie wzmocniła, ich partię w wyborach samorządowych. A to dlatego, że PSL ma większy i sprawniejszy aparat niż PO, więc Schetyna chciałby tylko te aktywa ludowców wykorzystać, nic nie dając w zamian. SLD i Partia Razem nie chcą z kolei żadnej koalicji z PO, szczególnie samorządowej, gdyż na partii Schetyny ciążą odium złodziejskiej prywatyzacji w Warszawie oraz kolejne akty oskarżenia w sprawach korupcyjnych. Partia Włodzimierza Czarzastego, mająca w przeszłości kłopoty w związku z aferą Rywina, starachowicką oraz posła Andrzeja Pęczaka, pozwoliła oskarżyć i ukarać swoich ludzi, co bardzo kontrastuje z zachowaniem PO. Współpraca z Platformą psułaby obecnie wizerunek SLD, dlatego nikt znaczący w Sojuszu jej nie chce. A Partia Razem uważa PO za największe zło polskiej polityki, więc jakakolwiek współpraca jest mrzonką.

JEDNOCZENIE LEWICY PRZEZ PODZIAŁ

Na 28 stycznia 2018 r. Barbara Nowacka zwołała spotkanie przedstawicieli lewicy, aby debatować o zjednoczeniu. Jednoczyć miały się m.in. Inicjatywa Polska (której Nowacka przewodniczy), Sojusz Lewicy Demokratycznej, Dziewuchy Dziewuchom, Inicjatywa Feministyczna, Partia Zieloni, Ogólnopolski Strajk Kobiet, Partia Razem, Unia Pracy, Ruch Kobiet, Obywatele RP, Obywatele Solidarni w Akcji i kilka regionalnych oddziałów

eprasa.pl d83cf5c87b

Komitetu Obrony Demokracji. Nic z tego nie wyszło. Kandydaci do jednoczenia nieoficjalnie twierdzą, że nie ma efektów, gdyż inicjatorka, czyli Barbara Nowacka, „nie ma cech przywódczych" i „nie wiadomo, o co jej chodzi".

Samodzielnie Nowacka nie ma większych sukcesów. Od 2000 r. działała w młodzieżówce Unii Pracy, potem do 2005 r. była szeregową działaczką tej partii, następnie zakładała Młodych Socjalistów, ale wkrótce przeniosła się do Unii Lewicy III RP swej matki Izabeli Jarugi-Nowackiej. Przez następne kilka lat było o niej cicho, przez co w wyborach do europarlamentu w 2014 r. (startowała z listy Europy Plus, której patronem był Kwaśniewski) zdobyła zaledwie 10 290 głosów i przegrała. W 2015 r. wstąpiła do upadającego Twojego Ruchu, zostając jego wiceprzewodniczącą (obok Janusza Palikota) i to ta partia wystawiła ją w wyborach parlamentarnych ze wspólnej listy Zjednoczonej Lewicy. Dopiero wtedy zaczęła być szerzej rozpoznawalna, dlatego zdobyła w Warszawie 75 813 głosów. Tyle że Zjednoczona Lewica nie przekroczyła 8-procentowego progu dla koalicji i ten dobry wynik został zmarnowany.

W lutym 2016 r. Nowacka została współzałożycielką Inicjatywy Polskiej, nadal będąc wiceprzewodniczącą Twojego Ruchu (porzuciła tę partię dopiero w czerwcu 2017 r.). Na chwilę znowu zabłysła w lipcu 2017 r., gdy została pełnomocnikiem komitetu Ratujmy Kobiety 2017. Ale na lewicy panuje przekonanie, że Barbara Nowacka jest zbyt skrajna i słaba organizacyjnie, aby kogokolwiek zjednoczyć. Nawet gdyby miała się teraz zaangażować we wspólne przedsięwzięcie z bliskimi jej ideowo Joanną Scheuring-Wielgus (uciekinierką z Nowoczesnej) oraz prezydentem Słupska Robertem Biedroniem.

Sam Biedroń jako jednoczyciel lewicy jest oceniany podobnie jak Nowacka. Samodzielnie wygrał tylko w 2014 r. wybory na prezydenta Słupska (startował z własnego komitetu wyborczego i w I turze zdobył 20,34 proc. głosów, w drugiej zaś 57,08 proc.). Mimo że jest lansowany na zbawcę lewicy, jego rzeczywiste możliwości mobilizowania wyborców na poziomie ogólnopolskim są oceniane znacznie niżej niż w I turze wyborów w Słupsku. W przeszłości działał w SdRP i SLD, a w 2002 r. kandydował do Rady Warszawy z listy SLD-UP, zdobywając zaledwie 451 głosów. Także w 2005 r., gdy w Warszawie kandydował do Sejmu z listy SLD, poparło go tylko 1 686 wyborców.

Dopiero gdy w 2011 r. został „jedynką" Ruchu Palikota w Gdyni, głosowało na niego 16 919 wyborców i zdobył mandat. Ale nie dlatego, że jakoś się wyróżniał, tylko z tego powodu, iż „jedynki" partii Palikota zdobywały podobne poparcie w porównywalnych okręgach ze względu na nowość, jaką była ta inicjatywa. W SLD głośno nie kwestionuje się sensu rozmawiania z Biedroniem w sprawie jakiejś wspólnej inicjatywy, ale nieoficjalnie dominuje przekonanie, że szkoda na to czasu. Tym bardziej że SLD najwięcej zyskuje ostatnio samodzielnie (w niektórych sondażach ma 9 proc.), a Biedroń przesuwałby sojusz w stronę lewicy libertyńskiej, na czym nikomu w partii Czarzastego nie zależy.

> O tym, że Nowoczesna wyjdzie na współpracy z PO jak Zabłocki na mydle, są przekonani politycy PSL, dlatego nie zdecydowali się na wejście do Koalicji Obywatelskiej

Formalnie i programowo najbliżej jest SLD do Partii Razem. Ale z perspektywy ugrupowania Adriana Zandberga i Marceliny Zawiszy jest akurat odwrotnie. Przewodniczący Włodzimierz Czarzasty twierdzi, że to dlatego, iż „oni [Partia Razem] nas nie lubią", a „ich niechęć wynika z sekciarstwa". Sekciarstwo polega na tym, że „są najmądrzejsi, że w każdej sprawie wiedzą najlepiej, że ich zdanie nie ma prawa ulec zmianie nawet o milimetr, że nie akceptują czasów PRL w żadnym wymiarze, a o nas myślą, że zdradziliśmy ideały". Czarzasty twierdzi, że od dawna próbuje się porozumieć z Zandbergiem, gdyż „to jest nasza bratnia partia w kategoriach programu [ochrony środowiska, ochrony praw kobiet, związków partnerskich, UE stosunku do Kościoła]". „Moją rolą jest podawanie ręki" – mówi Czarzasty. Niestety Zandberg i Zawisza nie chcą tej wyciągniętej ręki przyjąć. W efekcie jednoczenie lewicy wygląda tak, że jest ona jeszcze bardziej podzielona niż przed zjednoczeniowymi próbami.

GDZIE OPOZYCJA SIĘ BIJE, TAM PIS KORZYSTA

Zjednoczenie opozycji polegające na jej coraz wyrazistszym dzieleniu sprawia, że zjednoczona prawica może w perspektywie najbliższych dwóch lat nie mieć żadnego poważnego rywala po prawej stronie. A ci po lewej będą się wzajemnie zwalczać, klinczować i obniżać wyborcze szanse. Jednocześnie PO będzie miała co najmniej kilku rywali po lewej stronie, odbierających jej głosy, podczas gdy koalicyjna Nowoczesna tych głosów nie będzie przysparzać.

Poza tym podzielona opozycja bardzo pomaga rządzącym przechodzić wizerunkowe kryzysy. Ataki PO są wprawdzie bardzo ostre, ale ta partia jest znana tylko z tego, że nie cierpi PiS, więc jej działania przeciw ugrupowaniu Jarosława Kaczyńskiego są odbierane jako obsesja, a nie realna krytyka. Przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r. polska scena polityczna po stronie opozycyjnej może więc być jeszcze bardziej rozdrobniona niż w pierwszej połowie lat 90. Sprzyja to oczywiście zjednoczonej prawicy. Co nie znaczy, że po wyborach parlamentarnych w 2019 r., gdyby przekroczyły próg wyborczy, nie będzie chętnych na koalicję z PO. Chętne mogą być zarówno SLD – „wyposzczone" wieloma latami poza władzą i czterema latami poza parlamentem, jak i PSL – najbardziej obrotowa partia w dziejach III RP. Ale to już zupełnie inna historia.

eprasa.pl d83cf5c87b



Katarzyna Lubnauer, Ryszard Petru i Joanna Schmidt

Fot. Mateusz Zelnik

Krótkie życie politycznych dziewic

Robią dobrą minę do złej gry i zapewniają, że przyszłość należy do nich. Nowoczesna rozpada się na naszych oczach, choć jej liderzy twierdzą, że wyborcy jeszcze zatęsknią za liberalnymi wartościami



MAJA NARBUTT

Nikt nie jest zaskoczony tym, co się ostatnio stało, odejście Petru było wyłącznie kwestią czasu. Jego monstrualne ego sprawiło, że stał się hamulcowym Nowoczesnej, knuł intrygi, nie mógł się pogodzić z tym, że nie jest już przewodniczącym partii. Zachowywał się jak Piotruś Pan, który nie chce dorosnąć. Teraz nikt już nie będzie buntować ludzi, kwestionować przywództwa Katarzyny Lubnauer ani kopać dołków pod Kamilą Gasiuk-Pihowicz – opowiada jeden z wpływowych polityków Nowoczesnej.

Oficjalnie politycy tego ugrupowania twierdzą, że jest im oczywiście przykro, iż Ryszard Petru zdecydował się odejść z partii, którą zakładał, a nawet życzą mu powodzenia w nowym projekcie politycznym. Nieoficjalnie starają się jednak przekonać dziennikarzy, że odczuwają ulgę, iż pozbyli się balastu, i wreszcie mogą rozwinąć skrzydła.

Nie ulega wątpliwości, że żadna z tych wersji nie jest prawdziwa. Trudno wierzyć w szczerość żalu z powodu pozbycia się grillowanego od dłuższego czasu byłego lidera, trudno też wierzyć, że w Nowoczesnej nie zdają sobie sprawy, jakim ciosem wizerunkowym jest dla ich formacji odejście najbardziej rozpoznawalnego polityka.

– Nie zamierzam recenzować tego, co się dzieje w Nowoczesnej, opowiadać się po którejś ze stron, bo z każdą z nich łączą mnie przyjacielskie stosunki. A poza tym nie kopie się leżącego – mówi mi Jakub Bierzyński, prezes domu mediowego OMD i były doradca Nowoczesnej.

eprasa.pl d83cf5c87b

Odegrał kluczową rolę w jej powstaniu – jak chętnie kiedyś opowiadał, przy kawiarnianym stoliku z pewną ważną osobą tworzył plan nowego projektu politycznego. Nie miał oporów, by ostro krytykować partię, gdy wybuchł skandal z portugalską eskapadą Petru. Jak mówi mi teraz, działał w obronie swego dobrego zawodowego imienia – nie mógł pozwolić, by uznano, że nie chce czy nie potrafi pomóc wybrnąć Petru z kłopotów wizerunkowych. A problem polegał na tym, że Petru rad nie słuchał. Ale teraz sytuacja jest zupełnie inna, a formuła „nie kopie się leżącego" brzmi jak requiem dla Nowoczesnej.

Kiedy Katarzyna Lubnauer opowiada o planach partii i powrocie do liberalnych wartości, jej zwolennicy zaś zapewniają, że między nią a Grzegorzem Schetyną jest szczególna chemia, obserwatorzy sceny politycznej nie mają złudzeń – nieuchronnie zbliża się moment, w którym Nowoczesna zostanie po prostu skonsumowana i wchłonięta przez PO.

– To będzie face lifting Platformy kosztem Nowoczesnej, przejmie najlepsze kadry i ma dobrą okazję, by zmienić szyld na nowszy, lepszy. Wzmocni się i urośnie w siłę, a Nowoczesna nie będzie stawiała żadnych warunków, bo nie może, jest za słaba. Zapanuje pewien porządek na scenie politycznej – przepowiada Jakub Bierzyński.

To paradoks, jeden z wielu, które związane są z Nowoczesną. Gdy powstawał projekt Nowoczesna, zapowiadano, że nowa partia ma ostatecznie pognębić tkwiącą w marazmie Platformę, dać klasie średniej atrakcyjną alternatywę. Efekt okazał się zupełnie odwrotny – wykalkulowany przez specjalistów od marketingu projekt posłuży tym, których miał zniszczyć. W gruncie rzeczy to klęska i fatalne świadectwo dla wszystkich, którzy zaangażowali się w jego tworzenie.

> Polityka to nie tylko marketing, a stworzenie partii jest bardziej skomplikowane i mniej przewidywalne niż sprzedaż proszku do prania – zauważa politolog prof. Rafał Chwedoruk

KTO PŁACZE

– Otwiera się przed nami nowa przestrzeń, jest potencjał, zgłaszają się wartościowe osoby, które chcą wnieść swoją energię i pomysły do polityki. Rozmowy toczą się za zamkniętymi drzwiami, bez mediów – opowiada Joanna Schmidt, która razem z Joanną Scheuring-Wielgus i Ryszardem Petru wyszli z Nowoczesnej. Jak twierdzi, odejście w tym samym dniu nie było elementem zaplanowanej, skoordynowanej akcji, choć dojrzewało od dawna. – Na pewno impulsem dla mnie stało się wyjście Joanny Scheuring-Wielgus, chociaż obie miałyśmy krytyczne zapatrywania na sposób, w jaki zarządzane były partia i klub. Jeśli ma się pomysły i energię do działania, to trudno wytrzymać w organizacji, która nie chce się rozwijać, tylko przetrwać – mówi Schmidt.

Frustracja narastała, a jej powodów musiało być więcej, niż mówi teraz Joanna Schmidt, skoro na gorąco wydała oświadczenie, w którym wspomniała o zakulisowych grach, personalnych sporach, a nawet kłamstwie i cwaniactwie. Ciężkie działa wytoczyła też Scheuring-Wielgus, która zarzuciła kierownictwu partii, że zamyka jej usta i nie pozwala się wypowiadać na temat odbywającego się w Sejmie protestu rodziców dzieci niepełnosprawnych.

Joanna Scheuring-Wielgus uległa emocjom i uruchomiła lawinę wydarzeń. Taki ma charakter, to rebeliantka, zawsze będzie krytykować i rozsadzać formację, w której się znajduje – twierdzi ważny polityk Nowoczesnej.

Zgodnie z narracją, którą lansują władze partii, powodem odejścia Petru oraz dwóch posłanek były urażone ambicje i uleganie emocjom. Te niekontrolowane emocje miały być zwłaszcza istotnym motywem działania posłanek, co sugeruje, że nie potrafią nad nimi panować.

– Dość obosieczny argument, biorąc pod uwagę, że to Katarzyna Lubnauer przyznała się, iż płacze w czasie oglądania filmów, a także okazało się, że potrafi się rozpłakać w czasie wywiadu – twierdzi jeden z moich rozmówców.

To kolejny z paradoksów dotyczących Nowoczesnej. – Ta partia miała być wyjątkowym, starannie zaplanowanym projektem. Wymyślonym przez profesjonalistów dla wymagającego elektoratu wielkomiejskich profesjonalistów, czyli jak się kiedyś mówiło: dla yuppie. Tymczasem żadna formacja na polskiej scenie politycznej nie działa w sposób tak nieracjonalny i chaotyczny – podkreśla politolog prof. Rafał Chwedoruk.

Jak mówi, dopiero dzięki Nowoczesnej docenił memy, czyli sposób, w jaki biegli w mediach elektronicznych potencjalni wyborcy tej partii komentowali niesłychaną serię wpadek jej polityków, zwłaszcza Ryszarda Petru.

Potencjał memotwórczy nie jest jednak dobrą referencją dla ugrupowania politycznego, choć – jak się wydaje – właśnie to zostanie zapamiętane najlepiej z dorobku Nowoczesnej.

Przez prawie trzy lata od wyborów parlamentarnych w Nowoczesnej rozgrywało się coś w rodzaju tureckiej telenoweli – pełnej zwrotów akcji, pałacowych intryg i spisków, wbijanego znienacka noża w plecy i ujawnianych niespodziewanie namiętności. To był pasjonujący spektakl, ale zdecydowanie nie tych rozrywkowych walorów oczekiwali wyborcy od tej partii.

MENTALNOŚĆ KORPORACJI

– O kryzysie w Nowoczesnej zaczęto mówić po portugalskiej eskapadzie Petru i Schmidt, ale narastał wcześniej. To tak jak przemoc w rodzinie – są problemy, ale tłamsi się je i długo nie wydostają się na zewnątrz. Ryszard od początku lekceważył wszystkich i uważał, że inne osoby w partii są tylko scenografią w sztuce napisanej dla niego – twierdzi polityk Nowoczesnej.

A jednak „monstrualne ego Petru" – jak określają to teraz jego dawni zwolennicy – nie przeszkadzało im, póki notowania partii wyrażały się dwucyfrową liczbą.

eprasa.pl d83cf5c87b

Skandal, który wybuchł w styczniu 2017 r., gdy ujawniono, że w trakcie sejmowych protestów opozycji Petru wybrał się z Joanną Schmidt do Portugalii, był punktem zwrotnym. Wszyscy zobaczyli, że partyjny lider nie umie sobie radzić w sytuacji kryzysowej.

Nikt zresztą nie potrafił rozbroić tej wizerunkowej bomby – także Katarzyna Lubnauer, która doskonale wiedziała przecież, dokąd i dlaczego polecieli Petru oraz Schmidt, ale opowiadała o służbowym charakterze ich podróży i znalazła się w fatalnej sytuacji, gdy Petru przyznał, że jednak był to wyjazd prywatny.

Główni aktorzy tych wydarzeń do dziś nie bardzo rozumieją, co się właściwie stało. Uważają, że mieli prawo do sylwestrowego wypadu, a pretensje do nich są nieuzasadnione. Ani przez moment nie czuli też, że robią coś, za co mogą ich spotkać przykre konsekwencje, pozowali wręcz do selfie z ludźmi, którzy prosili ich o to na lotnisku.

– Nawet radny gminy rozumie, że 24 godziny na dobę jest osobą publiczną i musi się pilnować. Zastanawiające, że ludzie, którzy mentalnie nadal tkwili w korporacji, uważali, iż o 17.00 odbija się kartę i kończy pracę. Ta historia pokazuje, co było słabością Nowoczesnej i jak mało wiedzieli jej ludzie, wchodząc do polityki – podkreśla prof. Chwedoruk.

„Polityczna dziewica" – powiedziała kiedyś o sobie Joanna Schmidt. I można określić tak właściwie wszystkich polityków Nowoczesnej. Partia była eksperymentem obarczonym dużym ryzykiem. Eksperymentem, który najwyraźniej się nie powiódł.

– Zastanawiam się, kiedy Nowoczesna znalazła się na Titanicu. Może bardzo wcześnie, jeszcze w 2016 r., kiedy nie potrafiła dobić leżącej na deskach Platformy. A wystarczyło w świetle kamer zaproponować jej wówczas koalicję i byłaby to koalicja na warunkach Nowoczesnej – mówi politolog.

Brak doświadczenia to wymówka, którą ciągle posługiwała się Nowoczesna. Z powodu braku doświadczenia nie potrafiono rozliczyć wydatków na kampanię wyborczą, co zostawiło partię z długami, które – jak z satysfakcją przypomniał już po odejściu Petru – Nowoczesna musi nadal spłacać.

Brakiem politycznego doświadczenia tłumaczyła wreszcie Lubnauer fatalne z punktu widzenia partii głosowanie w sprawie łagodzącego warunki aborcji liberalnego projektu „Ratujmy kobiety", kiedy członkowie Nowoczesnej nie zrozumieli, że chodzi o skierowanie go do komisji. To wszystko brzmiało źle, infantylnie i kompromitująco.

WAHADŁO I ZŁUDZENIA

Każda partia zamawia badania elektoratu i nie ujawnia ich wyników opinii publicznej. Ważne badanie zamówione przez Nowoczesną miało pokazać, jak postrzegana jest obecna liderka Katarzyna Lubnauer, a jak Ryszard Petru.

– Jedno z pytań brzmiało: jak wyobrażasz sobie mieszkanie Petru, a jak Lubnauer. Odpowiadano, że w mieszkaniu Petru na pewno dominuje szarość, jest w nim beton. A stylistyka to minimalizm. W mieszkaniu Lubnauer miały być różne drobiazgi i dość przytulnie. Pytano też, jak zachowaliby się ci politycy na bezludnej wyspie. Lubnauer miała szukać jedzenia i rozpalić ognisko, a Petru miał się rozejrzeć za dziewczyną, którą może poderwać – ujawnia jedna z posłanek Nowoczesnej.

Ta historia ma świadczyć o przewadze Lubnauer nad Petru. Politycy Nowoczesnej chętnie opowiadają teraz, jak fantastyczną liderką jest obecna przewodnicząca, a jak beznadziejny był Petru.

Chwałę Lubnauer głoszą także ci, którzy długo trwali przy poprzednim szefie partii.

– Katarzyna przypomina trochę Merkel, nie musi robić polityki bardzo efektownie, liczy się jednak skuteczność. Ze Schetyną rozmawia bez kompleksów, które miał Ryszard. Potrafi też rozmawiać z ludźmi z partii, wysłuchać, przytulić, wykazać w stosunku do nich atencję, której on nie przejawiał – twierdzi z gorliwością neofity Paweł Rabiej.

A jednak argument o wyższości „ciepłej" Lubnauer nad „chłodnym" Ryszardem brzmi dość śmiesznie. Bo wiele wskazuje na to, że elektorat Nowoczesnej absolutnie nie szukał ciepła, tylko skuteczności, i się zawiódł.

Nowoczesna – partia utworzona przez trzydziestolatków i czterdziestolatków dla trzydziestolatków i czterdziestolatków – nie miała oferować przytulenia wyborców do serca. Nie nastawiała się na wykluczonych ani poszkodowanych przez transformację, ale na beneficjentów zmian, którzy oczekiwali potwierdzenia swego statusu i pragmatycznego rozwiązania pewnych problemów.

A nawet jeśli spojrzymy na wynik partyjnych badań, kto zaręczy, że lemingom z miasteczka Wilanów i podobnych osiedli w innych wielkich miastach nie podobało się właśnie chłodne designerskie mieszkanie, w którym miał żyć Petru? Takie, w jakich sami mieszkają lub przynajmniej do tego aspirują?

Tymczasem nawet kreator Nowoczesnej Jakub Bierzyński twierdzi, że zależało mu na ociepleniu wizerunku Petru, a liczne wpadki byłego lidera Nowoczesnej pokazywały, że „na szczęście nie jest tak zupełnie doskonały".

Wiele wskazuje na to, że politycy Nowoczesnej karmią się złudzeniami. Katarzyna Lubnauer podkreśla, że po „mrokach światopoglądowych", jakie panują teraz, przyjdzie znów czas na „liberalne wartości" reprezentowane przez kierowaną przez nią partię.

– Wahadło wychyli się w drugą stronę. Wyborcy będą mieli dość przykładania nadmiernej wagi do historii, żołnierzy wyklętych i tym podobnych treści – wtóruje jej Paweł Rabiej. Politolodzy nie mają jednak złudzeń – czas Nowoczesnej definitywnie się kończy. – To największa klęska partii, z jaką mieliśmy w Polsce do czynienia. Po Nowoczesnej nic nie zostanie poza memami. Nie wniosła żadnych treści – podkreśla prof. Chwedoruk.

Jak mówi, można z tej historii wysnuć kilka wniosków. Po pierwsze – w Polsce ciągle nie ma miejsca na partię liberalną. Po drugie – wygrywają prawdziwi politycy, z pokolenia co najmniej pięćdziesięciolatków, z prawdziwym doświadczeniem, co widać choćby na przykładzie Schetyny, który ograł Nowoczesną. I wreszcie po trzecie – polityka to nie tylko marketing, a stworzenie partii jest bardziej skomplikowane i mniej przewidywalne niż sprzedaż proszku do prania.

eprasa.pl d83cf5c87b

Wkręceni w politykę



Fot. Andrzej Wiktor

To nie jest tak, że postulaty osób niepełnosprawnych są niesłuszne. Nie chodzi też o ich nieufność wobec rządzących – po wielu latach bojów wydaje się to zrozumiałe. Problem tkwi gdzie indziej – w tym, że protestujący stali się narzędziem w cudzej rozgrywce politycznej



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W tej sprawie nikt nie jest bez winy – ani rządząca prawica, ani przedstawiająca się dziś jako gorliwa obrończyni osób niepełnosprawnych liberalna opozycja. Protest trwa już z przerwą od kilku lat, a zaczął się jeszcze za rządów Donalda Tuska. Od tamtej pory ma się wrażenie, że obie strony konfliktu politycznego w Polsce przerzucają się problemami osób niepełnosprawnych jak gorącym kartoflem.

Teraz, gdy pojawiła się wreszcie szansa na realizację części postulatów, protestujący odrzucili kompromis, a sam spór – mocno podgrzewany przez opozycję – nabrał politycznego charakteru. I choć niezadowolone grupy społeczne często szukają wsparcia wśród opozycji, to powinny pamiętać, że mogą zostać wykorzystane w walce o nie swoją sprawę.

ŻYCIE NA MARGINESIE

O postulatach osób niepełnosprawnych Polska słyszy od prawie dziesięciu lat, odkąd ich protestujący opiekunowie zaczęli organizować pikiety przed Kancelarią Premiera. Szefem rządu był wtedy

eprasa.pl

Donald Tusk, a cała Polska – jeśli wierzyć ówczesnej propagandzie – radośnie grillowała w ogródkach. W mniej radosnych nastrojach byli rodzice, którzy musieli zapewnić z nędznych zasiłków utrzymanie swoim niepełnosprawnym dzieciom. Jak wówczas słyszeliśmy, miało im na to wystarczyć kilkaset złotych miesięcznie (sam zasiłek pielęgnacyjny w wysokości 153 zł wystarczał jedynie na pampersy). Biorąc pod uwagę to, że wielu niepełnosprawnych wymagało całodobowej opieki, oznaczało to fatalną sytuację tych i tak ciężko doświadczonych rodzin. Jeden z rodziców musiał bowiem zrezygnować z pracy, aby zająć się dzieckiem. Jeszcze gorszą sytuację mieli ci, którzy wychowywali niepełnosprawne dziecko samotnie.

Ówczesna koalicja PO-PSL nie przewidywała jednak dla takich ludzi i ich problemów miejsca w przestrzeni publicznej. W warunkach praktykowanego wówczas społecznego darwinizmu była to ślepa gałąź ewolucji. Ktoś, kto sobie nie umiał poradzić, był skazany na wyginięcie.

Dlatego trudno uwierzyć, że dziś, gdy protest znowu odżył, osoby tak ciężko doświadczone gotowe są uwierzyć w dobre intencje polityków, którzy jeszcze nie tak dawno temu ignorowali ich istnienie.

ROZBUDZONE NADZIEJE

Są jednak ku temu przyczyny. Wśród nich ta, że również prawica po zwycięstwie w 2015 r. zdawała się zapominać o szczególnej sytuacji niepełnosprawnych. A przecież w czasach Tuska to właśnie ona stanęła – i słusznie – w obronie tych osób. W marcu 2014 r. to poseł Arkadiusz Mularczyk (Solidarna Polska) wprowadził protestujących do Sejmu, gdzie został zorganizowany podobny do dzisiejszego, trwający 17 dni protest okupacyjny. Dzięki niemu Donald Tusk został wreszcie zmuszony do tego, aby stanąć oko w oko z protestującymi oraz ich podopiecznymi i wysłuchać ich postulatów. Protest został zawieszony zaraz po tym, gdy rządząca koalicja PO-PSL zdecydowała się na stopniowe podniesienie świadczeń w ciągu kolejnych lat. Było to tylko częściowe spełnienie żądań protestujących, Tusk nie zgodził się bowiem na podwyżkę do wysokości minimalnej płacy (w 2014 r. było to 1 680 zł brutto). Ostatecznie wyczerpani protestem niepełnosprawni i ich rodzice opuszczali wówczas Sejm z poczuciem porażki, mając obiecane jedynie 380 zł i niewielki wzrost tej kwoty w następnych latach.

Dla wielu z nich było zatem oczywiste, że jedynie odsunięcie PO od władzy może zapewnić im wyższe świadczenia. Można sądzić, że wielu zagłosowało rok później na prawicę, mając w pamięci pomoc, jakiej posłowie z tej strony udzielili im podczas protestu. I choć na wygranej PiS na pewno zyskali, np. pieniądze z programu 500+ oraz dalszy wzrost świadczeń obiecanych jeszcze przez Tuska (dziś to 1 407 zł, ale tylko dla osób, które zrezygnowały z pracy zawodowej na rzecz opieki nad niepełnosprawnym podopiecznym – to zastrzeżenie obowiązywało również za rządów PO-PSL), to jednak niektórzy spodziewali się czegoś więcej. Zapewne tego, że zostaną potraktowani w szczególny sposób z uwagi na warunki, w których przyszło im żyć. Że ograniczenia socjalne z czasów Tuska zostaną jeśli nie całkiem zlikwidowane, to przynajmniej znacznie zmniejszone.

ZNALEŹĆ PROBLEM

Trudno jednak oskarżać rząd PiS o złą wolę. Najprawdopodobniej zadziałał tu mechanizm odsuwania postulatów niepełnosprawnych na później. Wydawało się – i to był błąd – że, otrzymawszy środki z programu 500+ (dotyczyło to wyłącznie rodziców osób niepełnosprawnych poniżej 18. roku życia) i dalszy, choć niewielki wzrost świadczeń, będą cierpliwie czekać na lepsze czasy. Tym bardziej że po ośmiu latach rządów koalicji PO-PSL piętrzył się stos innych spraw wymagających pilnej interwencji. A dawni rządzący, dziś w totalnej opozycji, blokowali – jeśli tylko mogli – niemal każdą inicjatywę ze strony PiS, co wymagało skupienia uwagi i energii nie zawsze tam, gdzie pojawiały się uzasadnione potrzeby.

Z pewnością swoje zrobiło też przekonanie, że sytuacja ekonomiczna w kraju znacznie się poprawia. Skoro tak, to dlaczego udziału w tym torcie nie mieliby mieć również niepełnosprawni? „Rząd rozdaje pieniądze na prawo i lewo, wymyśla różne projekty. Niech pomaga wszystkim" – mówiła w rozmowie z RMF FM jedna z protestujących.

W tym właśnie miejscu oczekiwania niepełnosprawnych spotkały się z polityczną grą prowadzoną przez opozycję. O co chodzi? Odpowiedzi na to pytanie udzielił niecały rok temu Sławomir Sierakowski, który w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" mówił wprost o konieczności „przelicytowania PiS w sprawach socjalnych". „Przelicytować to znaczy wezwać do podwyżek dla kolejnych grup społecznych. Ogłosić szersze programy transferów społecznych. Komu się to nie podoba, niech zrozumie, że inaczej wyborów się nie wygra" – pouczał szef „Krytyki Politycznej. „PiS będzie miał problem, a opozycja rosnące poparcie" – przewidywał.

Zatem celem takiej licytacji jest stworzenie „problemu", który umożliwi powrót do władzy poprzedniej ekipie. Potrzeby społeczne są tu wyłącznie instrumentem walki politycznej, a podbijanie stawki w kwestiach socjalnych – odbiciem nadziei na niszczącą PiS katastrofę gospodarczą, o czym pisał onegdaj inny ideolog obozu antypisowskiego Jan Hartman.

PODBIJANIE STAWKI

Problemy niepełnosprawnych nadają się do takiej licytacji doskonale. Mamy tu bowiem osoby dotknięte realnymi problemami, całkowicie bezbronne i skazane na pomoc, co siłą rzeczy budzi powszechną empatię i zrozumienie dla ich postulatów. Dodatkowo są to często osoby dotknięte rozmaitymi wrodzonymi wadami i schorzeniami, a to w chwili, gdy trwa debata na temat eugenicznej aborcji, stawia część prawicy w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Należałoby bowiem oczekiwać, że osoby niepełnosprawne od urodzenia (lub nawet od wczesnego dzieciństwa) powinny być otoczone szczególną opieką przez prawicowy rząd. Nic zatem dziwnego, że protestujących odwiedził kard. Kazimierz Nycz i choć nie było komunikatu po spotkaniu, trudno sądzić, aby nie odniósł się do ich postulatów z sympatią.

eprasa.pl d83cf5c87b

Wreszcie pojawia się wątek rozczarowania postawą prawicy, która „wcześniej pomagała, a potem zapomniała". I choć – jak pisałem wyżej – nie całkiem odpowiada to prawdzie, to świetnie wpisuje się w propagandę opozycji o hipokryzji władzy, która nie wywiązuje się ze złożonych obietnic i dzieli obywateli na lepszych oraz gorszych.

Dlatego opozycja tak chętnie poparła postulaty niepełnosprawnych. A o tym, że sama ma wiele w tej sprawie za uszami, niewielu już dziś pamięta. Tym bardziej że sami protestujący uwiarygodnili opozycję, przyjmując jej „wsparcie", co zaostrzyło konflikt i utrudnia dziś jakiekolwiek porozumienie. Bo opozycji na nim nie zależy. Chodzi jedynie o podbijanie stawki.

LICYTACJA, A POTEM ESKALACJA

Z tego punktu widzenia wprowadzenie protestujących do Sejmu przez znaną z wielu antypisowskich prowokacji posłankę Joannę Scheuring-Wielgus było nie tylko zręcznym plagiatem akcji posła Mularczyka, lecz również wyraźną polityczną manifestacją. Jest jeszcze jedna, zasadnicza różnica – w 2014 r., po zawarciu wstępnego porozumienia z Donaldem Tuskiem, protestujący opuścili Sejm, a posłowie prawicy nie zaostrzali dłużej sporu. Dziś jest zupełnie inaczej. Antypisowska opozycja ciągle podgrzewa atmosferę, mając nadzieję na dalszą eskalację konfliktu.

Jest to tym bardziej widoczne, że protestujący wywalczyli już ważną część swoich postulatów. Sejm uchwalił ustawę podwyższającą rentę socjalną dla osób niepełnosprawnych, a prezydent natychmiast ją podpisał. Otrzymali także od rządu pakiet wart docelowo 1,8 mld zł rocznie sfinansowany m.in. z tzw. daniny solidarnościowej, czyli opłaty pobieranej od osób najlepiej zarabiających (od 87 tys. zł miesięcznie). Mimo to nie kończą protestu. Przeciwnie, odrzucają zaproponowany im pakiet, domagając się od państwa dodatku rehabilitacyjnego w wysokości 500 zł przyznawanego co miesiąc w gotówce. Dodatek ten – ciągle nie-waloryzowany od 2006 r. – wynosi dziś 153 zł, a więc tyle samo, ile za rządów PO-PSL. I właśnie o te 500 zł wszystko się rozbija.

Rząd nie chce przyznać 500 zł w gotówce, bo obawia się, że za chwilę w kolejce o podobne wsparcie ustawią się następni potrzebujący. A potem jeszcze kolejni i ostatecznie na fali socjalnych roszczeń dojdzie do wyborczej porażki. Nieufność wzbudza też postulowana przez protestujących kwota 500 zł – wyraźnie inspirowana programem 500+, co może – choć nie musi – sugerować, że podpowiedzieli ją im politycy opozycji, próbujący w ten sposób skompromitować ideę programu. Bo jeśli rząd przyzna kolejne 500 zł, to znaczy, że ma pieniądze, i inni również mogą się ustawić po nie w kolejce. A jeśli ich nie przyzna, to będzie można ogłosić, że to wszystko jest niepewnym humbugiem. I już teraz na tym tle pojawiają się wznoszone przez opozycję czysto polityczne hasła: jeśli nie macie pieniędzy na niepełnosprawnych, to skasujcie Wojska Obrony Terytorialnej, zlikwidujcie wyprawkę szkolną itd. Chodzi o to, aby cynicznie wykorzystać żądania niepełnosprawnych do walki z projektami rządu. Protestujący nie powinni się na to zgadzać. Tymczasem milczą.

> W 2014 r., po zawarciu wstępnego porozumienia z Donaldem Tuskiem, protestujący opuścili Sejm, a posłowie prawicy nie zaostrzali dłużej sporu. Dziś jest zupełnie inaczej

Kolejną wątpliwość budzi odmowa przyjęcia środków z daniny solidarnościowej, wyrażona przez jedną z protestujących: „Wolimy, żeby firmy i ludzie prywatni przekazywali nam pieniądze dobrowolnie, w postaci jednego procenta czy darowizn, a nie przymusowo", co może sugerować, że protestującym bardzo leżą na sercu dochody najlepiej zarabiających, mniej zaś wszystkich pozostałych. Trudno powiedzieć, czy to spontaniczna wypowiedź, czy może raczej zasugerowana przez posłów opozycji, którzy wolą, aby środki na pomoc dla niepełnosprawnych szły z podatków każdego z nas (bo zmniejszając w ten sposób dochody słabiej zarabiających, skutecznie zniechęca się ich do prawicy).

GDZIE ONI WTEDY BYLI?

Co do spornych 500 zł, to zapewne przyznanie ich niepełnosprawnym w gotówce zakończyłoby protest. I mówiąc szczerze, taka pomoc (choć można się zastanawiać, czy akurat konkretnie w tej wysokości) nie jest postulatem nieuzasadnionym. Szkoda, że tego problemu nie rozwiązano od razu po wygranej PiS w 2015 r. Ale i dziś, być może, byłoby pole do porozumienia, pod warunkiem jednak, że rząd nie czułby się przyparty do muru. Zwłaszcza że wielokrotnie udowodnił już, iż – w odróżnieniu od swoich poprzedników z PO – rozumie potrzeby społeczne i chyba zrobił najwięcej ze wszystkich rządów od 1989 r., aby podnieść poziom życia zwykłych obywateli.

W tym sensie udział opozycji, która eskaluje protest jedynie po to, aby uderzyć w prawicę, bardziej szkodzi niepełnosprawnym, niż im pomaga, ustawiając ich po stronie przeciwników rządu. Tak samo jak nie pomagają słowa jednej z protestujących o tym, aby „nie głosować na PiS". Można oczywiście zrozumieć żal, ale trudno po czymś takim zapewniać, że w tym proteście chodzi już wyłącznie o sprawy socjalne.

Świadczyć o tym może wykorzystanie postulatów niepełnosprawnych podczas ostatniego tzw. marszu wolności organizowanego przeciwko PiS przez opozycję. Może warto zatem, aby niepełnosprawni odpowiedzieli sobie na pytanie, gdzie byli ci wszyscy manifestujący, gdzie były te tak zatroskane dziś ich losem liberalne media, gdy oni dobijali się o zapomogę u Donalda Tuska.

eprasa.pl d83cf5c87b



Już nie tylko „ulica i zagranica”

Obóz rządzący musi rozpoznawać problemy społeczne, zanim staną się one narzędziem w ręku opozycji. Między innymi tym będzie się zajmowało niedawno powołane Centrum Analiz Strategicznych

Z prof. Waldemarem Paruchem, politologiem, doradcą marszałka Sejmu i członkiem Rady Programowej PiS, rozmawia Jacek Karnowski

Zdjęcia Artur Barbarowicz

Czy obóz rządzący jest w trakcie przebudowy? Pojawiają się nowe tony, znacznie łagodniejsze, także zmiany personalne zmierzają w kierunku raczej umiarkowania i łagodności niż wyrazistości. Czy można mówić o końcu pewnego etapu „rewolucji"?

Waldemar Paruch: Wymiana i premiera, i znacznej części ministrów była odpowiedzią na nowe zadania, które niewątpliwie należało postawić po dwuleciu rządzenia. Zadania z lat 2015–2017 zostały nakreślone jeszcze w opozycji, przed wyborami. I one zostały wypełnione, lepiej czy gorzej, ale jednak wypełnione. I dobrze, bo należało to zrobić szybko, nawet jeśli nie wszystkie obietnice były optymalnie zaprojektowane w kategoriach wykonawczych.

W jakim sensie?

Projektując zadania na lata 2015–2017, wiedzieliśmy, że obejmiemy Polskę w złym stanie, ale pełnej wiedzy o kondycji państwa nie mieliśmy, bo opozycja wszystkiego nigdy nie wie. Nie mieliśmy pełnych danych o gospodarce, o funkcjonowaniu centrum politycznego. Te informacje należało zdobywać bardzo szybko po przejęciu władzy, w biegu, jednocześnie przeprowadzając reformy.

Może więc nie należało się spieszyć z realizacją obietnic?

Ich szybka realizacja była kluczowa. Pokazała wyborcom, że PiS poważnie potraktowało swoje deklaracje przedwyborcze. To jest chyba pierwsza partia, która naprawdę postanowiła zrealizować swoje zapowiedzi wyborcze – to, co głosiła. Były one prezycyjnie sformułowane: 500+ i darmowe leki dla seniorów, wolność wyboru wieku emerytalnego, wolność wyboru dla rodziców sześciolatków oraz reforma wymiaru sprawiedliwości. To się udało szybko zrobić.

Za co rząd dostał premię w postaci wysokich notowań w sondażach, które z kolei pozwalały przetrwać „kontrrewolucję" w formie „ulicy i zagranicy".

Reformy i obietnice PiS zmieniały także ład społeczny w Polsce. W kilku segmentach. Przede wszystkim było to znaczące przesunięcie wydatków państwa w kierunku Polski wiejskiej i małomiasteczkowej, bo tam mieszka większość beneficjentów programu 500+. To z kolei pozwoliło PiS przekroczyć, i to stabilnie, próg 40 proc. poparcia. PiS nie kieruje się sondażami, ale każdy poważny polityk bierze je pod uwagę, bo jest to istotny instrument postrzegania rzeczywistości i projektowania kolejnych działań.

Tusk, jak dobrze mu szło, to niczego nie zmieniał.

Po zrealizowaniu obietnic wyborczych obóz rządzący musiał wyznaczyć kolejne zadania, funkcjonalne w kontekście kolejnych kampanii wyborczych. Przed nami bitwa o sejmiki wojewódzkie, następnie trudne dla PiS wybory europejskie, no i na koniec fundamentalne starcie o Sejm. Mówiąc o tych nowych zadaniach, musimy także pamiętać, że wiemy już więcej nie tylko o stanie państwa, lecz również o tym, jak zachowują się stronnictwa opozycyjne.

Tu chyba nie było wielkiego zaskoczenia.

Nie było pogłębionej refleksji na temat tego, co opozycja może zrobić, jak się będzie zachowywała. W pierwszych miesiącach wszystko się wyjaśniło, a więc z jednej strony strategia „ulica i zagranica", a z drugiej – „totalność" modelu opozycyjności i całkowite negowanie każdej decyzji rządzących.

PiS się tego nie spodziewało?

W takiej skali na pewno nie. Mówimy o zachowaniach, które były próbą sparaliżowania Sejmu. Opozycja sięgnęła po instrumenty wcześniej przez nikogo niestosowane. Andrzej Lepper jawi się na tym tle jako wręcz niewinny incydent.

To było świadome dążenie do sparaliżowania parlamentu?

Sądzę, że tak. Bez Sejmu nie da się wprowadzić żadnych ustaw. A proszę pamiętać, że obóz rządzący, po pierwsze, musiał działać szybko, a po drugie – w sposób zdyscyplinowany, ponieważ dysponował niewielką większością. I tak działał. Tu zasługi



marszałka Marka Kuchcińskiego są bezdyskusyjne.

Dlaczego opozycji nie udało się sparaliżowanie parlamentu?

PiS jest partią mocno zanurzoną w polskiej tradycji, w polskim doświadczeniu historycznym i pamięta, jak uśmiercono I Rzeczpospolitą. Wówczas, w pierwszej połowie XVIII w., sparaliżowano funkcjonowanie Sejmu, przez co nie można było przeprowadzić żadnych reform. PiS miało więc świadomość powagi sytuacji, tym bardziej że kolejną analogią były działania zewnętrzne wobec Polski, wzmacniające dekompozycję Sejmu.

Mówi pan o konieczności wyznaczenia nowych zadań. Z drugiej jednak strony po zmianie premiera i tonu komunikowania się przez PiS widzimy narastającą agresyw-

eprasa.pl d83cf5c87b



ność i pewność siebie sił opozycyjnych, szeroko pojętych.

Opozycja od pierwszych chwil jest bardzo agresywna, tu nie widzę różnicy. Dlaczego jednak mamy poczucie, że zaczęło być trochę trudniej? Bo partie opozycyjne świadomie uderzyły w najmocniejsze punkty nowego premiera. Pamiętajmy, że Mateusz Morawiecki został szefem rządu m.in. dlatego, że pojawiły się wyzwania związane z relacjami z zagranicą. A więc artykuł 7. i dyskusja nad budżetem unijnym, przy czym problem tzw. praworządności należy czytać jako próbę osłabienia pozycji Polski w kontekście dyskusji o finansach.

Artykułu 7 jak dotąd nie udało się trwale zablokować, choć temperatura sporu wyraźnie spadła.

> Protest niepełnosprawnych jest związany z modyfikacją strategii opozycji. To już nie tylko „ulica i zagranica". Opozycja zakulisowo wspiera roszczenia różnych grup i środowisk

Jest dużą zasługą premiera Morawieckiego zbudowanie takiej koalicji, która faktycznie uniemożliwia przegłosowanie sankcji wobec Polski. Na to wszystko nałożyła się sprawa ustawy o IPN. Opozycja wyraźnie grała na mocną reakcję amerykańską. Tu spotkało ją rozczarowanie, bo reakcja USA była bardzo powściągliwa. Administracja Trumpa ma oczywiście problem, bo potrzebuje zarówno Izraela, jak i Polski, ale jednak nie doszło do zdarzeń, które miałaby trwałe konsekwencje. Waszyngton potrzebuje nas, ponieważ nie uważa, że Europa musi być niemiecka.

Mówi pan o nowych zadaniach. Dlaczego ich wskazanie musiało być związane z wymianą ludzi?

To jest polityka w stylu Józefa Piłsudskiego, który stosował prostą zasadę: modyfikował politykę, wymieniając ludzi odpowiadających za poszczególne sektory. Taką politykę prowadzi także Jarosław Kaczyński, choć nie jest to, rzecz jasna, jedyna reguła, którą stosuje. Bo za tym wszystkim kryje się też ciekawy eksperyment.

Jaki?

Po raz pierwszy mamy premiera, który nie jest posłem. Również kilku ministrów na kluczowych stanowiskach nie zasiada w parlamencie. Mamy więc do czynienia z wyraźnym rozdzieleniem personalnym władzy wykonawczej od ustawodawczej.

To eksperyment świadomy?

Myślę, że tak. Mówił też o tym premier Morawiecki, akcentując urzędniczy charakter nowego rządu. O ile Beata Szydło wyrastała z poziomu samorządowego, o tyle jej następca przychodzi z poziomu korporacji. To niesie z sobą pewne ryzyko, ale także szanse. Ryzyko polega na konieczności zbudowania nowych więzi między szefem rządu a większością sejmową. To ważne, bo mobilizacja PiS w parlamencie, także wysoka frekwencja, jest ważnym czynnikiem sukcesu.

Czy za tymi zmianami nie kryje się przekonanie, że obozem zbudowanym w opozycji nie da się zmienić Polski? Że do modernizacji potrzebni są inni ludzie?

Można ten problem nakreślić inaczej. Elektorat PiS jest rozdwojony. Mamy elektorat żelazny i elektorat miękki.

eprasa.pl d83cf5c87b

Ten pierwszy to 25–28 proc. aktywnych politycznie Polaków. To ludzie bardzo mocno przywiązani emocjonalnie i do Jarosława Kaczyńskiego, i do PiS, o bardzo wyraźnym światopoglądzie. Z kolei ta druga grupa to wyborcy zdobyci w latach 2013–2015 i w pierwszym okresie sprawowania władzy. Obie te grupy są niezbędne do rządzenia, tworząc szeroką bazę społeczną. Koalicja PO-PSL przegrała m.in. dlatego, że jej baza coraz bardziej się zawężała, coraz mniej osób zaliczało się do beneficjentów tamtego układu, co nakręcało frustrację. Problem w tym, że te dwa elektoraty – żelazny i miękki – wysyłają teraz sprzeczne sygnały.

Jakie konkretnie?

Elektorat żelazny domaga się kontynuacji twardej polityki w każdym wymiarze, głębokich reform, zmian, rozliczenia poprzedników. Elektorat miękki jest zaś już nieco zmęczony dwuletnią mobilizacją. Musimy pamiętać, że rząd PiS zmienił parametry funkcjonowania w wielu obszarach, choćby w sferze edukacji czy służby zdrowia, co też ma swoje znaczenie, bo wiąże się z wysiłkiem. Miękki elektorat mówi więc: „Już dość, trochę zwolnijcie, nie za dużo naraz".

Ale jednocześnie gospodarka jest rozpędzona, miękki elektorat powinien być zadowolony.

Z badań wynika, że oczekiwania konsumpcyjne Polaków są najwyższe w historii III Rzeczypospolitej. Polacy chcą konsumować i chcą, by politycy im to zapewnili. Pamiętajmy, że mediana, czyli najczęściej występująca pensja, to ok. 2,5 tys. zł. Średnia pensja – ok. 4,8 tys. zł – fałszuje obraz. To typowy moment rewolucyjny: sytuacja się polepsza, ale oczekiwania są wciąż niezaspokojone. PiS dobrze pamięta rok 2007, rok rekordowego wzrostu gospodarczego i jednocześnie rok przegranych wyborów. Zły stan gospodarki przynosi politykom klęskę, ale rozpędzona gospodarka nie wskazuje zwycięzcy. Obóz rządzący zrobi wszystko, by scenariusz sprzed 11 lat się nie powtórzył.

Może należy więc podnieść podatki, by zaspokoić roszczenia?

PiS obiecało, że podatków nie podniesie, i do końca kadencji będzie to bardzo trudne.

Czy protest opiekunów osób niepełnosprawnych wynika także z rozbudzonych oczekiwań społecznych?

Na pewno wysłanie silnego komunikatu, że rząd ma pieniądze, że na polu podatkowym odnosi sukcesy, ma swoje konsekwencje. Zwracam jednak uwagę, że kwestia potrzeb osób niepełnosprawnych pojawiła się na rządowym radarze już wcześniej. Program Dostępność+ był przygotowywany od kilku miesięcy, a został ogłoszony przed wybuchem protestu, co umożliwiło szybką odpowiedź systemową. A sam protest jest związany z wyraźną modyfikacją strategii opozycji. To już nie tylko „ulica i zagranica".

> Elektorat PiS jest rozdwojony. Mamy elektorat żelazny i elektorat miękki. Problem w tym, że te dwie grupy wysyłają teraz sprzeczne sygnały

Lecz także tzw. socjal?

Opozycja zakulisowo wspiera roszczenia różnych grup i środowisk. W sprawie osób niepełnosprawnych PO trzyma się z boku. Zapewne liczyła na to, że to PiS upolityczni tę kwestię, ale tak się nie stało. Obóz rządzący próbuje rozwiązać problem merytorycznie. Inny przykład modyfikacji działań opozycji to duży nacisk na kwestie nagród, wszelkich przywilejów władzy, owych limuzyn i ich stłuczek. Chodzi o przedstawienie dobrej zmiany jako ekipy zachłannej, pazernej, oderwanej od ludzi. To z kolei oznacza, że celem jest rozbicie relacji PiS z tzw. ludem, a więc z tymi Polakami, którzy mają antyestablishmentowe, egalitarne nastawienie. Jest to o tyle łatwe, że tę opowieść pomagają budować potężne media sprzyjające opozycji.

Czyli jest to celne trafienie? Jak rząd może się bronić przed tego typu opowieścią?

Wydarzenia ostatnich lat pokazały, że media nie mają już takiej siły jak kiedyś. Mamy silną polaryzację środowiska dziennikarskiego, nie ma już ludzi, którzy mogliby aspirować do roli figur ogólnonarodowych i zarazem pozapolitycznych. Obywatele to widzą i umieją dobrze odczytać. Rządowi pomogła też opozycja, która tak przerysowała sytuację, że skompromitowała wiele opowieści medialnych. Gdy tyle się mówi o dyktaturze i braku wolności, a tego zagrożenia realnie nie widać, to w końcu na demonstrację w tej sprawie przychodzi garstka osób, co przydarzyło się PO parę dni temu. Dużo groźniejsze są dla obozu rządzącego spory światopoglądowe, ponieważ z badań wynika, że większość Polaków nie chce zmian np. w sferze ochrony życia.

Jednak Polaków można do pewnych spraw przekonać. Przykładowo gdyby rząd kierował się wyłącznie sondażami, nigdy nie wprowadziłby ograniczenia handlu w niedzielę. Gdy już to zrobił, okazało się, że ludzie przyjęli to z zadowoleniem.

Z pewnością dałoby się przekonać ludzi do wielu dobrych zmian, gdyby istniała elementarna spójność przekazu medialnego. Każdą zmianę wbrew większości wyborców trzeba przygotować co najmniej kilkumiesięczną opowieścią. Tak było w przypadku wolnych niedziel, a dodatkowo były grupy żywo zainteresowane zmianą, np. restauratorzy czy niewielki handel.

Kończąc wątek opiekunów osób niepełnosprawnych w Sejmie: czy rozwiązanie twarde, a więc np. wyniesienie tych osób, wchodzi w grę?

Byłoby to przyjęte fatalnie, ponieważ są to ludzie, mam na myśli niepełnosprawnych, którzy wywołują realną sympatię społeczną i współczucie.

eprasa.pl d83cf5c87b

Polacy wiedzą, że państwo o tych ludziach po prostu zapomniało. Problem polega na tym, że akurat ten rząd jako pierwszy chciał w tej sprawie zrobić bardzo dużo, w ramach wspomnianej wcześniej Dostępności+.

Ale te protestujące panie chcą żywej gotówki.

Chcą. Problem w tym, że status osób niepełnosprawnych jest bardzo złożony i zróżnicowany. Jeden ruch wywołuje kaskadę konsekwencji. Sytuacja nie jest więc łatwa także dlatego, że ten protest zaczyna realnie paraliżować Sejm, a przed nami Zgromadzenie Parlamentarne NATO, związane z konkretnymi wymogami bezpieczeństwa. Może da się część gmachu chwilowo wygrodzić, ale to z kolei zostanie przedstawione jako izolowanie się władzy i marszałka Kuchcińskiego. Już taką opowieść budują media popierające opozycję.

Jeśli zaś rząd ustąpi i da części niepełnosprawnych ową żywą gotówkę, będzie to przedstawione jako klęska, kapitulacja pod presją.

To jest tak poważna kwestia, że to nie może nas paraliżować. Opozycja pewnie spróbuje odtrąbić sukces, ale jej wiarygodność w tej sferze jest na tyle mała, że nie będzie to skuteczne. Z całej tej historii płynie ważna lekcja. Otóż obóz rządzący musi rozpoznawać problemy społeczne, zanim staną się one narzędziem w ręku opozycji. To trudne zadanie, wymagające wiedzy, doświadczenia i subtelności, ale nie ma innej drogi.

I to będzie zadanie niedawno powołanego Centrum Analiz Strategicznych, którym pan kieruje?

Między innymi. Projekt CAS wiąże się z przedefiniowaniem w światowej politologii tego, co nazywamy good governance, czyli dobrym rządzeniem. Przez dekady zakładano, że wiele decyzji można przesunąć do rzekomo niepolitycznych instytucji zewnętrznych. Okazało się jednak, że owe instytucje zaczęły kreować życie polityczne, ulegając różnym naciskom i nie ponosząc żadnej odpowiedzialności. Odpowiedzią na ten problem jest wzmocnienie otoczenia premiera. Pierwsza zaczęła to robić Margaret Thatcher. Jej chodziło także o to, by to nie urzędnicy decydowali o tym, co robi rząd, ale politycy. Jeżeli politycy nic nie mogą, system zaczyna się chwiać. Ludzie chcą decydować nie tylko o tym, kto rządzi, lecz także, co robi. To nie urzędnicy zatrudnieni w niepolitycznych instytucjach odpowiadają przed wyborcami, ale politycy i partie polityczne.

Premierzy zawsze mieli doradców, po co więc im dodatkowa instytucja?

Chodzi o systemowe wykorzystanie wiedzy naukowej w procesach decyzyjnych. To jest klucz do sukcesu. Przekonało się o tym PiS, które poszło w 2015 r. drogą wiedzy, a nie sztuczek. I które w oparciu o wiedzę, badania, napisało i program wyborczy, i strategię, i także wskazało kandydata na prezydenta. To wielka zasługa Jarosława Kaczyńskiego. Styl myślenia prezesa PiS.

Kampania to czas szczególny. Teraz może być tak, że pan i pana zespół narobi się po uszy, a polityk może rzuci okiem na stronę tytułową.

To zawsze jest ryzyko, ale właśnie dlatego CAS jest budowane inaczej niż dawne Rządowe Centrum Studiów Strategicznych. Jesteśmy usytuowani w kancelarii premiera, podlegamy bezpośrednio premierowi. Mamy wzmacniać, analizować, unowocześniać proces decyzyjny, a także uczestniczyć w podejmowaniu optymalnych decyzji. Mamy wspomagać decydentów, a nie ich zastępować.

POLECAMY

TELEWIZJA W POLSCE PL

BARYKADA

– MAGAZYN KRYMINALNY, CZYLI POLICJA, SŁUŻBY I MAFIA OD KULIS



PONIEDZIAŁEK
o godz. 12.27

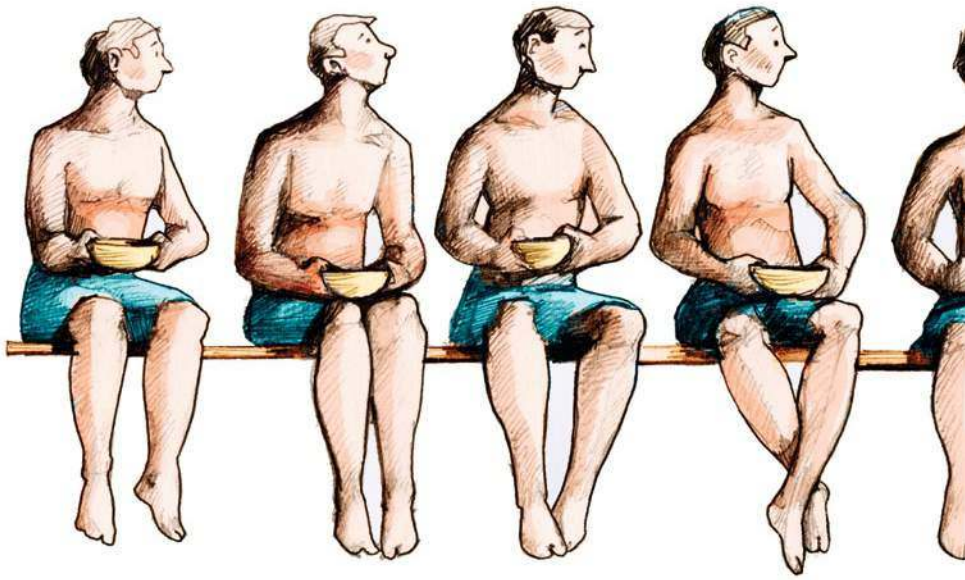
Autopromocja

OGLĄDAJ TELEWIZJA W POLSCE PL W CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196

eprasa.pl



PIOTR IKONOWICZ



Żegnaj, demokracjo, witaj, oligarchio

Jeżeli najbogatsi Polacy protestują i wrzeszczą z powodu kilkusetzłotowego podatku na najsłabszą grupę społeczną, czyli niepełnosprawnych, to znaczy, że każda próba ich opodatkowania na jakikolwiek cel spotka się z jeszcze większym oporem

Propaganda sukcesu jest szkodliwa dla tych, którym się źle wiedzie, czyli dla większości polskiego społeczeństwa. Żadna ze zwalczających się zaciekle formacji – ani PO, ani PiS – nie chce zrozumieć, że wzrost dochodu narodowego nie oznacza automatycznie wzrostu dobrobytu większości obywateli. Bierze się to z faktu, że wzrost gospodarczy nie przekłada się automatycznie na zarobki, na siłę nabywczą 16 mln ludzi pracy najemnej i ich rodzin. Tymczasem w latach 1989–2015 udział najbogatszego 1 proc. Polaków w dochodach wzrósł z 4 proc. do 14 proc., a udział 10 proc. najbogatszych w tym samym okresie wzrósł z 23 do 40 proc. W tym czasie górne 1 proc. najbogatszych Polaków przechwyciło prawie tyle z wartości, o którą wzrósł dochód narodowy, ile dolne 50 proc. Rozwarstwienie okazuje się wyższe, niż sądzono, gdyż dotychczasowe badania opierały się na ankietach w wylosowanych próbach i trudno było dotrzeć do najbogatszych, którzy zwykle odmawiają udziału w sondażu albo zaniżają swe dochody. Dopiero sięgnięcie po dane z deklaracji podatkowych pozwoliło na stworzenie bliższego rzeczywistości obrazu rozwarstwienia. Stale rośnie wysokość dochodów z kapitału w stosunku do dochodów z pracy. Spada udział płac w rosnącym dochodzie narodowym. Paweł Bukowski z London School of Economics oraz Filip Novokmet z Paris School of Economics opublikowali przełomowy raport o nierównościach ekonomicznych w Polsce. Wynika z niego, że nasz kraj pod względem nierówności dochodowej jest w czołówce państw europejskich i pod względem rozwarstwienia wyprzedza nas tylko Grecja.

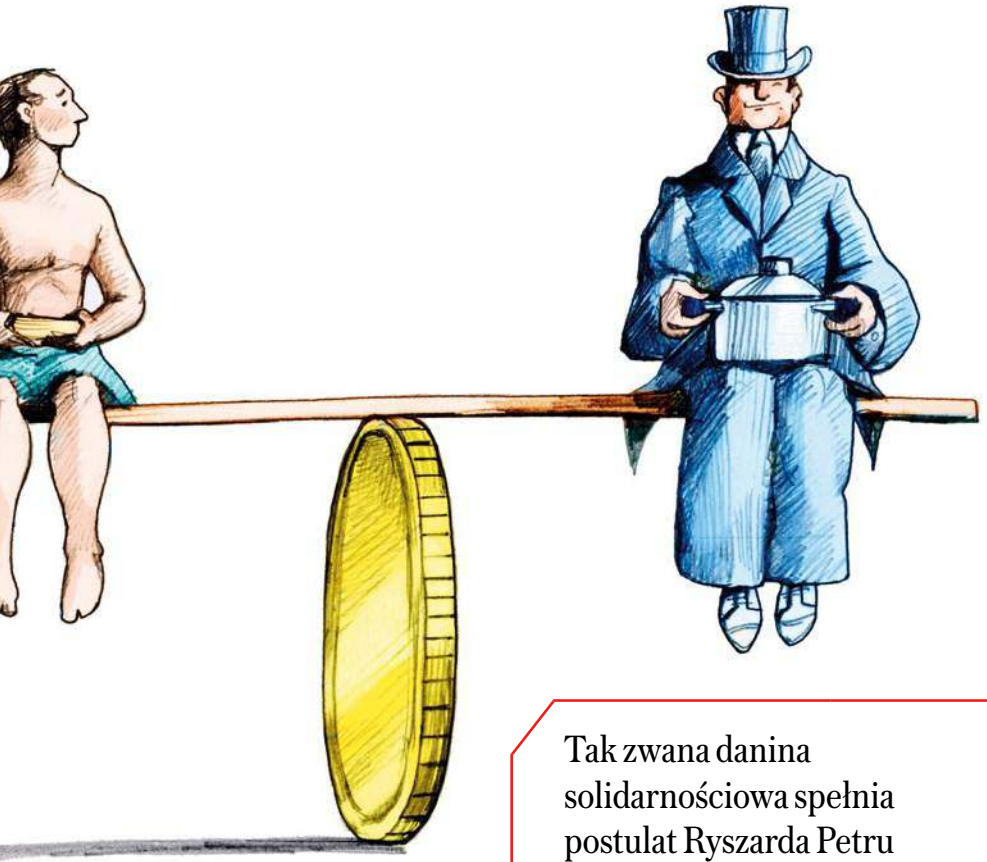
W ramach propagandy sukcesu rozpowszechniane są informacje o płacach średnich. W Warszawie ta średnia ma wynosić 6 232 zł brutto. Spróbujmy się zastanowić, jaki standard życia może się kryć za tą informacją. 6 232 zł brutto to 4409 netto (na rękę). W Warszawie wynajęcie skromnego mieszkania dla trzyosobowej rodziny kosztuje na rynku 2 300 zł. Zostaje 2 032 zł. Prąd, gaz – ok. 300 zł. Zostaje 1 732, które podzielone na typową, trzyosobową rodzinę, daje 577 zł na osobę. Na transport, wyżywienie, ubranie, środki higieny osobistej, leki, łączność (komórki, internet itp.) pozostaje ok. 19 zł dziennie na osobę. To raczej nie jest dobrobyt. A tej średniej nie osiąga zdecydowana większość warszawiaków.

Wiemy już, że wzrost dochodu narodowego to korzyść dla najbogatszych osiągnięta kosztem większości ciężko pracującego społeczeństwa. Tę niesprawiedliwą strukturę dochodową i majątkową w Polsce trudno będzie zmienić, bo ludzie nie widzą związku między „ich" bogactwem a „swoją" biedą. Ludzi bardziej rażą pensje poselskie niż astronomiczne zarobki menedżerów w sektorze prywatnym. Wroga widzą w państwie, a nie w firmach, które narzucają wysokie ceny, korzystając ze swej monopolistycznej lub quasi-monopolistycznej pozycji, wypłacając śmieszne wynagrodzenia, mimo osiągania gigantycznych zysków. I choć te zyski wynikają z pracy osób zatrudnionych, nikt u nas jeszcze o tym tak nie myśli.

Nie należy się więc dziwić, że protestujące pielęgniarki zapytane przez

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d83cf5c87b



> Tak zwana danina solidarnościowa spełnia postulat Ryszarda Petru z naddatkiem. Najbogatsi oddadzą 500+, jak chciał poseł Nowoczesnej, i dołożą jeszcze pareset złotych

ówczesnego premiera Jarosława Kaczyńskiego, czy chciałyby, aby na poczet podwyżek pensji dla nich rząd sięgnął do „głębokich kieszeni", odpowiedziały, że nie chcą sięgać do niczyich kieszeni. Nic dziwnego, że opiekunowie niepełnosprawnych okupujący Sejm odmówili poparcia propozycji daniny solidarnościowej na pokrycie ich postulatów, która miałaby być nałożona na najbogatszych Polaków, zarabiających powyżej 20 tys. zł miesięcznie. Byli to też winni neoliberalnym politykom z Nowoczesnej, którzy ich do Sejmu wprowadzili.

Polskiemu społeczeństwu wmówiono, że nakładanie podatków to grabież. Wmówili to biedakom ludzie zamożni i bogaci, którzy ani myślą się dzielić swymi wysokimi dochodami z ludźmi, którym zwyczajnie nie wystarcza do pierwszego, mimo że ciężko pracują.

Był taki moment, kiedy jeszcze wicepremier Mateusz Morawiecki zaproponował wprowadzenie rozbudowanego, progresywnego systemu podatkowego. W dyskusjach telewizyjnych poparłem wtedy ten pomysł z entuzjazmem, ale przedstawiciele pracodawców zapowiedzieli, że jeżeli nowy system wejdzie w życie, oni będą go omijać i sabotować. Odniosłem wtedy wrażenie, że to nie rząd wyłoniony przez społeczeństwo w demokratycznych wyborach rządzi w Polsce, tylko ci bogaci, pewni siebie przedstawiciele kapitału, pracodawcy, wybrańcy losu. I niestety życie przyznało mi rację. Wkrótce wicepremier porzucił plany wprowadzenia sprawiedliwszego systemu podatkowego, wzorowanego na zachodnich, dojrzałych demokracjach.

Teraz, w związku z protestem opiekunów niepełnosprawnych w Sejmie, Mateusz Morawiecki, już w roli premiera, podjął kolejną próbę. Zaproponował tzw. daninę solidarnościową od najbogatszych. Niespełna 1 tys. zł od ludzi zarabiających miesięcznie co najmniej 20 tys. zł. I podniósł się niewiarygodny jazgot w obronie, jak to mówili dziennikarze, „raczkującej klasy średniej". Kiedy mówimy, że ktoś raczkuje, to mamy na myśli istotę słabą i bezbronną, niemowlaka. Jakoś nie widzę, żeby ludzie tak zamożni byli słabi i wymagali specjalnego traktowania. Prawdę mówiąc, takich zarobków większość ich rodaków nawet nie umie sobie wyobrazić. Obrońcy bogaczy najczęściej zmieniali temat, wskazując jakieś inne źródło, z którego środki dla opiekunów można by pozyskać. Ryszard Petru wymyślił, a przyznać trzeba, że tęgi z niego myśliciel, aby zabrać 500+ najbogatszym. Obrońcy dodawali też, że przecież bogacze dają na biednych w ramach swej działalności dobroczynnej. Powstaje więc pytanie, jak to się dzieje, że najbogatsi Polacy, niestroniący od przekazywania datków na biednych, zechcieli się w ogóle schylić po te 500+ na dziecko, skoro można odzyskać tak znaczne kwoty, odbierając im to uprawnienie. Ponadto wprowadzenie owej daniny to jest właśnie odebranie im po 500 zł plus jeszcze jakieś pareset zotych. Więc danina spełnia postulat pana Petru z naddatkiem. Oburzenie na pomysł premiera wynika jednak wciąż z tego obłędnego przekonania, że nie wolno, jak mówili przeciwnicy daniny, sięgać po „cudze" pieniądze. To by musiało znaczyć, że rząd dysponuje jakimiś „swoimi" pieniędzmi, a tak przecież nie jest. Każde pieniądze w budżecie kiedyś były „cudze", czyli prywatne, aż stały się „nasze", czyli publiczne. Na tym polegają podatki.

Jeżeli najbogatsi Polacy protestują i wrzeszczą z powodu kilkusetzłotowego podatku na najsłabszą grupę społeczną, jaką można sobie wyobrazić, której ogromna część żyje w nędzy i ewidentnie potrzebuje pomocy, czyli niepełnosprawnych, to znaczy, że każda próba ich opodatkowania na jakikolwiek cel spotka się z jeszcze większym oporem z ich strony. Jeżeli obronią się przed większą daniną publiczną skutecznie, to potwierdzi moje najgorsze przypuszczenia, że nie Sejm, nie rząd tu mają władzę, tylko oni. I to mimo że wbrew liberalnej propagandzie większość ankietowanych popiera pomysł daniny na rzecz niepełnosprawnych. Wtedy żegnajcie pozory demokracji i witajcie rządy pieniądza, witaj, oligarchio.

eprasa.pl d83cf5c87b

Trzeba spokojnie pokazywać nasze racje

Strona polonijna uzyskała dzierżawę nowej lokalizacji pomnika katyńskiego na 99 lat oraz przejęcie przez miasto wszystkich kosztów operacji jego przenosin i większą część kosztów zagospodarowania terenu. To wymierne i duże osiągnięcie Polonii oraz dyplomacji

Jacek Karnowski rozmawia z Maciejem Golubiewskim, konsulem generalnym RP w Nowym Jorku



Fot. Wojciech Kubik/East News

Czy ma pan już jasność, jakie motywy kierowały burmistrzem Jersey City Stevenem Fulopem? Dlaczego zapowiedział, i to w sposób niezwykle obcesowy, przesunięcie pomnika katyńskiego? Dlaczego obraził marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego? Dlaczego odmawiał spotkań z przedstawicielami Polski i Polonii? Co wynika z perspektywy parunastu dni?

Maciej Golubiewski: Motywy burmistrza były bardzo jasne i ogólnie racjonalne. Chciał wypełnić wyborcze obietnice i rozwinąć teren, na którym stoi pomnik, w park rekreacyjny dla rodzin. Plany deweloperskie przewidywały na miejscu monumentu wybudowanie fontanny, ale dowiedzieliśmy się o tym później. Pierwszy tweet Fulopa o planach przesunięcia pomnika rozpoczął burzę na Twitterze. Oliwy do ognia dolały lokalne media z Jersey City. Pod wpływem politycznych wrogów Fulopa w radzie miejskiej połączyły sprawę pomnika z jego domniemanymi koneksjami z firmą deweloperską, która w formule partnerstwa prywatno-

eprasa.pl d83cf5c87b

-publicznego jest odpowiedzialna za rozwój terenu, na którym znajduje się monument. To właśnie wypowiedzi dewelopera, który nazwał pomnik m.in. „makabrycznym", spowodowały falę tzw. internetowego hejtu, również antysemickiego, na burmistrza, które mu przetłumaczono z języka polskiego, i one wywołały jego emocjonalną reakcję. To spowodowało eskalację z jego strony i jego haniebny wpis na Twitterze, co ostro i publicznie skrytykowałem na spotkaniu z Polonią w mojej przemowie 6 maja, podczas obchodów rocznicy 3 Maja w Domu Narodowym na Greenpoincie. Sam byłem wściekły. Dopiero potem dowiedziałem się o antysemickiej fali wobec Stevena Fulopa oraz o jego stanie emocjonalnym, co w żaden sposób oczywiście nie usprawiedliwia jego komentarza. Wtedy się „zaciął" i przestał reagować na oficjalne prośby o spotkanie.

Rozmawiając z nim, zorientowałem się, że jest osobą bardzo liberalno-lewicową, kulturowo oddaloną od ludzi, którzy kładą nacisk na honor, historię i tradycyjny patriotyzm. Dopiero gdy wskazałem mu pewne podobieństwa polskiej kultury patriotycznej do tej na południu USA, gdzie studiowałem, zauważyłem, że zaczął rozumieć nasz punkt widzenia. Pan burmistrz nie znał społeczności polskiej, która ani nie jest specjalnie liczna, ani widoczna w tym mieście. Miał za to w głowie różne stereotypowe wyobrażenia. W amerykańskiej rzeczywistości, jeśli nie robi się wspólnie interesów, nie wchodzi się w interakcje, to w pewien sposób się nie istnieje. Pan Steven Fulop funkcjonował więc w pewnej bańce, zarówno mentalnej, jak i realnej.

Czy jednak to, że pozwolił sobie na dość brutalne działania niemal instynktownie, nie mówi nam wiele o rzeczywistej pozycji Polski i Polonii? Nie odezwałby się w ten sposób np. do Hindusów, choć zapewne wie o nich równie mało, co o Polakach.

To prawda. Polonia rzeczywiście nie wypracowała sobie liderów, którzy byliby wystarczająco zauważalni i mogli kreować obraz Polski w USA. Dawni liderzy odeszli, nowych nie ma. Ale musimy też pamiętać o całych dekadach, w których mało kto bronił dobrego imienia Polski na świecie. W tym okresie utrwaliły się owe złe stereotypy. W latach 50., 60. i później wielu naszych rodaków, choć – rzecz jasna – nie wszyscy, wstydzili się swego pochodzenia, ukrywali je. Wstydzono się i wcześniej np. tego, że to anarchista polskiego pochodzenia Leon Frank Czolgosz zabił prezydenta USA Williama McKinleya. Wielkie przebudzenie Polonii nastąpiło w okresie walki o niepodległość i II Rzeczypospolitej, z tego wyrosła m.in. Błękitna Armia i ogromna pomoc dla kraju. Później jednak wszystko wróciło do złej normy, z wyjątkiem krótkiego okresu „Solidarności". Pontyfikat papieża Jana Pawła II przełamał stereotypy tylko wśród wierzącej i konserwatywnej części społeczeństwa amerykańskiego, która niestety też jest w kulturowej defensywie. Doszły również traumatyczne doświadczenia społeczności żydowskiej, która walczyła o przetrwanie w Polsce przeoranej brutalną okupacją niemiecką oraz sowiecką, pozbawionej państwowości i elit.

> Najważniejsze jest to, by Polonia działała na scenie lokalnej, tam, gdzie mieszka i żyje. Trzeba wchodzić w koalicje z innymi społecznościami etnicznymi. Trzeba pokazywać, że Polacy dbają o szeroko pojęte dobro publiczne. Wówczas staną się atrakcyjnym partnerem dla innych grup, także dla rządzących

Jak można opisać ów negatywny stereotyp Polski i Polaków?

Polaków portretowano w większości jako ludzi odnoszących sukcesy, ale publicznie biernych, niespecjalnie interesujących się polityką. Po 1989 r. państwo polskie, choć już mogło, tym problemem się nie zajęło, ponieważ inne sprawy były na pierwszym planie. I tak to trwało dekadami, nawarstwiając się.

Z drugiej strony „bitwa o pomnik" pokazała, że za pomocą relatywnie niewielkich środków można wiele osiągnąć. Można przełamać nawet głębokie uprzedzenia. Pan nazwał to „dyplomacją wielotorową", czyli działaniem za pomocą możliwie wielu instrumentów.

Najważniejsze jest to, by Polonia działała na scenie lokalnej, tam, gdzie mieszka i żyje. Trzeba wchodzić w koalicje z innymi społecznościami etnicznymi. Trzeba pokazywać, że Polacy dbają o szeroko pojęte dobro publiczne. Wówczas staną się atrakcyjnym partnerem dla innych grup, także dla rządzących. To jest klucz. Nie można sprawiać wrażenia, że ważny jest dla nas tylko interes naszej grupy, trzeba pokazywać, iż interesuje nas całość, wszystko.

Tego zainteresowania problemami bardziej uniwersalnymi jest za mało?

Tak, tego jest za mało. Z mojego doświadczenia wynika, że najbardziej skuteczne są osoby, które są z jednej strony bardzo zintegrowane ze społeczeństwem amerykańskim, mają wręcz amerykańską mentalność, a z drugiej – pamiętają o swoich korzeniach. Spotkałem takich osób całkiem sporo. Jeśli np. świetny inżynier, menedżer czy finansista pokazuje wszystkim, że Polska – kraj jego przodków – jest dla niego ważna i jest z niej publicznie dumny, to buduje w ten sposób zaufanie do tej lokalnej polskiej marki.

eprasa.pl d83cf5c87b

Taką osobą jest np. Eryk Lubaczewski, czyli człowiek, który prowadził negocjacje w sprawie pomnika. On pokazał nam wszystkim, że najlepsze efekty przynoszą osobiste kontakty. Jeśli nie ma się osobistych kontaktów wychodzących poza Polonię, jeżeli nie jest się zintegrowanym, to nie można skutecznie rozwiązywać problemów.

W sprawie pomnika osobiste kontakty Eryka Lubaczewskiego okazały się decydujące?

Pomogła mobilizacja Polonii, pomogła budowa szerszej, lokalnej koalicji. Ten nacisk był ważny. Ale wspomniane osobiste kontakty były torem, który umożliwił pchnięcie sprawy do przodu. To Eryk Lubaczewski wciągnął w tę sprawę Douglasa Palmera, czyli szefa stanowej konferencji burmistrzów. Dla tak ambitnego człowieka jak Steven Fulop głos osoby, która w jego profesji jest legendą, musiał mieć znaczenie.

Czy znaczenie miały także głosy organizacji żydowskich, wspierające polskie stanowisko?

Burmistrz oficjalnie temu zaprzecza, lecz może nie chce publicznie o tym mówić, gdyż oznaczałoby to przyznanie, że jest od kogoś zależny. Ale to na pewno musiało pomóc, bo wiem od osób, które go znają, że pan Fulop jest aktywny w środowiskach żydowskich. Nie był to jednak w mojej ocenie czynnik decydujący. To, że burmistrz przynależy do konkretnej grupy tożsamościowej i religijnej, nie jest definiującą rysą jego tożsamości. On bardziej postrzega siebie jako profesjonalnego, ambitnego polityka, który chce rozpędzić swoje miasto.

Ostatecznie został zawarty kompromis i pomnik zostanie przesunięty o 60 m, ale pozostanie na tym nabrzeżu. Czy rzeczywiście nie dało się obronić monumentu w jego dotychczasowej lokalizacji?

Z tego, co wiem, bo sam przecież nie byłem stroną w negocjacji lokalizacji, to analizy prawne były dla strony polonijnej niekorzystne. Wynikało z nich, że umocowanie prawne tego pomnika jest bardzo słabe. Polonia i Komitet Katyński wiedziały o tym od dawna, dlatego już 15 lat temu zabiegały o dzierżawę tego terenu, należącego do miasta, i teraz przewidzianego pod partnerstwo publiczno-prywatne. Wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że jeżeli sprawa trafi do sądu, to burmistrz wygra i pomnik trafi do magazynu – nie wiadomo na jak długo i co się z nim stanie potem. Były już wcześniej takie precedensy. Niektóre pomniki nawet w samym Jersey City po prostu zniknęły. Pamiętajmy, że mieszkają tam setki grup etnicznych z całego świata. Niebezpieczeństwo było tak realne, że szukanie alternatywnego rozwiązania okazało się najlepszym wyjściem. Paradoksalnie szansą stały się te wszystkie ostre wypowiedzi Stevena Fulopa.

> Polonia nie wypracowała sobie liderów, którzy byliby wystarczająco zauważalni i mogli kreować obraz Polski w USA. Dawni liderzy odeszli, nowych nie ma

Przesadził i tym samym stworzył nam szansę?

Na pewno w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że z tego może być duża afera. Na początku nie rozumiał chyba, że wchodzi do dużej gry. Myślał, że działa w próżni. Nie widział, że wokół jest Polonia, z którą przynajmniej potencjalnie należy się liczyć. Ale ostatecznie dotarło do niego, że dużo ryzykuje, że może nadszarpnąć swój wizerunek, że wchodzi w zderzenie również z dyplomacją innego państwa. Wiemy, że gdyby nie wsparcie konsulatu, nie udałoby się uzyskać sądowego zabezpieczenia pomnika, co zapobiegło jego szybkiej rozbiórce. Autorytet Polski sprawił, że gra zaczęła się toczyć na innym, wyższym poziomie. Obie strony zaczęły szukać rozwiązania, które każdej pozwoli wyjść z twarzą z konfliktu.

Czy powody, dla których burmistrz w ogóle chciał usunąć ten pomnik, są według pana wiarygodne?

Na pewno jest to miejsce rzeczywiście bardzo, bardzo drogie. To prestiżowa lokalizacja. Chęć zagospodarowania tego terenu przez miasto wydaje się więc zrozumiała. Stronie polskiej, w tym autorowi pomnika Andrzejowi Pityńskiemu, zależało na tym, by pomnik nadal stał na tle Manhattanu. To był warunek sine qua non Polonii. I to się udało. Zauważmy też, że burmistrz zaczął się wypowiadać bardziej koncyliacyjnie, wyraził chęć odwiedzenia Polski i spotkania się z marszałkiem Karczewskim...

...ale nie przeprosił.

Na razie powiedział, że żałuje swoich słów (taka formuła „non-apology apology" w USA jest publicznie używana z racji obaw, że przeprosiny mogą być użyte w sądzie), przeprosiny są, mam nadzieję, przed nami, bo Polski i jej władz nie można obrażać. Powiedział mi, że zależy mu bardzo na osobistym wyjaśnieniu całej tej sprawy z panem marszałkiem. Być może przeprosiny nastąpią właśnie w Polsce. Wracając do porozumienia: strona polonijna uzyskała dzierżawę nowej lokalizacji na 99 lat oraz przejęcie przez miasto wszystkich kosztów operacji przenosin pomnika i większą część kosztów zagospodarowania terenu. To wymierne i duże osiągnięcie Polonii oraz dyplomacji.

W Polsce pojawiały się informacje, że chęć usunięcia pomnika może być związana z rosyjskimi kontaktami biznesu, który chce przejąć ten teren. Czy to się potwierdziło?

Nie wydaje mi się. Firma deweloperska, która jest częścią tego projektu, ani jej szefowie nie mają żadnych zauważalnych powiązań z Rosją. To duża grupa, znana i aktywna w New

35/0418/F

eprasa.pl d83cf5c87b

Jersey, specjalizująca się w infrastrukturze. Według amerykańskich mediów to przedsiębiorstwo blisko związane z burmistrzem, ale to sytuacja dość standardowa w Ameryce. Gdyby istniał wątek rosyjski, pewnie by wybrzmiał, bo to temat dziś w USA bardzo chwytliwy.

Po zakończeniu rozmów zaprezentowano wizualizację nowej lokalizacji, ale z perspektywy Polski trudno ocenić, czy nie oznacza ona obniżenia prestiżu pomnika, czy nie jest schowaniem go gdzieś na uboczu.

Obecne miejsce ma charakter bardzo publiczny, lecz w pewnym sensie także anonimowy. Jeśli powstałby tam teren rekreacyjny, to pomnik i tak straciłby część swojej ekspozycji, stałby się mniej zauważalny. Nowa lokalizacja to nieco mniejsza przestrzeń, ale monument będzie tam rzeczywiście dominował, będzie najważniejszy. Będzie czymś więcej niż dziełem sztuki w ładnym parku. Jest też miejsce na jakąś ekspozycję, może stałą wystawę, tablice informacyjne, choć wymaga to jeszcze przemyślenia. Może tam powstać coś w rodzaju sanktuarium katyńskiego.

Wracając na koniec do pana Fulopa i jego pierwszych wypowiedzi: atakując marszałka Karczewskiego, przywołał on – uzasadniając swój niebywały wybuch – ustawę o IPN. Czy rzeczywiście w USA ta sprawa jest tak szeroko znana?

Ustawę o IPN przywołał w tekście o pomniku i planach jego usunięcia reporter lokalnego portalu, od którego „odbił się" burmistrz, pisząc swojego tweeta. Burmistrz uchwycił się właśnie tego wątku. Czy wcześniej miał wiedzę o ustawie? Raczej wątpię. Tak jak wątpię, czy wiedział, kogo tak naprawdę atakuje. Ale to już za nami, teraz musimy tylko dojść do końca. Rozumie to także sam burmistrz, coraz bardziej przejęty całą historią. Tym samym możemy mówić o wręcz wzorcowym załatwieniu tej sprawy.

Dlaczego?

Bo tak właśnie należy postępować z naszymi przeciwnikami i wrogami. To są często ludzie niechętni nam nie z powodu jakichś fundamentalnych interesów czy poglądów, ale z niewiedzy, ignorancji i uprzedzenia. To są ludzie, którzy nigdy nie wchodzili w żadne relacje z Polakami. Zwracał na to uwagę premier Morawiecki na początku kryzysu, mówiąc nam, że trzeba spokojnie pokazywać nasze racje, prezentując gotowość do szukania porozumienia. Przypadek pomnika w Jersey City może tu być wręcz kanoniczny dla rozwiązywania tego typu sporów. A więc nie konfrontacja i stawianie wszystkiego na ostrzu noża, bo takie działania potwierdzają tylko stereotyp, ale rozmowa, dialog, kontakt. Trzeba zmieniać sposób myślenia ludzi. Tak się odnosi prawdziwe sukcesy.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście jest ubezpieczenie!

Ubezpieczenia podróżne

W ofercie dostępne również ubezpieczenia:
mieszkaniowe, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl



eprasa.pl d83cf5c87b

Mafia pod ochroną państwa

Amber Gold i OLT jako układ mafijny, w który zamieszani byli pierwszoligowi politycy. W dodatku kryty przez niemal wszystkie centralne instytucje państwa. To sensacyjnie brzmiąca hipoteza, ale coraz bardziej prawdopodobna. Ostatnie tygodnie prac komisji śledczej dowodzą, że na najwyższym szczeblu musiała zapaść decyzja: ABW ma przypilnować, by kluczowe elementy afery nie zostały wyjaśnione



MAREK PYZA



Krzysztof Bondaryk, były szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego

Komisja zakończyła badanie wątku ABW. Do historii przejdzie kilka obrazów z sejmowych posiedzeń: były szef Agencji Krzysztof Bondaryk arogancko unikający odpowiedzi na najważniejsze pytania i przy kolejnym zasłonieniu się niepamięcią kpiący: „Są takie metody przesłuchań, że ludzie wszystko sobie przypomną". Jego następca Dariusz Łuczak przyznający, że ABW „była i jest jednym wielki kompetencyjnym śmietnikiem", a także rozbrajająco podsumowujący rolę w sprawie Marcina P.: „Według mnie był słupem, jednak bardzo mi przykro, że do tej pory ABW i prokuraturze nie udało się tego udowodnić w materiale dowodowym". Zapamiętamy konfrontację Jarosława Dąbrowskiego, byłego wiceszefa gdańskiej delegatury ABW, z naczelnikiem z tej jednostki – w trakcie tego przesłuchania dowiedzieliśmy się, jak przełożeni blokowali pracę funkcjonariuszy operacyjnych, by nie rozgrzebywano niewygodnych faktów.

Ale chyba bardziej warte odnotowania były zeznania złożone przez „świadka nr 17", obecnie funkcjonariusza Służby Kontrwywiadu Wojskowego, a w 2012 i 2013 r. pracującego w ABW. Potwierdził on,

Fot. Andrzej Hulimka/REPORTER

iż na Wybrzeżu istniała sieć wzajemnych powiązań – polityków, przestępców mieniących się biznesmenami, ludzi służb specjalnych, a także wymiaru sprawiedliwości. Zeznał również, że w 2013 r. przerwano rozpracowywanie tego układu, a decyzja taka – którą przekazał mu jeden z wiceszefów ABW – zapadła „poza Agencją".

UKŁAD SIĘ OBRONIŁ

To szokujące słowa, bo oznaczają, że rozkaz wygaszenia jednego z najciekawszych wątków sprawy przyszedł od polityków. A może właśnie taka interpretacja afery już nie powinna szokować? Z dzisiejszej perspektywy nie ma przecież nic dziwnego w myśleniu o Amber Gold jako przedsięwzięciu mafii. Jej klasyczna definicja wskazuje, że chodzi o grupę przestępczą mającą powiązania ze światem władzy.

Czy tak było w przypadku Amber Gold? Patrząc przez pryzmat funkcjonowania wszystkich instytucji państwa – mniej lub bardziej zależnych od polityków – to uzasadniona hipoteza. Bez parasola ochronnego w świecie polityki nie sposób było bowiem przeprowadzić (przy pomocy pospolitego przestępcy, jakim był Marcin P.) operacji zebrania od Polaków kilkuset milionów złotych i zachwiania rynkiem lotniczym na tyle, by zagrożony był państwowy przewoźnik. A wszystko na przestrzeni kilku lat, z wielkim rozmachem, mimo naruszenia wszelkich możliwych przepisów i przy całkowitej ślepocie instytucji, które nie wypełniły swoich zadań: zaczynając od policji i prokuratury, poprzez służby specjalne, sądy, na Urzędzie Lotnictwa Cywilnego, służbach skarbowych, kilku ministerstwach i samym premierze kończąc.

Gorzej z dowodami. Działania prokuratury i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego zostały poprowadzone tak, by cała afera sprowadzała się wyłącznie do oszustwa zaplanowanego przez małżeństwo P. Gdy natrafiano na ślady ich wpływowych „opiekunów", ucinano poszukiwania.

Jedną z najbardziej frapujących kwestii jest skład wspomnianej sieci powiązań. Nie jest możliwe wymienienie jakiegokolwiek nazwiska, bo oznaczałoby to z góry przegrany proces. Możemy jedynie napisać, że z naszych informacji wynika, iż według ustaleń funkcjonariuszy służb wśród osób działających w tym układzie znajdowali się: bardzo wpływowi trójmiejscy prokuratorzy i sędziowie, przestępcy uchodzący za ważnych biznesmenów, a także politycy – część z nich wciąż zasiada w parlamencie, część reprezentuje Polskę poza granicami kraju. Mówimy o co najmniej czterech politykach, z których o każdym zdecydowanie można powiedzieć, że jest bardzo dobrze rozpoznawalny. Jeden z nich, przed kilkoma laty zajmujący stanowisko konstytucyjnego ministra, był w stałym kontakcie z jednym z najważniejszych trójmiejskich mafiosów, na co dzień uchodzącym za szacownego właściciela licznych nieruchomości. Potwierdzają to billingi ich rozmów telefonicznych.

OLT KLUCZEM AFERY

Krzysztof Bondaryk, stojący na czele Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w latach 2007–2013, zarzeka się, że podległa mu instytucja rozpoczęła działania w marcu 2012 r. (przypomnijmy: Amber Gold powstaje w 2009 r., w kwietniu 2012 r. zaczynają działać linie lotnicze OLT Express, w lipcu upadają, w sierpniu Marcin P. zostaje aresztowany). Taką wersję uaktywnienia się ABW potwierdził w sierpniu 2012 r. składający wyjaśnienia przed Sejmem ówczesny nadzorca służb Jacek Cichocki (opierał się na informacjach od Bondaryka). Uzasadnione jest stwierdzenie, że posłowie i opinia publiczna nie poznali wówczas prawdy.

Komisja ustaliła, że pierwsze doniesienia o podejrzeniu funkcjonowania piramidy finansowej trafiły do ABW na początku 2010 r. (zeznał to były dyrektor w Ministerstwie Gospodarki Jarosław Mąka). Wówczas po prostu je zignorowano.

Inaczej było w sierpniu 2011 r. Wtedy do Agencji trafia bardzo wiarygodna i obszerna informacja wskazująca, że grupa konkretnych osób (padają nazwiska P., prezesa Jet Air Krzysztofa Wicherka i „biznesmena" Mariusa Olecha) szykuje duży biznes z liniami lotniczymi, który będzie co najmniej pralnią pieniędzy; że biznesplan tego przedsięwzięcia jest nierealny; że dochodzi do spotkań z prezesem lotniska w Gdańsku, który – inaczej niż na innych lotniskach – odmawia „aresztowania" ostatniego samolotu, jaki został spółce Jet Air (niebawem kupi ją Marcin P. i przemianuje na OLT); że samolot ów może służyć do wywożenia gotówki do Hamburga; że prezes Amber Gold jest osobą wielokrotnie karaną.

W ciągu dwóch miesięcy sumienni funkcjonariusze szukają potwierdzenia tych danych. Ustalają, jakie P. ma na koncie wyroki, że nie płaci podatków, nie składa sprawozdań finansowych, a jego firma ma już potężnie podniesiony kapitał zakładowy (50 mln zł) i figuruje na liście ostrzeżeń KNF. Docierają do ludzi z OLT, którzy nie mają wątpliwości, że celem działania spółki nie jest przynoszenie zysku. W październiku 2011 r. szefostwo delegatury gdańskiej ABW wydaje rozkaz: zostawić sprawę! Argumentuje, że zajmuje się nią komenda wojewódzka policji.

Tyle że Agencja miała obowiązek podjąć postępowanie, skoro rzecz dotyczyła rynku lotniczego. Najpóźniej wtedy powinny się zacząć działania operacyjne – pogłębianie danych, obserwacja figurantów, ściąganie billingów i założenie podsłuchów. Sprawa zostaje jednak wyciszona.

W styczniu 2012 r. podobne informacje trafiają do delegatury stołecznej ABW. Tym razem z ostrzeżeniem o zagrożeniu dla państwowego PLL LOT. W Warszawie chowają sprawę na dwa miesiące.

Przełomem jest marzec. Bondaryk poleca pogłębienie ustaleń, centrala i obie wspomniane delegatury potwierdzają wcześniejsze informacje. Zbiega się to w czasie z podjęciem pracy dla OLT przez syna premiera (miesiąc później rozpocznie też pracę na gdańskim lotnisku).

W kwietniu Polacy zaczynają podróżować samolotami OLT. Z Amber Gold transferowane są dziesiątki milionów złotych do linii lotniczych. 19 kwietnia Generalny Inspektor Informacji Finansowej pyta ABW, czy ta interesuje się liniami OLT, Amber Gold, Marcinem P. Rafał Kowal, wiceszef Departamentu Bezpieczeństwa Ekonomicznego (a od czerwca 2012 szef Centrum Analiz ABW), poleca na nie nie odpowiadać. Przed komisją tłumaczy się absurdalnie – przekonuje, że nie otrzymał z GIIF

eprasa.pl d83cf5c87b

pytań, lecz informację; jednak w Ministerstwie Finansów odnotowano jasno: odmówiono nam odpowiedzi.

Mijają kolejne tygodnie, wciąż nie ma działań operacyjnych ABW, przez nikogo nieniepokojeni przestępcy piorą miliony.

Wreszcie nadchodzi maj 2012 r. Krzysztof Bondaryk dostaje projekt czterostronicowego pisma podsumowującego wiedzę, którą ma przekazać najwyższym urzędnikom państwowym. Skraca ją o połowę (nie wiemy, co wyciął szef ABW) i 24 maja wysyła do prezydenta Bronisława Komorowskiego, premiera Donalda Tuska, szefa KNF Andrzeja Jakubiaka, szefa MSW (jednocześnie koordynatora specsłużb) Jacka Cichockiego, ministra finansów Jana Vincenta-Rostowskiego i ministra transportu Sławomira Nowaka. Ten ostatni zezna później, że zapoznał się z notatką dopiero w sierpniu. Dlaczego to ważne? Bo minister transportu nadzorujący Urząd Lotnictwa Cywilnego mógł w trybie natychmiastowym zawiesić działalność OLT. Miał do tego – zresztą od wielu miesięcy – pełne podstawy.

ZMARNOWANE MIESIĄCE

Co nowego na wiosnę 2012 r. odkryła ABW, że jej szef zdecydował się zawiadomić najważniejszych ludzi w Polsce? Nic. Ówczesna wiedza pokrywała się z tym, czym Agencja dysponowała już w lecie 2011 r. Dlaczego więc w tym momencie zaczęły się jakieś działania? Ówczesny zastępca Bondaryka (a od 2013 r. jego następca) Dariusz Łuczak powiedział przed komisją, że spodziewano się, iż „w przypadku wybuchu afery, uderzy to w głowę rządu". Jak argumentował, przypominało mu to historię Domu Maklerskiego WGI, w którego radzie nadzorczej zasiadały „osoby ze świecznika" (m.in. Henryka Bochniarz, Dariusz Rosati, Witold Orłowski). Skąd to porównanie? Co mogło uderzyć w Tuska? Zatrudnienie w OLT jego syna? Czy, jak mówił Łuczak, „gdańskie środowisko" wokół OLT?

Nagle, po ośmiu miesiącach, wiedza uznawana dotychczas za niewiarygodną i do niczego niepotrzebną okazuje się mieć wpływ na bezpieczeństwo państwa i jego wizerunek (to podstawa prawna, na której Bondaryk opiera wysłanie pisma). 24 maja w ABW zapada też decyzja o wszczęciu w Gdańsku sprawy operacyjnej „El Dorado", ale faktycznie dzieje się to dopiero sześć dni później. Wciąż jednak – mimo bezsprzecznej skali afery – nie ma żadnych działań operacyjnych. Nikt nie jest obserwowany ani podsłuchiwany.

> Działania prokuratury i ABW zostały ukierunkowane tak, by cała afera sprowadzała się wyłącznie do oszustwa zaplanowanego przez małżeństwo P.

Dopiero 17 lipca do sądu trafia wniosek o założenie podsłuchów małżeństwu P. Znów mamy zbieżność dat z aktywnością syna premiera – dwa dni wcześniej Michał Tusk kończy współpracę z podejrzanym przewoźnikiem.

Szefowie Amber Gold są „na drutach" od 27 lipca, czyli dnia... upadku linii OLT Express.

Co funkcjonariusze ABW odkryliby, gdyby podsłuchiwali Marcina P. wcześniej? Czy wiedzielibyśmy dziś, kto był jego mocodawcą, jak wyglądały jego rozmowy z prawnikami, być może ludźmi służb, policji, prokuratury, instytucji skarbowych, z samym Michałem Tuskiem? Na znanych już dobrze nagraniach otrzymujemy nieco ciekawych informacji, ale odpowiedzi na kluczowe pytania brakuje.

Warto odnotować jeszcze jeden fakt ujawniony w czasie przesłuchań funkcjonariuszy. Szef pionu operacyjnego gdańskiej ABW dopytywany przez posłów, czy jego ludzie ustalali rolę syna premiera w sprawie, zeznał, że ani tego wątku, ani wielu innych nie mógł podejmować – miał badać wyłącznie kwestię oszustwa na dużą skalę. „Jeżeli nie chcesz mieć zarzutów za utrudnianie śledztwa, trzymaj się ram naszego śledztwa" – cytował polecenie wicedyrektora delegatury.

Widać, że nawet jeśli ktoś w Agencji próbował docierać do sedna afery, czujni przełożeni reagowali natychmiast.

KOGO KRYJE ABW?

Komisja śledcza ma za zadanie zbadać nieprawidłowości w działaniu instytucji publicznych. Sejm nie nakazał jej wyjaśnienia afery ani ustalenia, kto stał za Amber Gold, jaki był cel stworzenia piramidy finansowej i co się stało z pieniędzmi ukradzionymi tysiącom Polaków – to cel prokuratury. Sejmowy zespół jest jednak bliski odpowiedzi na przynajmniej część tych pytań. Na pewno byłby bliższy, gdyby otrzymał większe wsparcie od Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jak wskazuje w rozmowach z nami większość członków komisji (ze wszystkich stron politycznego sporu), zakres materiałów udostępnionych posłom zakrawa na kpinę.

Część dokumentów jest obficie wygumkowana (ABW zasłania się ochroną źródeł informacji lub czynnych funkcjonariuszy), ale wiele pism jakby rozpłynęło się w archiwach Agencji. Niektóre materiały wprost odnoszą się do innych, których komisji nie przekazano. W pewnych teczkach na pierwszy rzut oka widać usunięcie konkretnych dokumentów. „Świadek nr 17" zeznał, iż z wszystkich czynności operacyjno-rozpoznawczych prowadzonych przez jego zespół sporządzane były notatki służbowe. Dziś ślad po nich zaginął. Posłowie są przekonani, że nie dostali z Agencji wszystkiego.

Dlaczego? Czy mamy do czynienia ze specyficzną korporacyjną solidarnością? Czy to ochrona ludzi, którzy za Amber Gold powinni odpowiedzieć, a do dziś pracują w służbach? Czy osoby te, poupychane w strukturach ABW, są w stanie manipulować archiwami i dowodzą, że ogon może merdać psem? A może chodzi o to, by obronić wizerunek „firmy", ważniejszy od wyjaśnienia skandalicznych nieprawidłowości? To pytania do obecnego szefostwa ABW i ludzi nadzorujących służby specjalne.

eprasa.pl d83cf5c87b



Skazani na sukces

Jego przyrównywano w Cannes do Gregory'ego Pecka i Clive'a Owena, ją do Jeanne Moreau i Jennifer Lawrence. Komentowała to z uśmiechem: „Paweł kazał mi być jak Lauren Bacall". Niewątpliwie Joanna Kulig i Tomasz Kot byli jedną z chętniej wyławianych przez media par zakończonego właśnie festiwalu

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl d83cf5c87b

Miłość jak z „Casablanki”

„Zimna wojna” w reżyserii Pawła Pawlikowskiego przyniosła polskiej ekipie nad wyraz gorące przyjęcie. Odtwórcy głównych ról byli rozchwytywani przez dziennikarzy, którzy też od początku typowali Joannę Kulig do indywidualnej nagrody



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W momencie zamykania tego numeru tygodnika „Sieci” nie znaliśmy jeszcze werdyktu jury canneńskiego festiwalu. Nadzieje były jednak olbrzymie. Mówiło się nawet o szansach na Złotą Palmę. Bo publiczność, ale też fachowcy byli zachwyceni filmem Pawła Pawlikowskiego. Także odtwórcami głównych ról. Gratulacje i serdeczne gesty tuż po festiwalowej premierze Joanna Kulig odebrała m.in. od hollywoodzkiej gwiazdy – Julianne Moore nie kryła wzruszenia. Zdjęcie, na którym obejmuje filmową Zulę, szybko zaczęło krążyć po sieci, zresztą miło skomentowane przez Moore.

W internecie Joannie Kulig złożyła również gratulacje dama francuskiego kina i zarazem dawna koleżanka z planu, Juliette Binoche. Napisała emocjonalnie: „Joanna! Tak bardzo się cieszę, widząc cię w Cannes! Uwielbiam cię! Jesteś światłem!”.

Panie pracowały razem przy „Sponsoringu” Małgorzaty Szumowskiej. Filmie, który zwrócił uwagę zagranicznych krytyków na aktorkę z Polski, a jej, poza zawodowymi doświadczeniami, dał szersze spojrzenie, swobodę i nowe możliwości. Jak widać, dobrze wykorzystane. Branżowe obycie, które przydało się przy kolejnych produkcjach, pozwoliło też z wdziękiem odpowiadać na zainteresowanie, jakie w Cannes wywołał film „Zimna wojna”.

NIEŁATWA MIŁOŚĆ

Nakręcona w czerni i bieli historia trudnej miłości, rozgrywająca się na tle wydarzeń lat 50. i 60. XX w. w Polsce i zachodniej Europie, z wybrzmiewającą w tle wyjątkową (jak podkreślają recenzenci) ścieżką dźwiękową, dosłownie poniosła w stronę widzów aktorski duet.

Dla Joanny Kulig i Tomasza Kota opowieść czerpiąca z rodzinnych doświadczeń reżysera i przetworzona na filmowy język m.in. przy udziale Janusza Głowackiego stała się szansą na stworzenie wielkich kreacji.

Na prośbę Pawlikowskiego, skupieni wyłącznie na tym projekcie, oddali mu talent i życiową dojrzałość, bez której ekranowe love story, porównywane w Cannes do tego z „Casablanki”, nie byłoby tak wielowymiarowe i dramatyczne.

Konsekwentnie prowadzeni na ekranie, tak też zaprezentowali się na canneńskim czerwonym dywanie. Wśród blichtru, celebryckich póz i kreacji ekipa wyróżniała się stylowym ujednoliceniem i naturalnością. Joanna Kulig towarzyszyła eleganckim mężczyznom w czarnym garniturze ze swobodną fryzurą. Za biżuterię służył jej promienny uśmiech.

KLUCZ DO HISTORII

Naturalność postaci, która zbliża widzów do bohaterów i ich historii (także do dylematów czasu, w którym rozgrywa się akcja), stała się kluczem do filmu Pawła Pawlikowskiego. Pełne emocji filmowe story pomogli mu stworzyć ciepli w odbiorze, ale też znający się na swoim fachu, aktorzy.

Joanna Kulig, sercem i charakterem góralka (urodzona w Krynicy-Zdroju w dzień św. Jana), w czerwcu tego roku będzie obchodzić 36. urodziny. Dwa tygodnie wcześniej do kin wejdzie „Zimna wojna” (trudno o lepszy prezent) – film, który pozwolił aktorce połączyć pasje i talenty.

CO W DUSZY GRA

Śpiewa od dzieciństwa, ale jakże mogłoby być inaczej, skoro – odkąd pamięta – żadna z uroczystości w jej rodzinie nie mogła się obejść bez wspólnego muzykowania. Najstarszy brat grał na klawiszach, drugi na saksofonie, siostry (ma dwie, Justyna pod nazwiskiem Schneider też uprawia aktorstwo) na klarnecie i skrzypcach, a ona śpiewała. W szkołach muzycznych ukończyła najpierw klasę fortepianu, a potem śpiew solowy. Jako 16-latka zgłosiła się do telewizyjnego programu „Szansa na sukces”, potem trafiła do „Idola”.

Absolwentka krakowskiej PWST od początku starała się łączyć grę aktorską ze śpiewem. W muzycznych

32/0418/F

eprasa.pl d83cf5c87b

spektaklach (takich jak „Niech no tylko zakwitną jabłonie" warszawskiego Teatru Ateneum) czy filmowych fragmentach – jazz śpiewała w „Idzie", lżejsze utwory w „Disco Polo" (2015), wyreżyserowanym przez jej męża Macieja Bochniaka. W tym filmie zresztą spotkała komediowo prowadzonego Tomasza Kota.

NA LUDOWO

Od dzieciństwa obcując z lokalnym folklorem (wychowała się w Muszynce, niewielkiej wsi koło Krynicy-Zdroju), wydawała się wymarzoną odtwórczynią roli Zuli, artystki ludowego zespołu pieśni i tańca.

Paweł Pawlikowski ponoć pisał tę rolę, myśląc zarówno o pierwowzorze postaci, czyli swojej matce, jak i Joannie Kulig, której ofiarował ładny epizod we wspomnianej już „Idzie" (2013), a dwa lata wcześniej obsadził w głównej roli w anglojęzycznym filmie „Kobieta z piątej dzielnicy" (grali tu też Ethan Hawke i Kristin Scott Thomas).

Mimo że poważnie brana pod uwagę, Joanna Kulig musiała jednak swoją gotowość do roli potwierdzić, uczestnicząc w szeroko zakrojonym kastingu. Potem przyszedł czas na przygotowania. By przetrenować figury i choreografie ludowych tańców, przez pół roku jeździła do siedziby Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze".

Muzyczny folklor (ponoć wyjątkowo pięknie zaaranżowany) przeplata się w filmie Pawlikowskiego z nieobcym Joannie Kulig jazzem, a także piosenkami paryskich barów minionego wieku, bo miłość zaprowadziła filmowych bohaterów do Francji.

NA SERIO

Tomasz Kot gra w „Zimnej wojnie" pianistę, który poznaje Zulę podczas przesłuchań do zespołu. Szybko pojawia się zauroczenie, przeradzające się w wielką i trudną miłość. Bohaterowie, jak czytamy w zapowiedzi filmu, „nie potrafią ze sobą być i jednocześnie nie mogą być bez siebie".

Splątane dramatyczne uczucia wygrywa na ekranie dwójka aktorów o szerokim spektrum zawodowych doświadczeń. I sporą vis comica. Tomasza Kota (urodzonego 41 lat temu w Legnicy) kojarzymy nie tylko z kreacją w filmie „Bogowie" (2014), gdzie wcielił się w prof. Religę, czy z rolą Ryszarda Riedla w „Skazanym na bluesa" (2005), lecz również z kinem rozrywkowym (od „Lejdis" po „Disco Polo") i komediowo podkręcanymi rolami serialowymi (np. w „Niani"). Joanna Kulig ma na koncie udział w wieloodcinkowych produkcjach (ostatnio w „O mnie się nie martw").

Wcześniejszymi rolami aktorzy zaskarbili sobie sympatię szerokiej publiczności. Zdobywali też branżowe uznanie (choć zdarzały się i słowa krytyki z powodu mniej trafnych wyborów – tu sporo do powiedzenia miałby Tomasz Kot). Tym razem i sympatia widzów, i oceny zawodowców połączyły się w jedno. Filmowa „Zimna wojna" dodatkowo podgrzała atmosferę w ciepłym i słonecznym Cannes.

REKLAMA



25 lat
KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Już teraz złóż wniosek!
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

kasastefczyka.pl

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.
Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Wyprodukowano dnia 23.04.2018 r.

eprasa.pl d83cf5c876



Vivaldi zamaszysty

Cztery pory roku" Antonia Vivaldiego znają na pamięć zarówno wytrawni koneserzy, jak i początkujący melomani. Cykl czterech koncertów rudowłosego księdza z Wenecji rejestrowały na płytach największe sławy wiolinistyki. W żywym wykonaniu to wciąż niezawodny magnes, zwłaszcza gdy w głównej roli mamy kogoś takiego jak Giuliano Carmignola.

Wielokrotnie oklaskiwany w Polsce światowej sławy wirtuoz barokowych skrzypiec odwiedził stolicę na zaproszenie Warszawskiej Opery Kameralnej. Na Zamku Królewskim towarzyszyła mu Cappella Gedanensis. Ten zespół o międzynarodowej renomie zna się z solistą nie od dziś, przepełnione audytorium wysłuchało więc porywającego programu.



Adam Ciesielski

Nie chodzi tylko o perfekcję wykonania. Także o emocjonalne porozumienie, radość ze wspólnego grania czegoś, co się lubi. Carmignola ze swego XVIII-wiecznego instrumentu wirtuozersko wyczarowuje pejzaże i brzmienia wiosny, lata, jesieni i zimy. Zrazu bardzo poważny i opanowany, o nieprzeniknionej twarzy, w miarę przechodzenia do kolejnych pór roku rozluźnia się, uśmiecha. Od czasu do czasu żywiołowo tupie w podłogę, dodając grze ekspresji niby na koncercie jazzowym. Nie wiem, czy to jego częsta praktyka, ale przypomina mi się, że podobne dźwięki jakby perkusyjne zaintrygowały mnie kiedyś w radiowej transmisji występu słynnego Włocha z zespołem Accademia Byzantina.

Nikomu to nie przeszkadza. W Warszawie owacjom nie było końca. Rozpromieniony solista serdecznie ściskał każdego z towarzyszących mu muzyków, dziękując za idealną współpracę. Były trzy bisy. Z akcentami improwizacji i spontanicznym przytupem.

Antonio Vivaldi, „Cztery pory roku", Giuliano Carmignola, Cappella Gedanensis, 22 kwietnia, Zamek Królewski

Urodziny na jazzowo

Świat polskiej rozrywki świętował 90. urodziny Jerzego „Dudusia" Matuszkiewicza – pioniera powojennego jazzu, twórcy muzyki do 200 filmów i seriali, kompozytora przebojowych piosenek.

Słynny motyw czołówkowy i cała oprawa „Stawki większej niż życie", „Czterdziestolatka", „Wojny domowej", „Janosika", „Alternatyw 4", „Jak rozpętałem drugą wojnę światową", „Kapitana Sowy na tropie", „Przygód psa Cywila" – to wszystko jego muzyka. Podobnie jak „Ballada o siedmiu nożach", „Jeszcze w zielone gramy", „Nie mam jasności w temacie Marioli", „Tak bym chciała kochać już" „Mam ochotę na chwileczkę zapomnienia" i inne szlagiery z tekstami Wojciecha Młynarskiego. Czy przeboje Igi Cembrzyńskiej („W siną dal"), Heleny Majdaniec („Zakochani są wśród nas"), Mieczysława Wojnickiego („Nie dla mnie sznur samochodów").

Obok imponująco obfitej twórczości dla filmu, telewizji i estrady Jerzy Matuszkiewicz (dla przyjaciół Duduś – pseudonim z czasów młodości, gdy koledzy dostrzegli jego podobieństwo do postaci z rysunków Gwidona Miklaszewskiego) – był jednym z pionierów polskiego jazzu. Saksofonista, lider legendarnych Melomanów, błyszczał na festiwalach jazzowych w 1956 i 1957 r. w Sopocie, autorytetem środowiska jest do dziś. Właśnie jazzowy charakter miał urodzinowy wieczór Dudusia w przepełnionym stołecznym Promie Kultury. Zdrowie nie pozwoliło mistrzowi na przybycie, ale owacjami przyjęto jego piękny list skierowany do muzyków i fanów. Wyznaje w nim wiarę w jazz i zachęca do testowania jego uroków. Tę sugestię z polotem podjęli jazzmani różnych generacji – Jan Ptaszyn Wróblewski, Wojciech Karolak, Czesław Bartkowski, Andrzej Jagodziński, Adam Cegielski i wokalistka Agnieszka Wilczyńska. W ich ujęciu melodie jubilata porywały szampańskim swingiem, a współtwórcą nostalgicznego klimatu był prowadzący całość Paweł Sztompke.

Adam Ciesielski



Fot. Mat. prasowe Wojtalewicz Jarosław/KFA

Benefis Jerzego Dudusia Matuszkiewicza Prom Kultury w Warszawie: 10 kwietnia

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

O królu Luizjany

Nie przeszkadza mi to, że film „Wszyscy ludzie króla" Stevena Zailliana sprzed 12 lat oglądałem na kanale Metro po raz nie wiadomo który. To jeden z najlepszych filmów o polityce, jakie powstały. Peszy mnie tylko opinia Wojciecha Stanisławskiego: on nie ogląda, bo nie chce sobie „psuć" wspaniałej powieści. A ja klasyczną amerykańską książkę „Gubernator" Roberta Penna Warrena ledwie pamiętam. Może byłem za mało dojrzały?

Z kolei filmoznawca Łukasz Jasina przekonuje, że warto by obejrzeć pierwszą oscarową adaptację z 1949 r. Nie widziałem. W tym zaś filmie jestem zakochany. Intensywny, bijący po oczach plastycznymi szczegółami, kontrastami między prześwietlonymi słońcem salonami starej Luizjany i brudną tandetą biur polityków. Emocjonalny, choć opowiadany półtonami. Mówi się tu nie za dużo, a przecież każde zdanie, ba mina czy gest kogoś z galerii wyrazistych bohaterów, coś ważnego znaczy.

Film, który pokazuje, czym jest populizm wyrastający na autentycznej krzywdzie ludu i korupcji „starego świata". Dokumentuje bezwzględność, właściwie degenerację głównego bohatera Williego Starka, który zaczynał jako zatroskany o dobro publiczne zwykły człowiek. Zarazem nie odpowiada jednoznacznie na pytanie, czy to nowe, awanturnicze, rewolucyjne jest tak naprawdę gorsze od reguł establishmentu. No i to kapitalne wyczucie utajonych sprężyn rządzących ludzkimi decyzjami. W tym filmie, który pozwala poczuć na własnym ciele lepkie powietrze Luizjany, szybko dowiadujemy się, że jest tak, ale jeszcze tak, a może przy okazji całkiem inaczej.

I dowiadujemy się nie w tonie cynicznej satysfakcji, ale zatroskanej zadumy. Kim jest sędzia Erwin, niegdyś malwersant, dziś nie tylko dumny przedstawiciel elit, lecz człowiek rycerski? A kim jest sam Stark – ile w nim już cynika, ile pozostało idealisty? Kim wreszcie stał się Jack Burden, wieczny kibic, którego słowami cała ta historia jest opowiedziana?

Nie byłoby wielkości tego filmu bez masy kreacji. Kto nie zapamięta nadwyrazistej mimiki Seana Penna (Stark), zdziwionego spojrzenia Jude'a Lawa (hamletyczny Jack Burden), toksycznej obecności Patricii Clarkson (wieczna zausznica Sadie Burke), zawiesistej fizyczności Jamesa Gandolfiniego (polityczny fagas Duffy), majestatycznego spokoju Anthony'ego Hopkinsa (sędzia Erwin), cierpiętniczej grzeszności Kate Winslet (córka elit Anna Stanton), pełnej bólu twarzy Marka Ruffalo (idealista Adam Stanton)? To oni czynią każdy gest ważnym sygnałem dla nas.

Film jest o polityce, ale nie tylko. Także o rozstawaniu się ze złudzeniami, o końcu starego świata. A każda epoka ma swoje światy stare i nowe. A zarazem niezwykłość tej historii polega także na tym, że punktem wyjścia były prawdziwe zdarzenia.

Huey Long, awanturniczy gubernator biednej, zapomnianej przez Boga Luizjany, potem senator USA (czego Warren nie uwzględnił), zastrzelony w niejasnych okolicznościach w roku 1935, gdy zmierzał na szczyt polityki ogólnoamerykańskiej, to pierwowzór postaci Starka (choć realia filmu są odrobinę



późniejsze). I motywy Longa – cynik czy idealista w masce cynika – i okoliczności jego śmierci pozostają nie do końca wyjaśnione, jak u powieściowego gubernatora.

Long to jeden z bohaterów czwartego tomu mojej historii USA – ukaże się na jesieni. W latach 30. w dobie wielkiego kryzysu amerykańską polityką zawładnął duch specyficznego radykalnego populizmu, a znów śmierć Longa zahamowała tę falę. Powieść i film wychwyciły ten moment. Realna historia dorównuje po raz kolejny literaturze.

Piotr Zaremba



Kroniki zimnej ziemi

Wojciech Stanisławski

Zdania McGregora są jak wycięte z cienkiej blachy: błyszczące, o precyzyjnym konturze i raniących krawędziach

Najpierw zwraca uwagę rzeczywistość pędów paproci i szparagów, obyczaje borsuków i lisów. Ale nie są to na szczęście „opisy przyrody" z powieści sprzed półtora wieku, udręka mieszczuchów przedzierających się jak przez jeżynowe chaszcze przez te ciągnące się całymi stronami opisy świtów, ćwierkań i cietrzewi, jakby autorzy w tużurkach co chwila musieli demonstrować jednocześnie wierność ziemi ojczystej, tęsknotę za przeputanym dworkiem i niezbędny u naturalisty talent w opisywaniu obyczajów godowych.

Zdania McGregora są jak wycięte z cienkiej blachy: błyszczące, o precyzyjnym konturze i raniących krawędziach. Z początku wyglądają na proste zapisy: „W zbutwiałych arkuszach sklejki, ustawionych pod murem sadu Fletcherów, zagnieździły się skoczogonki". A jednak nie mają nic wspólnego ani z podręcznikiem działkowicza, ani z sielanką. Ukazują kondycję człowieka sprowadzonego do absurdu wegetacji, prowadząc nas do tej prawdy nie natrętnie, ale bezlitośnie. Frazy o młodych jeżach, gęstniejącej od mułu rzece i rójkach motyli przeplatają się z równie oszczędnymi zdaniami informującymi o tym, że domy udekorowano, przystrzyżono żywopłoty, wrócono z nabożeństwa.

Już to zrównanie byłoby wystarczająco okrutne; obraża nas, kiedy zestawia się wojny owadów i ludzi. Ale wiwisekcja, której Jon McGregor dokonuje na nienazwanej z imienia, turystyczno-usługowej, trochę wyludniającej się wiosce (z kilku wzmianek można przypuszczać, że rzecz dzieje się w regionie East Midlands, w środkowej Anglii), sięga znacznie głębiej. Przez tuzin opisanych w książce lat pokolenia borsuków, skoczogonków oraz owiec rokrocznie rodzą się i odchodzą w nieuchronnym, ciemnym kole przemian, swoim cyklom poddane są odloty kwiczołów i odrastanie wrzosowisk.

Z podobną nieuchronnością toczy się przez tuzin lat życie kilkudziesięciu mieszkańców wioski. Poznajemy ich z oszczędnych zdań bezosobowego obserwatora, który dużo wie, ale nie chce, by ktokolwiek zarzucił mu plotkarstwo. Małe satysfakcje, drobne troski i wielkie nieszczęścia: alzheimer, autyzm, wyprzedaż, zdrada. To świat nam współczesny, położony na obrzeżach cywilizacji miejskiej, jak w dziecięcych „Wimmelbuchs", w których usiłuje się pokazać na jednej planszy możliwie wiele szczegółów, więc na pierwszym planie nadjeżdża autobus, na drugim terkocze traktor, a na trzecim łania wypasa młode. Rządna i zamożna wioska loguje się na Facebooku, na zebraniach rady parafialnej dba o poprawność polityczną, a jej mieszkańcy, związani ciasną siecią „relacji rzeczowych", dorastają, gorzknieją, rozwodzą się i romansują.

Ich życie, choć nadal ściśle związane z naturą – jedni hodują owce, inni czekają na turystów, wszyscy dbają o żywopłoty i obawiają się suszy – nie jest już w żaden sposób regulowane przez „święte rytmy roku", chociaż pani pastor odprawia nabożeństwa w Środę

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



Jon McGregor, „Zbiornik 13", przełożyła Jolanta Kozak, Czytelnik, 2018

eprasa.pl d83cf5c87b

Popielcową, a w listopadzie składane są wieńce przy pomniku. Więcej: nie dysponują już językiem, którym mogliby powiedzieć o doświadczeniu pustki, w której się znaleźli. Kronikarz relacjonuje wymiany zdań między znajomymi – uprzedzająco uprzejme, w zaciszu domu czasem szorstkie, nieraz urywane w pół słowa, nigdy podnoszące się do krzyku, wyznania ani lamentu: tego kokonu nie da się przerwać. Głębokie korzenie łączą tę powieść z dziełami największych XX-wiecznych „mistrzów samotności": z wierszami Philipa Larkina, z prozą Becketta.

Nie przeczytalibyśmy tej kroniki 12 obrotów Ziemi, gdyby nie wydarzenie uderzające w pierwszym zdaniu: podczas świątecznych ferii w pobliżu wioski zaginęła 13-letnia Rebecca Shaw. Jej gorączkowe poszukiwania trwają godzinami, tygodniami, miesiącami. Z czasem aktywność policji wpisuje się w inne cykle natury: konferencje detektywów, rutynowe przesłuchania odbywają się co rok.

„Zbiornik 13" nie jest na szczęście ani horrorem, ani „powieścią detektywistyczną", jednym z dwóch gatunków jak pleśń zarastających księgarnie: żadnej pani komisarz, „zmowy milczenia", rytualnego morderstwa, zjaw, zombie, odkrycia. Zaginięcie dziewczynki, nawet ono, zostaje przemielone przez wielki młyn codzienności: ani kilka spraw kryminalnych, których doświadczy społeczność, banalnych i parszywych, ani znaleziony po kilku latach w rozpadlinie sweterek nie prowadzą do przełomu w śledztwie.

Przemielone? No właśnie: pamięć Becky Shaw, znanej bardziej z portretów pamięciowych niż z kilku spotkań, wraca przez tuzin lat we frazach policyjnego komunikatu, w zawieszeniu głosu, kiedy pada nazwa szlaku lub słychać huk helikoptera, jakby gładka rzeka trafiała na podwodny próg skalny. Jej imię jest sznurem, o którym nie wspomina się w żadnym domu, choć wszystkich wiąże.

Powieściowa wioska, żywy obraz Anglii początku XXI w., nie jest parabolą, a jej doświadczenia można tłumaczyć na różne sposoby: jeden dostrzeże w jej opisie nieznośne ciśnienie stadności, inny opłakiwać będzie wydziedziczenie. Jest to jednak przede wszystkim opowieść o tym, że nadal pozostajemy gatunkiem wspólnotowym i zniknięcie kogoś, nawet schludne i nieoczywiste, pozostawia nas z niejasnym poczuciem winy oraz straty. Gdyby w Polsce chciano serio rozmawiać o bliznach z czasów wojny, sięgnięto by zamiast po demagogiczną „Prześnioną rewolucję" Andrzeja Ledera po powieść brytyjskiego pisarza.

Pomoc, bierność, obcość

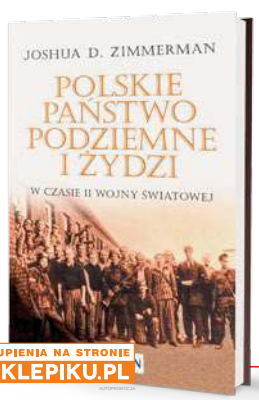
Książki z półki historycznej określane mianem „kontrowersyjne", zdolne rozdrażnić pokaźną grupę odbiorców przywiązanych do dotychczasowej wizji świata, zwykle rozchodzą się nieźle. Jaki jednak los czeka tytuł, który zirytować mógłby zarówno burmistrza New Jersey, jak i osoby przekonane o polskiej absolutnej niewinności w latach wojny? Mam nadzieję, że przynajmniej, zamiast odrzucenia a priori, uważna lektura.

Książka nowojorskiego badacza z początku szokuje nie tyle zawartymi informacjami, ile ujawnionymi, być może mimochodem, rozmiarami powszechnej w USA niewiedzy. Joshua D. Zimmerman pisze we wstępie o swoim przekonaniu – u progu kariery akademickiej, kilkanaście lat temu – które nad Wisłą trudno odbierać inaczej niż jako skandal: że jedną z głównych płaszczyzn działania Armii Krajowej (prócz, co przyznaje, walki z Niemcami) było „zwalczanie Żydów". Taką wiedzę wyniósł z ówczesnych podręczników, po studiach w University of California i na UCLA – i uświadomienie sobie tego tłumaczy nam wiele z korzeni dzisiejszych kontrowersji.

Rychło jednak zdał sobie sprawę z nieprzystawania tej wizji do rzeczywistości (notabene jedną z pierwszych okazji do „przejrzenia" była gloryfikująca AK wypowiedź Szymona Wiesenthala) – owocem zaś lat studiów jest wydana w Polsce monografia, która wyprowadzi z równowagi wielu zasiedziałych w swoich poglądach.

Dla dawnych nauczycieli Zimmermana novum stanowić mogą fakty w Polsce szeroko znane: wielość i rzetelność raportów wywiadu AK, stanowiących dla Zachodu podstawowe źródło informacji o losach społeczności żydowskiej pod okupacją III Rzeszy, powstanie i działalność Żegoty, panorama postaw żydowskich obywateli RP pod okupacją sowiecką. Zaszokować ich może konkluzja, że przez pierwsze kilka miesięcy okupacji niemieckiej represyjność tamtego systemu była większa wobec Polaków, ale i wielość wyszukanych przez autora „pól współpracy" między Polskim Państwem Podziemnym a Żydami, ale i nieuzasadnione kompozycją książki, pełne podziwu i ciepła dygresje o dowódcach i żołnierzach Armii Krajowej. Dla polskich odbiorców wstrząsem mogą być cytaty z raportów AK mówiące o skali postaw antysemickich wśród Polaków już w pierwszych miesiącach wojny, o panoramie zachowań, od obojętności do szmalcownictwa, wobec których rządowi RP i redakcji „Biuletynu Informacyjnego" pozostawały bezradne apele.

Monografia Zimmermana jest zbyt solidna, by mogła posłużyć jako oręż w dzisiejszych awanturach; istnieje niewielka szansa, że uchroni nas przez nimi w przyszłości.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Joshua D. Zimmerman, „Polskie Państwo Podziemne i Żydzi w czasie II wojny światowej", tłum. Magdalena Macińska, PWN, 2018

eprasa.pl d83cf5c87b

Adamski





Piękna opowieść o śmierci

DVD/Blu-Ray

Film Lee Unkricha i Adriana Moliny pokonał w oscarowym wyścigu polsko-brytyjskiego „Twojego Vincenta". Piękny wizualnie, mądry, kapitalnie napisany i zaśpiewany film nie miał w zeszłym roku sobie równych w kategorii animacja.

Twórcy animacji Pixara doskonale wykorzystali niezwykłość meksykańskiego Święta Zmarłych, czyli Día de Muertos. To zdumiewające połączenie latynoskiej fiesty i katolickiej zadumy. Meksykanie wierzą, że 1 i 2 listopada dusze przodków przychodzą do rodziny, by wspólnie świętować. Wszystko z mariachi u boku oraz tequilą i winem pulque w gardle. Świat żywych i kraina umarłych łączą się w jedno uniwersum, by zjednoczyć całą rodzinę.

Kilkunastoletni Miguel Rivera pragnie w życiu jednego – chce być jak narodowy idol Ernesto de la Cruz. Niestety rodzina ma wielopokoleniowy wstręt do muzyki. Prababka Miguela została porzucona przez mariachi, co spowodowało, że w tej rodzinie muzyczna fiesta jest na cenzurowanym. Krnąbrny i rozkochany w muzyce chłopiec nie słucha zakazu i przez pewnie okoliczności (nazwijmy je nadprzyrodzonymi) trafia do krainy umarłych, gdzie spotyka nie tylko przodków, lecz ukochanego de la Cruza.

„Coco" to historia bezgranicznej miłości do sztuki, ale też poruszająca przypowieść o istocie rodzinnych więzów. To celebracja wielodzietnej i wielopokoleniowej rodziny wpisanej w meksykańską tożsamość. Nie ma tutaj gotyckiego mroku pozagrobowych animacji Tima Burtona, ale też nie znajdziemy przesłodzonego lukru. Spotkani przez Miguela umarlacy to świetnie zbudowane postacie z krwi i kości, choć złożeni są fizycznie z samych kości. To animacja oszałamiająca wizualnie. Świat umarłych, jak przystało na Meksyk, jest totalnie skąpany w najpiękniejszych barwach. W tym wizualnym rozbuchaniu nie ginie inteligentny scenariusz, subtelny humor ani dogłębnie poruszające przesłanie.

Gdy już obejrzycie tę przepiękną baśń ze swoimi pociechami, odpalcie wersję oryginalną z głosami meksykańskich gwiazd. Nie przez przypadek piosenka „Remember Me" zgarnęła w tym roku Oscara. Prawdziwa uczta dla oka i ucha!

„COCO", REŻ. LEE UNKRICH I ADRIAN MOLINA, DYSTR. GALAPAGOS

VOD

Sherlock na haju



Wiele było w kinie przerażających wizji narkotycznego uzależnienia. Od brudów nowojorskich parków z „Narkomanów" z Alem Pacino, przez szkockie ulice nędzy („Trainspotting"), aż po libertyńskie eskapady szalonego żurnalisty („Las Vegas Parano") i upadek znarkotyzowanej cywilizacji („Requiem dla snu") – widzieliśmy wszystko. Ten miniserial specjalnie nie zaskakuje, choć nie wyważa też otwartych drzwi. Oparty na cyklu powieści Edwarda St. Aubyna „Patrick Melrose" wchodzi w świat uzależnienia brytyjskiego arystokraty (znakomity Benedict Cumberbatch), niemogącego poradzić sobie z traumą z dzieciństwa. Cumberbatch gra trochę na sprawdzonych nutach, choć buduje wiarygodny obraz potłuczonego wewnętrznie i niejednoznacznego bohatera. To piekielnie inteligentny, przeszywający ripostami snob rodem z Sherlocka. Mizantrop, narcyz na ciągłym haju? Warto obejrzeć dla błyskotliwego scenariusza, nietuzinkowej reżyserii i koncertu jednego aktora.

SERIAL DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl d83cf5c87b

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Matką być

Tully" to domknięcie trylogii o dojrzewaniu i macierzyństwie duetu Jason Reitman/Diablo Cody. W oscarowym „Juno" opowiedzieli o problemach ciężarnej nastolatki. W „Young adult" uderzyli w sentymentalne opowieści o wyższości rodzinnego domu na prowincji nad karierą w wielkim mieście.

W „Juno" nastoletni rodzice nie decydują się na aborcję dziecka „z wpadki" i muszą dojrzeć do decyzji o oddaniu go bezpłodnej rodzinie. W „Tully" widzimy doświadczoną matkę dwójki dzieci, która po urodzeniu po czterdziestce trzeciego dziecka wciąż zmaga się z „przegranymi marzeniami" z młodości. Również musi dojrzeć do kolejnego etapu życia. Cody zrywa społeczne maski nie po to, by uderzyć w prorodzinne wartości. Ona chce całościowo spojrzeć na prawdziwe emocje swoich bohaterek. Wlewa w nie hektolitry własnych przeżyć i emocji.

Taka też jest opowieść o zmęczonej życiową rutyną Marlo (Charlize Theron). Właśnie urodziła trzecie (nieplanowane) dziecko. Wiecznie zabiegany mąż (Ron Livingson) robi karierę w korporacji, synek ma trudne do zdiagnozowania problemy emocjonalne, a bajecznie bogaty brat (Mark Duplass) drażni celebracją swojej postnowoczesnej egzystencji. Proponuje wypalonej siostrze skorzystanie z nowego trendu dla „nowoczesnych" matek. Chodzi o wynajęcie „nocnej niani", która zajmując się niemowlakiem i domowym bałaganem, pomaga świeżo upieczonej mamie przynajmniej się wyspać. Pojawienie się energicznej i intrygującej Tully (Mackenzie Davis) przebudowuje całe życie Marlo. W niespodziewany i finalnie szokujący sposób.

Hormonalne tsunami, zniszczone ciało, nieprzespane noce, mleko lejące się z piersi. Jednak ten jeden uścisk dziecka, wyrażone niewinnym spojrzeniem pragnienie bycia razem, pozwala zapomnieć o bólu. Reitman doskonale umie uchwycić mniej waniliową wizję macierzyństwa.

Kino



Niezwykła jest fizyczna przemiana Theron, która do roli przytyła 18 kg. Brawurowo oddaje kipiące w wycieńczonej obowiązkami domowymi matce emocje, ale razem z Davis tworzy też niezwykłą ekranową więź. Wchodząca w życie, pełna planów, energiczna 20-latka i tęskniąca za szaloną młodością na Brooklynie, urządzona na przedmieściach, stateczna mama – ich zderzenie iskrzy od pierwszych minut i prowadzi do zdumiewającego finału.

Pod powłoką opowieści o zmaganiach z przyziemnymi czynnościami, przez które musi przejść każda mama, kryje się historia zmagania się z własnymi lękami, frustracjami i oczekiwaniami wobec przemijającego życia. Mądre i magiczne dzieło.

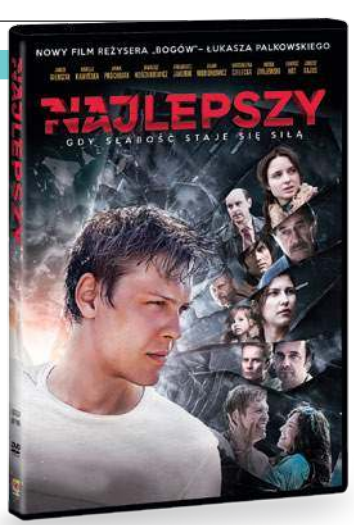
„TULLY" REŻ. JASON REITMAN, DYSTR. M2FILMS

Hollywood po polsku

DVD/Blu-Ray

Jeden z najlepszych polskich filmów zeszłego roku w końcu w domowym kinie! Jerzy Górski (Jakub Gierszał) to człowiek w Polsce prawie nieznany. A to właśnie ten twardziel ukończył w 1990 r. w USA „bieg śmierci" oraz ustanowił rekord świata w Double Ironman. Wcześniej leczył się w Monarze. Był upadłym heroinistą wyjętym z powieści Irvina Welsha. Palkowski („Bogowie") jest mistrzem takiego kina. Rozrywkowego, ale podszytego głębszymi wartościami. Opartego na faktach, ale ujmująco podkoloryzowanego. Jakub Gierszał jak Tomasz Kot w „Bogach" tworzy rolę życia. To rola pełna psychologicznie i niezwykłych wyzwań fizycznych. Od zaćpanego, wyglądającego jak zombie łachudry z brudnych melin Legnicy, do wysportowanego twardziela z Ameryki – Gierszał jest wiarygodny w każdym wcieleniu. Dopełniają go świetni Gajos (jako Kotański) i Jakubik w roli szalonego trenera. Ten brawurowy film to czysty Hollywood, mówiący, że każdy może być najlepszy. Potrzebujemy takich inspirujących wizji.

„NAJLEPSZY" REŻ. ŁUKASZ PALKOWSKI, DYSTR. GALAPAGOS



Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl d83cf5c87b

Ballada o tandecie

O czym opowiadają współczesne polskie piosenki? Kto dopuszcza do głosu ciągle nowe postaci – istne miernoty i beztalencia?



KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Zastanawiam się ostatnimi laty, dlaczego w naszych mediach tak niewiele dyskutuje się o polskiej piosence oraz o jej wybitnych twórcach. Dlaczego nie znalazło się dla niej stałe miejsce w publicznej telewizji? Choćby jedna audycja, jeden program raz w miesiącu? Dlaczego nie istnieje audycja, do której zapraszałoby się prawdziwych artystów, uznane sławy: Leszka Długosza, Jana Kantego Pawluśkiewicza, Dżambli, Zbigniewa Preisnera, Grażynę Łobaszewską, Lidię Stanisławską, Andrzeja Rosiewicza, Jana Pietrzaka czy Zbigniewa Namysłowskiego? Dlaczego nie oglądamy artystów, którzy dysponują nie tylko niezaprzeczalną osobowością, warsztatem, lecz przede wszystkim najważniejszą z cech: talentem! Wszak ciągle ich ubywa. Ostatnio odeszło nazbyt wielu: Zbigniew Wodecki, Wojtek Młynarski, Mietek Święcicki. Na co jeszcze czekamy? Żeby zostali tylko sami amatorzy, odtwórcy tandety.

Zadaję pytania, oczekując konkretnej odpowiedzi! To, co nazywamy publicznymi mediami, zamienia się w nieograniczony niczym lans szmiry. W imię czego?

Gdzie się podział profesjonalizm młodych twórców? Nienaganna dykcja oraz rozumienie sceny, czego uczył profesor Aleksander Bardini? Trafność tekstów i melodyjność kompozycji? Oryginalność aranżacji? O czym opowiadają współczesne polskie piosenki? Kto dopuszcza do głosu ciągle nowe postaci – istne miernoty i beztalencia?

Mam świadomość, że zamożnym koncernom, tzw. majorsom, zależy wyłącznie na szybkiej i opłacalnej produkcji. Tragiczne jest to, że ich działalność przypomina manufakturę. Pozbawiony ambicji interes. Fabrykę skarpet, w której człowiek sprowadzony został do funkcji automatu, a płyta do matrycy odwzorowującej kolejny banał.

Dlaczego niezmiennie króluje disco polo? Czyżby z powodu chęci pozyskania masowego widza, a w rezultacie niewyrobionego muzycznie, niewybrednego elektoratu?

Dlaczego w kraju, w którym urodzili się tacy giganci muzyki, poezji i sztuki interpretacji, jak Karol Szymanowski, Witold Lutosławski, Krzysztof Komeda Trzciński, Ewa Demarczyk, Mieczysław

Rys. Shutterstock

eprasa.pl d83cf5c87b

Święcicki, Marek Grechuta, Czesław Niemen, Tomasz Stańko, Irena Santor, Wiesław Ochman, że wymienię tylko kilka nazwisk – zapominamy o jednym, że dzięki wysokiej kulturze Polska przetrwała zabory. To kultura i świadome zarządzanie jej dobrami rozszerzało pole do działania. Przywracało wiarę w lepszy, piękny świat. Kształtowało gusty, upodobania i skłonności. Być może moje spojrzenie jest idealistyczne, pozbawione rozsądku, sprzeciwiające się dzisiejszym trendom. Śmiem jednak wątpić! Wszystko zależy od ludzi. Od ich duchowych potrzeb. Oraz jałowego smaku decydentów, których posunięcia opierają się na starej, kupieckiej zasadzie: kto płaci, ten żąda!

Powtarzam zawsze: dzięki artystom nasz upośledzony przez technologię świat, przypominający nabrzmiałą, nadmiernie rozrośniętą tkankę, może się rozpaść na milion kawałeczków. Lecz on trwa i będzie trwał do ostatniego dźwięku trąbki Louisa Armstronga, mazurka Fryderyka Chopina, partytury „Stabat Mater" Giovanniego Battisty Pergolesiego, kołysanki „Rosemary's Baby" Komedy, „Pejzażu bez ciebie" oraz „Jesiennej dziewczyny" Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego.

Publika nie jest taka głupia, jak się niektórym wydaje. Polacy są romantycznym narodem. Wrażliwym i wymagającym. Wrażliwość na piękno i czułość mamy zapisane w naszym DNA. Przez setki lat kształtowały tę duchowość urokliwe pejzaże Wileńszczyzny i Mazur, surowe krajobrazy Tatr, bajkowość biednych miasteczek, całych w mgłach albo w słońcu, takich jak Opatów, Zamość, Sandomierz, Kazimierz Dolny. Tragizm naszych dziejów, nieustannych powstań i wojen. Dlatego, gdy nucimy wraz z Niemenem balladę „Kałakolczik", każda nuta melodii chwyta nas za serce, łapie za gardło.

Brzęczy mi w uchu jak echo sprzed lat wypowiedź jednego z dyrektorów komercyjnego Radia Zet: „Mamy swój target. Jest nim zapotrzebowanie słuchaczy". Kłamstwo! Cyniczne, nieuprawnione kłamstwo, które kompromituje tę osobę i całe jej środowisko. Człowieka, który nadal działa i ma sporo do powiedzenia.

W czasach komunistycznych telewizja publiczna i pozostałe media lansowały: Ewę Demarczyk, Skaldów, Marka Grechutę, Tadeusza Woźniaka, Niemena, Stana Borysa, i wielu innych. Nie było mowy o dyskryminacji prawdziwej sztuki. Ta była swoistego rodzaju wentylem. Mocnym i zauważalnym alibi rządzącej nomenklatury. Tamci prezesi oraz redaktorzy TVP doskonale rozumieli, że telewizyjna rozrywka musi się składać z ambitnego teatru, wartościowej piosenki, inteligentnego kabaretu. To procentowało. Podczas festiwali w opolskim amfiteatrze, w licznych konkursach, w twórczości kompozytorów i autorów, a w rezultacie na wielu

> Publika nie jest taka głupia, jak się niektórym wydaje. Polacy są romantycznym narodem. Wrażliwym i wymagającym

antenach. Chciałoby się w tym miejscu krzyknąć: gdzie są takie utwory i przeboje jak „Jej portret", „Nie biegnij tak" z repertuaru Bogusława Meca, „Już nie ma dzikich plaż", „Powrócisz tu!" Ireny Santor, „Korowód", „Miłość" Marka Grechuty, „ C'est la vie", „ Bezsenność we dwoje" Andrzeja Zauchy, „Cała jesteś w skowronkach" i „Życzenia z całego serca" Skaldów!

Czyżby młode pokolenie nie przeżyło nic, co pomogłoby im wyrazić siebie do końca? Namiętnie, prawdziwie, bez najmniejszego oporu. I co najistotniejsze – z wyobraźnią i rozmachem twórców z lat 50. i 60. XX w.? To wydaje się niemożliwe.

Sam jestem autorem. Od ponad 40 lat piszę teksty piosenek i sądzę, że coś na ten temat wiem. Spędziłem w studiach nagraniowych setki godzin. Pisałem teksty dla Bemibem, Skaldów, Andrzeja i Elizy, Andrzeja Dąbrowskiego, Ireny Santor, Grażyny Łobaszewskiej, Krzysztofa Cugowskiego. Doświadczyłem niejednej klęski jako producent i twórca. Jestem człowiekiem, który w polskim showbiznesie niewiele zarobił i niejednokrotnie był blisko depresji. Nie tak dawno zapytałem Romualda Lipki: „Dlaczego ludzie mając decydujący głos, wyzbywają się ambicji i odpowiedzialności za kulturę polską?". Lipko westchnął głęboko i po chwili zapytał: „A dla kogo chcesz jeszcze pisać? Przecież do nikogo nie dotrzesz!". „Dla siebie piszę. Dla siebie!". „No, jeśli tak – odparł – to masz rację. W takim razie pisz dla siebie!".

Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że współczesność przywróci słowu „artyzm" jego dawne znaczenie, siłę i powab, którym poddawali się artyści na przestrzeni wieków. zachowajmy nadzieję, bo jak pisał Malherbe w liście do swego przyjaciela Balzaca: „Nadzieja jest przyodziewkiem, który na sam koniec zrzucamy".

Bez artystów: filmowców, pisarzy, malarzy i poetów, świat wydaje się uboższy. To my sprawiamy, że ludzie stają się lepsi. Podziwiając naszą pracę, zastanawiają się, dokąd zmierzają. Podsuwamy im busolę życia. Zawarta jest w naszych nutach i strofach. Gdzieś na samym dnie duszy.

Poeta

Na stole ryza papieru
Zwykły ołówek, jak w nędzy
Wełniany szalik na szyi
Na drewno zabrakło pieniędzy.

W mansardzie pokój na piętrze
Z żółtym klonowcem za oknem
W zmarzniętej duszy smuteczek
Próbuje opisać samotność.

Poeta może być głodny
Za sonet zapłacą mu grosz
Jak przetrwać swą nędzę do jutra?
Tych pytań nigdy nie dość.

Poeta bywa samotny
Próbując opisać świat
Jego kochanką jest wena
Rozpacz ją dobrze zna.

Poeta umiera zbyt młodo
Petrarkę zapomniał już świat
Na grobie Cohena światełko
Nie gaśnie, choć nie ma już nas.

eprasa.pl d83cf5c87b

W swojej książce Piotr Gursztyn dobija rewizjonistów argumentami historycznymi. Wpływ ich teorii na współczesną Polskę okazał się jednak nikły już wcześniej



PIOTR ZAREMBA



5 maja 1939 r. – exposé ministra spraw zagranicznych Józefa Becka po zerwaniu przez Niemcy paktu o nieagresji z Polską

Przekłuty balon rewizjonizmu

Marsz rewizjonistów zaczął się w roku 2012 książką „Ribbentrop–Beck" Piotra Zychowicza. Tezie: „w 1939 roku należało pójść z Hitlerem", nadał on tam postać pracy półnaukowej (z przypisami), a z drugiej strony scenariusza historii alternatywnej. W następnej książce Zychowicz nazwał Powstanie Warszawskie już w tytule „obłędem". Rafał Ziemkiewicz wdał się we własne rozważania dotyczące polskich decyzji roku 1939 w eseju „Jakie piękne samobójstwo". Artykułami wspierał ich jedyny czynny naukowiec – Sławomir Cenckiewicz. Kilka innych postaci czy środowisk udzieliło tym tezom wsparcia, choćby Krzysztof Kłopotowski, Łukasz Warzecha czy redakcja związanego z Januszem Korwin-Mikkem „Najwyższego Czasu".

POGROMCY „MITÓW" NA START

Rewizjoniści przedstawiali się jako grupa intelektualistów próbujących zastąpić polskie emocje zimną logiką, „realizmem". Faktycznie kontynuowali wątki obecne wcześniej w polskiej debacie, od Stanisława Cata-Mackiewicza po Stefana Kisielewskiego, choć

eprasa.pl d83cf5c87b

częściej w publicystyce niż w nauce. Zarazem opinie naukowców na temat ich książek i tekstów wahały się od lekceważenia (prof. Antoni Dudek) po doraźne panelowe polemiki, ale bez głębokiego wchodzenia w temat (prof. Marek Kornat).

Powstawało błędne koło. Świat akademicki nie zajmował stanowiska, bo nie uznawał tych książek za poważne, widział w nich raczej przejaw tabloidyzacji historycznego dyskursu. Z kolei rewizjoniści powoływali się na to, że nikt nie podjął się obalenia ich tez. Ich poglądy mobilizowały przeciw sobie tak różnych ludzi jak Piotr Semka i Andrzej Friszke, a czasem budziły zainteresowanie nie tylko po prawej stronie. Kilka razy publicyści „Wyborczej" objawiali pewną sympatię zwłaszcza wobec Zychowicza, uznając go za zaczyn podważania pisowskiej polityki historycznej. Jednak zaciekawienie Daniela Passenta wizją pójścia z Hitlerem w 1939 r. tylko podkreślało groteskowość całej dyskusji. To był tabloid pełną gębą.

Rewizjoniści wymierzone w nich polemiki publicystyczne przedstawiali jako wyraz emocji i chciejstwa ludzi, których nazywali „brązownikami", siebie kreując na chłodnych analityków niszczących mity w imię niewygodnej prawdy. A jaka była rzeczywistość? Jeśli po to, aby skompromitować decyzję o wywołaniu Powstania Warszawskiego, trzeba było umazać jednego z dowódców AK generała Leopolda Okulickiego insynuacjami, jakoby mógł działać w zmowie ze Stalinem, polemiści nie musieli robić niczego. To na „chłodnym analityku" ciążył obowiązek dowodu.

Pytanie, czy traktować ten nurt myślenia jako poważny, paraliżował oponentów. Pewnie dlatego dopiero w tym roku ukazała się książka poświęcona zasadniczej rozprawie z tezą rewizjonistów dotyczących 1939 r. Napisał ją Piotr Gursztyn, wieloletni kolega redakcyjny Zychowicza i Ziemkiewicza z „Rzeczpospolitej" i „Do Rzeczy", dziś pracownik TVP. Zarazem z wykształcenia historyk mający już na koncie prace poświęcone polskim dziejom najnowszym. Jego „Ribbentrop–Beck. Czy pakt Polska–Niemcy był możliwy?" to historyczny esej, choć także z przypisami.

Owszem naładowany w finale emocjami, z jakimi autor broni bilansu ówczesnej polskiej ekipy rządzącej, a i całej Polski, która akurat przeciwstawienie się żądaniom Hitlera wsparła w zasadzie zgodnie. Tyle że prowadzący do owego finału poprzez żmudne czytanie źródeł i logiczne zestawianie faktów. Nie znajdziemy tu szalonej opowiastki o wspólnym zdobywaniu przez polską kawalerię i hitlerowskie zagony Moskwy. Znajdziemy dowody, których trzeba było wypatrywać.

ANGLIO, TWOJE DZIEŁO

Domagaliście się, rewizjoniści, konfrontacji na fakty. Zacznę od kluczowego przykładu. Zychowicz, a i Ziemkiewicz budują swoje potępienie polityki Becka od końca 1938 r. na spiskowym założeniu. Oto Anglia, obdarzając Polskę 30 marca 1939 r. gwarancjami, miała się kierować zamiarem skierowania agresji Hitlera na wschód, nie na zachód. Jest to założenie godne hitlerowskiego plakatu „Anglio, twoje dzieło" przedstawiającego zburzoną Polskę, a wieszanego na polskich murach po kampanii wrześniowej '39.

Teraz Piotr Gursztyn przypomina, że trzy dni przed udzieleniem gwarancji rząd Chamberlaina znał od swojego wywiadu decyzję III Rzeszy o ataku na Polskę. Nie było mowy o zmyślnej intrydze. Londyn zrobił to po to, aby Hitlera odstraszyć, a Polsce pomóc. Autor podaje datę, jest stosowny przypis. Czekam na odpowiedź rewizjonistów.

Oczywiście, Gursztyn ma pretensje do Anglii i Francji – o to, że spróbowawszy powstrzymać agresję Hitlera w pierwszej połowie roku 1939, nie umiały stanąć do prawdziwej walki we wrześniu, choć mogły wojnę skrócić i zakończyć happy endem. Bo te same osoby czy państwa mogą podejmować decyzje przeczące sobie nawzajem. Warto tu przypomnieć, że Anglia nie musiała odwracać od siebie uwagi Hitlera podsunięciem mu Polski, bo miała cały czas ofertę koegzystencji, ba sojuszu z jego strony. Szczerą, to wynikało już z tekstu „Mein Kampf". Udzielając gwarancji Polsce, Londyn wszedł na ścieżkę wojenną i już z niej nie zejdzie. O to mają do ówczesnego rządu brytyjskiego pretensje, o dokładnie przeciwnym wektorze, anglo-amerykańscy rewizjoniści. Dla Alana J. Taylora – przypomina to Gursztyn – Chamberlain to naiwniak, który zamiast posłuchać perswazji Hitlera, posłuchał chytrego Becka. A ten wciągnął go w pułapkę – w interesie Polski. Paradoksalnie tamci rewizjoniści wystawiają polskiemu ministrowi pomnik. Czy to on dał się podejść Anglii?

Ale w tym sporze jest coś jeszcze. Między opowieścią o głupocie a opowieścią o spisku jest różnica. Spisek przeciw światowemu pokojowi zawiązał Hitler. Od pewnego momentu dołączył się Józef Stalin. Wy, rewizjoniści, w imię swoich dogmatów próbujecie tę odpowiedzialność rozłożyć na zachodnie mocarstwa. Jeśli na dokładkę piszecie nieprawdę, to nie tylko szkodzicie, lecz szkodzicie w imię nieprawdy.

Oczywiście jeszcze bardziej fundamentalnym pytaniem jest to o wybory samych polskich władz. Zychowicz nagromadził wystarczająco wiele dowodów na niechęć Hitlera do konfrontacji z Polską, aby uwierzyć w realność i sensowność polsko-niemieckiego współdziałania w imię czegoś, co Gursztyn nazywa „mirażami nad Morzem Czarnym".

NIE ZOSTAĆ WASALEM

Gursztyn pyta nieustannie o jedno. O to, jak miałby Hitler zrealizować jedyny swój cel, do którego dążył konsekwentnie: do zdobycia wielkich przestrzeni z ziemią uprawną na wschodzie, szanując wszelkie prawa i interesy Polski. Ten cel się pojawia w „Mein Kampf" i wraca nieustannie, także w tych miejscach, gdzie wódz III Rzeszy wypowiada komunikaty w teorii uspokajające dla Polski, choćby na konferencji z 5 listopada 1937 r. utrwalonej w tak zwanym raporcie Hosbacha.

Wszakże nasz kraj był po drodze tej ekspansji. Na początek musiałby oddać całą swoją infrastrukturę, szlaki komunikacyjne, powiedzmy wprost: terytorium do użytku obcemu mocarstwu. Powtórzmy, działoby się to w sytuacji trwałego wyrzeczenia się sojuszników na Zachodzie, czyli przystania na bezalternatywny układ, możliwe, że po

eprasa.pl d83cf5c87b

wygranej wojnie Hitlera z tymi sojusznikami. I w warunkach zgody na sojusz, który w założeniu nie był sojuszem równoprawnym.

Gursztyn cytuje Edwarda Rydza-Śmigłego: „Nie mogło być wątpliwości, że w razie przyjęcia niemieckich propozycji w stosunku do Rosji, po najpomyślniej nawet przeprowadzonej kampanii – wojska niemieckie przeszedłszy raz przez Polskę, nie chciałyby się wycofać co najmniej z naszych dzielnic zachodnich, a pozostała część państwa polskiego spaść by musiała do roli wasala Rzeszy".

Zostawmy już pytania o racje moralne, choć ani ja, ani Gursztyn nie umielibyśmy pisać o współdziałaniu z hufcami spod znaku swastyki z zapałem. Ale czy przywódcy RP mieli prawo starać się oszczędzić Polsce losu wasala? Nie stając przecież wtedy przed wyborem: albo obrona suwerenności, albo miliony zabitych. To absurd.

Oczywiście w książce Gursztyna padają, tak jak padały w antyrewizjonistycznej publicystyce, inne pytania. Czy jest realistą ktoś, kto całkiem abstrahuje od społecznych nastrojów? Nawet gdyby prawie wszyscy Polacy się mylili, ich nastawienie było faktem. Jest też dyskurs o tym, co potem. Gursztyn pokazuje jedno niebezpieczeństwo za drugim związane ze staniem po stronie Osi. Od demoralizacji społeczeństwa po rozliczenia i jeszcze większego okrojenia Polski powojennej, o ile Hitler by przegrał.

Dla Zychowicza te zagrożenia nie istnieją. Wie przecież, że wszystko układałoby się według bajkowego scenariusza: najpierw pokonanie Sowietów wspólnie z III Rzeszą, a przy okazji uratowanie polskich Żydów, potem przerzucenie się w porę na stronę koalicji anglo-amerykańskiej, która wygrałaby ostatecznie. I nagrodziła nas za lisią przebiegłość. Z kolei bardziej przenikliwy Ziemkiewicz w ogóle nie zarysował alternatywnego scenariusza, poprzestając na punktowaniu „sanacyjnych głupków" za to, że ich założenia się nie sprawdziły. Wprawdzie można wskazać dziesiątki momentów, kiedy mogły się sprawdzić, gdyby historia skręciła w trochę innym kierunku. I dziesiątki scenariuszów jeszcze gorszych. Ale dziś buduje się reputację politycznego myśliciela jednym argumentem: zna się dalsze zdarzenia.

> Rewizjonizm historyczny ma wiernych wyznawców, ale nie stał się pieśnią większości Polaków, także tych młodych. Oni często lubią proste recepty. Ale z nich wyrastają, jak z konceptów Korwin-Mikkego

Wystarczy to, aby wskazać, kto był winien – to samo dzieje się z Powstaniem Warszawskim, w gruncie rzeczy z każdym zdarzeniem.

PO CO REWIZJONIZM?

Oczywiście w tle majaczyły inne motywy. To Krzysztof Kłopotowski wyłożył współczesny cel lekcji historii à la Zychowicz. Nie cytuję dosłownie, ale założył on, że młodzi ludzie, kiedy dowiedzą się, że ich historia nie jest obciążona klątwą złego geograficznego położenia, a tylko błędami niemądrych przywódców, nie będą emigrować z Polski. Cel w teorii szlachetny, a przecież prowadzący do mitomanii. Też denerwują mnie „martyrologiczne" gesty części polskich prawicowców, którzy polityczną refleksję sprowadzają do żalenia się na cały świat. Ale z kolei łudzenie się, że gdyby nie paru głupców w polskiej historii, mielibyśmy z górki, to żaden realizm.

Odbiorcami, a po części promotorami teorii Zychowicza i Ziemkiewicza stały się prawicowe japiszony zafascynowane wizją „realizmu", a tak naprawdę swoistego polskiego twardzielstwa, będącego odtrutką na nieżyciowy romantyzm. Wystarczyło być kiedyś bardziej cwaniackim, przebiegłym wobec historii, tak brzmiało nowe przesłanie. Tylko że ceną jest inna niż lewicowa pedagogika wstydu. A co najważniejsze, chce się ją osiągnąć za cenę fałszu. Tymczasem to cwaniactwo było nie tylko niemoralne, lecz nierealne.

Sprawa miała też kontekst polityczny. Sam Zychowicz to germanofil, zainteresowany na dokładkę maksymalną popularnością swoich książek. Jego teoriami interesował się jednak platformerski szef MSZ Radosław Sikorski, który szukał w nich odtrutki na „romantyczną" politykę historyczną PiS. Potem z kolei Rafał Ziemkiewicz uczynił z rewizjonizmu instrument własnych ambicji. Powiązał krytykę sanacyjnej ekipy z 1939 r. czy dowództwa AK w roku 1944 z tradycją antyinsurekcyjną i swoją krytyką polskich wad narodowych. Miała to być podstawa intelektualna projektu politycznego – „nowej endecji". Nie wszystko się tu domykało, prawdziwa Narodowa Demokracja była w roku 1939 bardziej antyniemiecka niż Beck. Ale chodziło o zbudowanie analogii. Nierealistyczna tromtadracja to obecne kierownictwo PiS. My realistyczni antyromantycy będziemy lepiej wiedzieli, co jest potrzebne Polsce.

Dziś z tego projektu zostało niewiele. Wystąpienia Ziemkiewicza na tematy współczesne bywają bardziej tromtadrackie niż polityka PiS, a ich skuteczność jest więcej niż ograniczona. Z kolei rewizjonizm historyczny ma wiernych wyznawców, ale nie stał się pieśnią większości Polaków, także tych młodych. Oni często lubią proste recepty. Ale z nich wyrastają, jak z konceptów Korwin-Mikkego.

Takie książki jak ta Gursztyna to kolejny krok w kierunku sprowadzenia tych teorii do właściwych wymiarów: sekciarskich zabaw w historię alternatywną. Nawet jeśli idealizuje nadmiernie sanacyjną dyplomację, w jednym ma rację z pewnością. „Poważny i spokojny namysł nad rokiem 1939 pokazuje, że nasi przodkowie nie wykazali złej woli, nie zdradzili, nie ulękli się, postępowali odpowiedzialnie i ostrożnie, a jedynym ich »grzechem« była niechęć dobrowolnego oddania się w niewolę" – to jego konkluzja. To nie krzepiąca piosenka, to po prostu prawda.

36/0218/F

eprasa.pl d83cf5c87b

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.







www.grupacedrob.pl

eprasa.pl d83cf5c87b



Tajemnica Czarnego Traktu

Do Wilna od południowego wschodu wjeżdża się nierówną i wąską ulicą Juodasis Kelias. Okoliczni mieszkańcy mówią, że zdarza się tutaj wyjątkowo dużo wypadków, bo „droga zbudowana jest na kościach". Pod asfaltem lub w pobliskich ogrodach leżą podobno szczątki żołnierzy AK, którzy w 1944 r. uczestnicząc w operacji „Ostra Brama", szli tędy, by oswobodzić miasto. Szuka ich teraz wydział kresowy Biura Poszukiwań i Identyfikacji Instytutu Pamięci Narodowej



MARCIN WIKŁO

Wujku, wyjdź do nas, pokaż się, tak cię proszę... – starsza kobieta ukradkiem wyjmuje z kieszeni małą buteleczkę, wylewa zawartość na otwartą dłoń i kropi odkrytą w rogu ogrodu ziemię. – To woda święcona, przywiozłam z Wrocławia. Modlę się, żebym mogła spełnić wolę mojej mamy i odnalazła jej brata – wyjaśnia, gdy przyglądam się temu z zainteresowaniem. Pani Zofia Kozubek zainteresowała swoją rodzinną historią IPN, teraz przyjechała do Wilna, by przyglądać się pracom archeologów. Wcześniej uruchomiła spore grono osób, które doprowadziły naukowców w to konkretne miejsce.

PRECYZYJNE WSKAZANIE

Poszukiwanym żołnierzem jest Henryk Markowski, rocznik 1925. Wiadomo o nim niewiele. Pani Zofia ma tylko trzy fotografie, jedną z dziecięctwa i dwa portrety młodego mężczyzny. Heniuk, bo tak na niego mówiono w rodzinie, nie dożył oswobodzenia miasta, padł od niemieckiej kuli w nocy z 6 na 7 lipca 1944 r., na samym początku operacji „Ostra Brama". Przez lata wydawało się, że jego odnalezienie będzie niemożliwe,

eprasa.pl d83cf5c87b

nikomu nic nie mówiła informacja, że zginął, idąc na Wilno „po czarnym trakcie", i że było to „w górach". Pani Zofia tracąc już nadzieję, napisała maila do koleżanki w Wilnie. Opisała w nim historię wujka i poprosiła, by popytać, czy ktoś czegoś nie słyszał.

Teraz druga część historii, chyba najważniejsza. Łącznik. To pani Mirosława Naganowicz, nauczycielka języka polskiego w szkole w Kolonii Wileńskiej. Przez kilku pośredników trafiła do niej ta elektroniczna korespondencja. – Znam tutaj, w górach [tak miejscowi mówią na tę część miasta – przyp. red.] wielu ludzi, pomyślałam, że pomogę. Najpierw poszłam do rodziny Ulewiczów, bo ich znam najlepiej, i powiedziałam wprost, że szukam grobów żołnierzy, którzy tutaj zginęli – opowiada.

I w końcu trzecie ogniwo – Michał Ulewicz, Polak mieszkający na przedmieściach Wilna, który jest właścicielem posesji przy ul. Juodasis Kelias (tłum. czarna droga/trakt): – Moja mama już dawno mówiła, że w rogu ogrodu leżą żołnierze. I żebyśmy o ten grób zadbali. Teraz to się może spełni – opowiada mężczyzna. Zapewnia, że bardzo zależy mu na odnalezieniu szczątków, o których słyszał. Tym bardziej że niebawem droga ma być poszerzana i na tym terenie będzie asfalt, trzeba się więc spieszyć.

– Wskazanie w tym przypadku jest rzeczywiście dosyć precyzyjne, nie możemy go zignorować. Właśnie po to powstało Biuro Poszukiwań i Identyfikacji w IPN, by także takimi historiami się zajmować. Czy uda się odnaleźć wuja pani Zofii... – dr Leon Popek, naczelnik wydziału kresowego, zawiesza głos. Nie może dać gwarancji. Naukowcy w takich momentach mówią, że i tak wszystko zweryfikuje „profesor łopata". Po prostu trzeba kopać.

EMOCJE I NADZIEJE

Prace zaczynamy w poniedziałek z rana. Pogoda jest dobra, kilkanaście stopni na plusie i bezdeszczowo. Dr Dominika Siemińska ustala zarys wykopu, metr na dwa metry. Cztery szpilki wbite w ziemię, żółty sznurek wyznacza linie. – Kopiemy delikatnie, najpierw na głębokość jednego sztychu, a potem po pół – instruuje archeolog prowadząca wykop. Pracę fizyczną z ochotą wykonuje trzech młodych chłopaków, wolontariuszy Stowarzyszenia Odra–Niemen: Piotr Szołdra, Daniel Mrugała i Dominik Rozpędowski. – Stale współpracujemy z IPN, byliśmy już z prof. Szwagrzykiem na „Łączce", potem na Opolszczyźnie, także z dr. Popkiem na Wołyniu. Teraz jesteśmy na Wileńszczyźnie i ta praca jest wyjątkowa – opowiada Dominik, 28-letni socjolog, którego prawdziwą pasją są Kresy i pomoc Polakom na Wschodzie. – Ogromne wrażenie robi na mnie to, że szukamy konkretnego żołnierza, który ma imię i nazwisko, ale nie ma grobu. I absolutnym ewenementem jest to, że jest z nami pani Zosia, jego siostrzenica. Dyskretnie przygląda się naszym pracom, chodzi wokoło z różańcem w ręku i modli się, abyśmy go znaleźli. To dodatkowa motywacja – mówi.


Zofia Kozubek z fotografią poszukiwanego wuja, Henryka Markowskiego

Fot. M. Czutko

Metodologia wykopu jest teoretycznie prosta, ale wymaga od poszukiwaczy sporo cierpliwości. Głębokość zależy od terenu, na którym pracuje archeolog. – Schodzimy warstwa po warstwie, aż osiągniemy poziom tzw. calca, nienaruszonej warstwy ziemi, co do której mamy pewność, że nie było tam już ingerencji ludzkiej. Na przekroju dobrze widać każdą wcześniejszą zmianę, każde zaburzenie – tłumaczy Michał Nowak, archeolog z wydziału kresowego.

W ogrodzie Ulewiczów dół ma ok. 140 cm. Po wycięciu trawnika, kostka po kostce, by później go odtworzyć, natrafiamy na warstwę kamieni, nieco niżej trochę śmieci, a później już glina i piach. Trafia się jedna karabinowa łuska i plastikowe pudełeczko po paście do butów. Widać tu całą historię działki. Jaki był poziom terenu w 1944 r., jaki w 1956 r., gdy budowano dom i ile w ogrodzie wysypano ziemi z wykopanych fundamentów. Ale nie ma szczątków ludzkich... Zapada decyzja, poszerzamy wykop o pół metra w kierunku ogrodzenia. I to jednak nie daje rezultatu. Ziemia do dołu, kostki trawy na wierzch. Patrząc z kilku metrów trudno się zorientować, że jeszcze kilka minut temu był tu taki wykop.

Po południu, po pracy przyjeżdża gospodarz. Martwi się, że nie udało się niczego znaleźć. – Przez lata zarys działki mógł się zmienić – tłumaczy dr Siemińska. – Granica mogła się przesunąć o metr, dwa lub nawet kilka, np. przy stawianiu słupów wysokiego napięcia albo budowie drogi. To, co dzisiaj jest wskazywanym „rogiem ogrodu", wcale nie było kiedyś rogiem.

Kolejne dwa dni upływają na pracy świdrem geologicznym. Teren penetrowany jest co pół metra. Praca idzie szybciej niż przy wykopie, ale nie da się od razu stwierdzić, co powoduje zaburzenia, które czasem widać na ziemi wyciąganej z otworów. Ekipa decyduje się jeszcze na kolejne mniejsze wykopy, ale szczątków w nich nie ma.

eprasa.pl d83cf5c87b



Symboliczny grób por. Jana Borysewicza ps. Krysia na cmentarzu w Ejszyszkach

Fot. M. Czutko

Na twarzy pani Zofii widać ogromne rozczarowanie. W milczeniu przyjmuje informację, że tym razem się nie udało. Paciorki różańca krążą między palcami...

WYŚCIG Z BIOLOGIĄ

Plan działań IPN na Litwie został przygotowany podczas rekonesansu w ubiegłym roku. Polscy historycy dostali wtedy informację, że poza posesją Michała Ulewicza należałoby przebadać jeszcze jedną działkę, położoną po przeciwnej stronie Czarnego Traktu. Tam, pod rozłożystą lipą ma być także złożone ciało polskiego żołnierza. Uwagę dr. Popka zwracają kwiaty posadzone tylko w jednym miejscu, jakby dla upamiętnienia zmarłego, i wiciokrzew, efektowne pnącze, które na pewno nie wyrosło tutaj samo, a mało prawdopodobne jest, by ktoś zasadził je przypadkowo w zaniedbanej i odległej od domu części ogrodu. Niestety, nie ma kontaktu z właścicielką działki, a jej krewni, który obiecali historykom kontakt, po jednej rozmowie już się nie odezwali. A bez tej zgody prac prowadzić nie można.

Jest jeszcze jedna szansa na to, by odnaleźć szczątki przy tej ulicy. Gdy szosa za kilka miesięcy będzie poszerzana, co wiąże się na pewno z zerwaniem starego asfaltu, mieszkańcy obiecali, że będą zwracali uwagę na pracę robotników. Będzie im także towarzyszyła archeolog, która opiekuje się polską grupą z ramienia Ministerstwa Kultury Litwy.

Osiem miesięcy temu polscy historycy dokumentowali także miejsca w okolicy Ejszyszek. To miejscowość położona ok. 40 km na południe od Wilna, przy samej granicy z Białorusią. Mieszka tam bardzo wielu Polaków, ale coraz mniej jest starszych osób, które mogą coś pamiętać. – W październiku spotkaliśmy ponadosiemdziesięcioletnią babcię Jadzię, która wskazała nam, gdzie na skraju lasu może leżeć zakopany żołnierz AK, być może z oddziału por. Jana Borysewicza „Krysi" – opowiada dr Leon Popek. – Gdy przyjechaliśmy teraz i przekopaliśmy teren, okazało się, że rzeczywiście były tam szczątki. A pani zmarła dwa miesiące temu. Ta historia pokazuje, jak ważny jest pośpiech, jak nierównym wyścigiem z biologią jest nasza praca. To właściwie cud, że nie zabrała tej informacji z sobą do grobu, tylko zdążyła się z nami nią podzielić. Dzięki temu możemy próbować identyfikować znalezione szczątki i być może ten żołnierz będzie miał własny grób.

CZEKANIE NA LEGENDĘ

Każdy teren ma swoich legendarnych żołnierzy. Na warszawskiej „Łączce" historycy IPN pracowali z nadzieją odnalezienia rtm. Pileckiego, gen. Nila czy mjr. Łupaszki, straconych na Mokotowie. Do tej pory tylko ten ostatni został zidentyfikowany i pochowany we własnym grobie. Tutaj, na Litwie, Polacy mówią najwięcej o por. Janie Borysewiczu ps. Krysia. Jego symboliczny grób znajduje się w kwaterze AK na cmentarzu w Ejszyszkach, ale to nikogo nie satysfakcjonuje.

Partyzantkę zaczynał w 1944 r. z siedmioma osobami. Rok później miał pod sobą ponad 650 świetnie wyszkolonych żołnierzy. Zabito go w styczniu 1945 r. w zasadzce NKWD pod Kowalkami. Sowieci obwozili jego nagie ciało po okolicznych wsiach, tak bardzo chcieli się pochwalić zabiciem niebezpiecznego „bandyty". Nie wiadomo dokładnie, gdzie w końcu porzucili zwłoki, stąd problem ze znalezieniem szczątków. Najbardziej prawdopodobna informacja mówiła, że zrzucono go do studni we wsi Majak. W 2009 r. przebadano to miejsce, szczątki znaleziono, ale badania DNA wykluczyły, by był to por. Borysewicz. Wileńszczyzna wciąż czeka na „Krysię".

Wydział kresowy Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN do końca maja będzie pracował na Litwie, a potem, po uzyskaniu zgód przeniesie się na Białoruś. Mimo intensywnych rozmów, nawet na poziomie prezydentów, oraz zawiązania grupy roboczej z udziałem wicepremierów polscy specjaliści wciąż mają blokowaną możliwość pracy na Ukrainie. – Jesteśmy gotowi pojechać tam w każdym momencie, niestety, decyzje polityczne nam to uniemożliwiają. Czas ucieka, a właśnie na Ukrainie czeka nas najwięcej pracy, najwięcej dołów śmierci z Polakami do odkrycia – mówi z żalem dr Popek. Impas pomiędzy Warszawą a Kijowem w kwestii badań historycznych trwa od momentu, gdy w Hruszowicach na Podkarpaciu zburzono nielegalnie postawiony w 1992 r. pomnik sławiący Ukraińską Powstańczą Armię (UPA), której bojownicy są odpowiedzialni za śmierć setek tysięcy Polaków na Wołyniu.

– Mało osób w kraju ma świadomość, że to była kiedyś Polska. I, że my szukamy żołnierzy, którzy tej Polski bronili, najpierw przed Niemcami, a potem przed Sowietami. Powinnością państwa polskiego jest ich odnaleźć. Zrobimy wszystko, by mieli swoje mogiły i by na każdej z nich stanął krzyż. To im się po prostu należy – mówi polski historyk.

42/2018/F, 44/2018/F, 28/2018/F, 62/2018/F

eprasa.pl d83cf5c87b

JUŻ 28 MAJA W TYGODNIKU

SIECI

I W KAŻDY OSTATNI PONIEDZIAŁEK MIESIĄCA PRZEZ CAŁY ROK

Bohaterowie Niepodległej

Marszałek Józef Piłsudski • Ignacy Jan Paderewski • Ignacy Daszyński • gen. Józef Dowbor-Muśnicki • Ignacy Mościcki • gen. Józef Haller • Walery Sławek • inż. Eugeniusz Kwiatkowski • gen. Kazimierz Sosnkowski • Wojciech Kossak • Adam Sapieha • Władysław Grabski • ks. Ignacy Skorupka • Jan Kiepura • Wincenty Witos • Januszy Kusociński • Roman Dmowski • Wojciech Korfanty

SERIA DODATKÓW O NIEZWYKŁYCH LUDZIACH, KTÓRYM POLSKA ZAWDZIĘCZA NIEPODLEGŁOŚĆ

„Bohaterowie Niepodległej" to opowieść o bohaterach wielkich i znanych oraz tych, którzy nie pojawiają się w podręcznikach, a warto ich przywrócić naszej pamięci.



TOMASZ ŁYSIAK
pisarz, dziennikarz, publicysta

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU

PZU

ALIOR BANK

PARTNERZY DODATKU

Bank Pekao

LOTOS

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl d83cf5c87b

Kłótnia o Iran

Spór amerykańsko-europejski o politykę wobec Iranu jest dziś postawiony na ostrzu noża



JAN ROKITA

Największy policzek wymierzony sojusznikom przez Amerykę!". Tak emocjonalnie potraktowała decyzję Donalda Trumpa o powrocie do sankcji przeciw Iranowi szefowa unijnej dyplomacji Włoszka Federica Mogherini. Donald Tusk zaś załamywał ręce na Twitterze: „Skoro mamy takich przyjaciół jak Trump, to już nie trzeba nam żadnych wrogów". Z kolei poprzednik Tuska na brukselskiej posadzie – Belg Herman Van Rompuy – emfatycznie i bez umiaru ogłosił nawet, iż „rozdźwięk między Europą i Ameryką jest teraz taki, iż pojęcie »Zachodu« w ogóle przestało istnieć".

ZŁOŚĆ NA TRUMPA

Antyamerykańskie namiętności w Brukseli i kilku innych europejskich stolicach osiągnęły ostatnio apogeum, przerastając nawet to wszystko, co mówiono tam po zerwaniu przez Trumpa rozmów o traktacie TTIP o wolnym handlu czy wycofaniu się USA z globalnej umowy klimatycznej. Przyczyna tych wybujałych nastrojów w Unii w jakiejś przynajmniej mierze leży w tym, iż decyzja amerykańskiego prezydenta upokorzyła Angelę Merkel i Emmanuela Macrona, którzy moment wcześniej podróżowali do Waszyngtonu z zamiarem powstrzymania Trumpa przed spotęgowaniem konfliktu z Iranem. Ich nadzieje okazały się jednak płonne, a prestiżowe ryzyko niewarte podejmowania. Złość na Trumpa, jaka panuje w Paryżu i Berlinie, jest więc jeszcze podsycana świadomością politycznego błędu, którym były „pielgrzymki" do Waszyngtonu dwojga najważniejszych polityków europejskich, podczas gdy teraz wiadomo, iż Trump już wcześniej podjął w kwestii perskiej ostateczną decyzję.

Decyzja ta, ogłoszona przez prezydenta w mowie z 8 maja transmitowanej przez telewizje, dotyczy nieprzedłużenia amerykańskiego moratorium na sankcje wobec Iranu, co oznacza wyjście USA z układu 6+1+1 (Ameryka, Chiny, Niemcy, Francja, Anglia, Rosja + UE + Iran), którego inicjatorem był prezydent Barack Obama. Na mocy porozumienia z 2015 r. Ameryka zgodziła się na takie moratorium oraz wypłaciła Persom 1,7 mld dolarów w gotówce, co republikanie na Kapitolu określali mianem „skandalicznej łapówki" (pretekstem miały być rozliczenia z tytuły zakupów wojskowych dokonanych w czasach... szacha Rezy Pahlawiego). Iran podjął zaś zobowiązania co do ograniczenia swojego programu nuklearnego.

Mimo wielu rozbieżności między Trumpem a czołowymi politykami republikańskimi, jakie ujawniły się w trakcie kampanii prezydenckiej w USA, w jednej sprawie od początku istniała tu zgoda i jasność. Zarówno Trump, jak i jego czołowi republikańscy oponenci traktowali umowę wynegocjowaną przez ekipę Obamy jako fatalną dla Ameryki i zapowiadali jej zerwanie po zwycięstwie wyborczym. Np. senator Lindsey Graham, który w wyborach publicznie odmówił głosowania na Trumpa, uznawał zarazem, że wycofanie się z umowy z Persami jest „kwestią numer jeden", przy której zamierza współpracować z nowym prezydentem. Podstawowy zarzut, jaki republikanie od początku formułowali wobec umowy, dotyczył tego, iż rządzony przez ajatollahów Iran wykorzystuje naiwność Obamy, aby wyjść z kryzysu ekonomicznego, wzmocnić swoją gospodarkę i armię oraz skuteczniej niż dotąd zagrozić najbliższym sojusznikom Ameryki na Bliskim Wschodzie, czyli Izraelowi i Arabii Saudyjskiej.



FOT. AFP, PHOTO/ATTA KENARE

eprasa.pl d83cf5c87b



Ubiegłotygodniowy protest przed amerykańską ambasadą w Iranie

EKSPANSJA IRANU

Po 2015 r. obawy te zaczęły się sprawdzać szybciej, niż można to było przewidzieć. Wzrost PKB w Iranie skoczył w 2016 r. aż do poziomu 16 proc. Wykorzystując silny antagonizm religijny w świecie islamskim między szyitami a sunnitami, Persowie umocnili swój polityczny protektorat nad Irakiem, gdzie zarządzana z Teheranu partia Fatah, dysponująca paramilitarnymi Siłami Mobilizacji Ludowej, odniosła spory sukces wyborczy, stając się drugą siłą w bagdadzkim parlamencie. Ajatollahowie wysłali swoich doborowych Strażników Rewolucji do Syrii, którzy tam, walcząc w sojuszu z Rosją, odegrali kluczową rolę w pokonaniu sunnickiego powstania przeciw tyranii Baszara Asada, po czym usadowili się na dobre na pograniczu Izraela, wszczynając z bliskiej odległości ostrzał Galilei. W Jemenie Teheran wspomaga militarnie rebelię szyitów, którzy dzięki temu mogą skutecznie prowadzić wojnę z armią saudyjską i próbować ostrzeliwać stolicę Saudów Rijad perskimi rakietami. A także de facto panuje już nad Libanem, gdzie kontrolowana przez Iran partia i milicja Hezbollah (traktowana na Zachodzie jako organizacja terrorystyczna) przejmuje właśnie po wyborach z 6 maja pełnię władzy nad krajem. Jeśli te wszystkie geopolityczne sukcesy umiejscowić na mapie, to widać jak na dłoni, że sprawdzają się przestrogi sprzed lat, formułowane przez roztropnego króla Jordanii Abdullaha, iż Persowie dążą do stworzenia „szyickiego półksiężyca" na Bliskim Wschodzie, skrycie marząc o przywróceniu starożytnej dominacji państwa perskiego w tym kluczowym regionie świata. Dla przyjaciół Ameryki taki scenariusz oznaczałby polityczną katastrofę: Saudowie przegraliby definitywnie zimną wojnę, jaką prowadzą od lat z Iranem, Izrael zaś stanąłby wobec ryzyka zagłady, w obliczu ekspansywnej potęgi wrogiego sąsiada. Łatwo pojąć, iż to, czy ajatollahom uda się wyprodukować broń jądrową i rozwinąć produkcję rakiet do jej przenoszenia, czy też nie uda się tego zrobić, jest stawką najwyższą dla Bliskiego Wschodu, a tym samym – dla całego świata.

Obama uważał, że ekspansywny Iran trzeba obłaskawić i próbować uczynić zeń w przyszłości mocarstwo gwarantujące pokój na Bliskim Wschodzie. Ten styl myślenia nie jest zresztą obcy amerykańskiej tradycji politycznej.

eprasa.pl d83cf5c87b

Np. zmarły niedawno Zbigniew Brzeziński twierdził, iż przewlekły konflikt amerykańsko-perski, rozpoczęty od obalenia szacha Rezy w roku 1979, jest geopolitycznie sztuczny, a oba kraje powinny dążyć do jakiegoś trwałego modus vivendi. Trump i obecni republikanie są odmiennego zdania. „Gdybym pozwolił na tę umowę, niedługo mielibyśmy atomowy wyścig zbrojeń na Bliskim Wschodzie" – mówił prezydent w mowie z 8 maja. Ale zarazem zapewniał, że owszem, jest gotów negocjować z Iranem nowy i trwały układ, ale na dużo gorszych i bardziej restrykcyjnych dla Persów warunkach. „Nie przejmuję się tym, że oni będą mówić, iż nigdy się na to nie zgodzą, sam na ich miejscu też bym tak mówił – dodawał Trump – ale w interesie kraju będą musieli wcześniej czy później zgodzić się na nowy układ".

W przeciwieństwie do rządu Obamy obecna ekipa w Białym Domu nie wierzy w skuteczność obłaskawiania Persów, ale chce ich zmusić do uległości gospodarczym szantażem i groźbą użycia siły. Jeden z byłych dowódców armii izraelskiej ostatnio ujawnił, że obecny najbliższy doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa John Bolton jeszcze dobrych parę lat temu, jako ambasador USA przy ONZ, przekonywał go, iż Żydzi w swoim własnym interesie muszą któregoś dnia zbrojnie uderzyć na Iran, aby zlikwidować jego program jądrowy. Podobnej polityki z pozycji siły Trump próbował także w przypadku północnokoreańskiego tyrana Kima, choć na razie nie wiemy, czy naprawdę i z jak wielkim sukcesem.

UE I PERSOWIE

Podobnie jak w przypadku Korei Unia Europejska panicznie boi się takiej ryzykownej gry. A już za nic na świecie nie chce zostać wplątana, poprzez sojusz z USA, w konflikt na Bliskim Wschodzie jako uczestnik jednej z jego stron. Waszyngton nie ma takich obiekcji: dla Trumpa w polityce przyjaciele są przyjaciółmi, a wrogowie wrogami. I nie ma co mydlić komu oczu, że nie jest się ani po jednej, ani po drugiej stronie sporu. Tymczasem Europa w żadnym razie nie jest gotowa ani twardo stać po stronie Izraela (którego politykę od lat poddaje druzgocącej krytyce), ani tym bardziej po stronie teokratycznych Saudów, których „średniowieczny" (wedle postępowców) model rządów w ogóle nie mieści się Europejczykom w głowie. Dlatego obecnie Merkel z Macronem próbują namówić Persów, aby zachować umowę z 2015 r., tyle że jej gwarantami mieliby zostać Europejczycy zamiast Amerykanów. Jeszcze w kwietniu, gdy decyzja Trumpa nie była znana, perski szef dyplomacji Dżawad Zarif odrzucał takie rozwiązanie, rozsądnie wątpiąc, czy Unia Europejska ma realną możliwość, aby zagwarantować Iranowi ekonomiczną nieskuteczność nowych amerykańskich sankcji. Teraz, w obliczu konfliktu Europy z Trumpem, a także pod presją obaw prezydenta Rouhaniego, iż zarówno on sam, jak i jego szef dyplomacji, w razie całkowitego zerwania umowy mogą utracić władzę na rzecz antyzachodnich jastrzębi, Dżawad Zarif wybrał się w podróż do Europy, aby zbadać możliwość zachowania umowy bez Amerykanów. Bruksela, Berlin i Paryż witają go z entuzjazmem.

> Merkel z Macronem próbują namówić Persów, aby zachować umowę z 2015 r., tyle że jej gwarantami mieliby zostać Europejczycy

Kiedy w 2011 r. Amerykanie nałożyli sankcje na Iran, okazało się to z jednej strony krokiem rujnującym perską gospodarkę, z drugiej zaś – jednym z czynników, które wówczas wywindowały cenę ropy naftowej do astronomicznej kwoty 125 dolarów za baryłkę. Zachód był w tamtych sankcjach solidarny, a Europa obawiała się rozwoju perskiego programu nuklearnego. Dlatego izolacja gospodarcza Iranu pogłębiała się, a perska ropa została stopniowo niemal całkowicie wyparta z globalnego rynku. Dzisiaj sytuacja jest inna co najmniej w dwojakim sensie. Spór amerykańsko-europejski o politykę wobec Iranu został postawiony na ostrzu noża, a kraje Unii będą zapewne próbować na różne sposoby unieszkodliwić skutki amerykańskich sankcji. Wątpliwe jednak, czy są w stanie odnieść sukces, gdyż to Waszyngton dysponuje najsilniejszymi na świecie instrumentami oddziaływania zarówno na koncerny naftowe, jak i na potencjalnych inwestorów, którzy boją się rujnujących skutków finansowych dla swoich firm w razie kolizji z prawem amerykańskim. Nie bez przyczyny minister Dżawad Zarif wątpi w to, czy Iranowi opłaca się trwać przy umowie z 2015 r., jeśli nie wiąże już ona Amerykanów. Oznaczałoby to przecież, że Iran musiałby nadal respektować narzucone nań restrykcje nuklearne, a jednocześnie znosić presję sankcji.

Na niekorzyść Teheranu działa także to, iż po kryzysie wokół Iranu z lat 2011/2012, zarówno Arabia Saudyjska, jak i Emiraty, Kuwejt oraz Irak zainwestowały sporo we własne zdolności produkcyjne, więc wypchnięcie z rynku przez Trumpa ropy perskiej (także tej tzw. surowej, będącej specjalnością Iranu) jest łatwe do zastąpienia. Tyle że Trump zapewne nie postawił takiego warunku Saudyjczykom, iżby w reakcji na nowe sankcje zwiększyli wyraźnie własne wydobycie i eksport. Hamowanie cen ropy leży bowiem w interesie Europy (która jest jej importerem), ale nie Ameryki, w której koncerny naftowe zarabiają na zwyżce cen.

Z europejskiej (a więc i polskiej) perspektywy można mieć nadzieję, że łatwa zastępowalność perskiego paliwa sprawi, iż wzrost ceny ropy nie będzie tym razem porównywalny z rokiem 2012 (na razie jest to 75 dolarów za baryłkę). W tym tygodniu w Arabii Saudyjskiej zbierze się tzw. grupa OPEC+ (czyli 6 państw OPEC i Rosja), aby ustalić, czy po decyzji Trumpa zwiększać wydobycie i eksport. Także w tym punkcie, niestety, interesy Europy i Ameryki nie są zbieżne.

60/0318/F

eprasa.pl d83cf5c87b

TAURON



Miej swoją firmę zawsze na oku!

Wybierz pakiet Bezpieczna Firma i zyskaj:

- zestaw urządzeń **SMART za 1 zł netto**: kamerę, inteligentną wtyczkę i czujnik dymu
- prąd **w obniżonej cenie**

Zadzwoń:
555 444 555
Opłata jak za zwykłe połączenie telefoniczne, zgodnie z taryfą operatora.

Sprawdź na:
tauron.pl/bezpiecznafirma

Szczegóły oferty w Cennikach i Regulaminach dostępnych na tauron.pl/bezpiecznafirma.

tauron.pl/bezpiecznafirma

eprasa.pl d83cf5c87b



Fot. Shutterstock

Powrót azjatyckiego Orbána

Stary wróg Sorosa uznał, że jest on zbyt ważnym graczem w skali świata, aby mieć go przeciw sobie. I to nie jest żadna spiskowa teoria dziejów



PIOTR SKWIECIŃSKI

Wyobraźmy sobie, że Viktor Orbán rządzi Węgrami aż do... 2041 r., po drodze przechodząc przez europejski kryzys ekonomiczny uderzający w jego kraj bardziej niż w inne. Wygrywa konfrontację z całym, pragnącym jego upadku zachodnim establishmentem, na czele z George'em Sorosem, z którym w tej wyobrażonej realności łączy go podobny stopień wrogości, jaki znamy z naszej rzeczywistości (z tym że dla celów tej opowieści musielibyśmy Sorosa sporo odmłodzić), oraz z popieraną przez niego wewnętrzną opozycją. I triumfalnie odchodzi na emeryturę, zaręczając, że o polityce już nie chce słyszeć.

Po to, by za następne kilkanaście lat do tejże polityki powrócić, dla obalenia swoich skorumpowanych następców połączyć siły z opozycją, demonstracyjnie dogadać się z Sorosem i triumfalnie wygrać wybory w 2055 r. W wieku 92 lat po raz kolejny stając na czele rządu, wsparty przede wszystkim przez młodych wyborców.

Orbánowi to wszystko się jeszcze nie zdarzyło. Ale to nie jest zupełna fantazja.

PRZECIW NEOLIBERALNEJ RELIGII

W latach 90. dla zachodnich elit ekwiwalentem dzisiejszych Orbána, Kaczyńskiego i Trumpa, i to wziętych razem, był premier Malezji Mohammed Mahathir. Był ich ekwiwalentem w sensie wzbudzanej wrogości, przy czym nie dokładnie w sensie jej przyczyn. Bo czasy były inne, bo Mahathir działał w Azji, co wiele zmienia. W odróżnieniu od wyżej przywołanych on naprawdę pod różnymi pretekstami zamykał przeciwników z przyczyn politycznych do więzienia (choć zarazem nigdy nie zniósł demokracji, zbliżał się do granicy, ale jej nie przekroczył). No i w odróżnieniu od powyższych naprawdę wyrażał poglądy antysemickie (co w kraju islamskim dziwi mniej).

Ale na „wroga publicznego numer jeden" wywindowało go przede wszystkim coś innego; zajmujący się całym światem Zachód różnych satrapów nie lubi, ale nie stanowią oni dla niego głównego problemu. Poszło o coś poważniejszego.

To były czasy, kiedy Mahathir rządził Malezją, a ta gospodarczo szła do przodu jak burza, stając się wzorem „azjatyckiego sukcesu". Zarazem w skali świata apogeum osiągał model „konsensusu waszyngtońskiego", będącego wyrazem również przeżywającej wtedy najlepsze dni ideologii neoliberalizmu. „Konsensus" miał określać cechy polityki ekonomicznej każdego państwa chcącego aspirować do miana cywilizowanego. Deregulacja, prywatyzacja, cięcie wydatków rządowych, obniżanie podatków, likwidacja wszelkich barier dla obcego kapitału – oto podstawowe wyznaczniki tej polityki.

Polityki, dodajmy, przynoszącej różne skutki różnym krajom w różnych momentach. Za to zawsze wybitnie korzystnej przede wszystkim dla globalnych korporacji. Ale w ówczesnym świecie, po upadku komunizmu, system gospodarczego liberalizmu miał status niemal religii. Nie trzeba dodawać, że bardzo to cieszyło korporacje, a także pozostające wówczas z nimi w biznesowo-ideologicznym sojuszu rządy najwięk-

eprasa.pl d83cf5c87b

szych potęg Zachodu, z Ameryką na czele. I wszystkie te potęgi w dobrze pojętym własnym interesie stały na straży nowej religii. A rolę arcykapłana, zarazem głównego i misjonarza, i ochroniarza ortodoksji, powierzono w tym świecie Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu.

Wystąpić przeciw temu zespołowi interesów i wierzeń nie było bezpiecznie. Taki śmiałek w pierwszym ruchu przestawał być towarzysko akceptowany (bo do oceniania posunięć ekonomicznych wprowadzono kryteria „przyzwoitościowe" – że po prostu pewnych rzeczy podobno nie należy robić, bo to jest nieeleganckie, niezależnie od konkretnych, ekonomicznych skutków tych posunięć). W drugim ruchu atakowano go z całą siłą.

HEREZJARCHA

Otóż w 1998 r. w kraje azjatyckie uderzył kryzys finansowy. Miał wiele przyczyn, ale jedną z nich był celowy atak na ich waluty, podjęty przez wielkich międzynarodowych spekulantów. W ich czołówce był George Soros. A jednym z mocniej uderzonych państw była Malezja.

Rzecz jasna Międzynarodowy Fundusz Walutowy natychmiast pośpieszył z ofertą pomocy. Pomoc ta była oczywiście uzależniona od przeprowadzenia całej serii ekonomicznych działań, zasadzających się na pogłębianiu gospodarczej liberalizacji i cięciach wydatków. I pociągała za sobą realne przejęcie wpływu na całe segmenty gospodarki i powiązanej z nią polityki przez instytucje międzynarodowe.

Funkcję premiera sprawował wtedy Mahathir, ale sytuacja polityczna była skomplikowana i trudno było nazwać go rządzącym niepodzielnie. Co więcej, wśród otaczającej szefa rządu grupy kierowniczej partii Front Narodowy wyłoniła się frakcja skłonna do zaakceptowania dyktatu MFW i Banku Światowego. Na jej czele stanął wicepremier i długoletni współpracownik Mahathira, sporo młodszy od niego Anwar Ibrahim.

Mahathir po pewnych wahaniach zadecydował inaczej. I dopiero to rozpętało prawdziwą burzę. Oczywiście już wcześniej nie był przez Zachód lubiany. I za to, że walczył przeciw nadmiernym, jego zdaniem, wpływom Sądu Najwyższego w malezyjskim systemie politycznym. I za przemówienie, w którym przeciwstawiał wspólnotowe „wartości azjatyckie" indywidualistycznym „wartościom zachodnim" oraz krytykował przeświadczenia Zachodu, że ma prawo narzucać te ostatnie niezachodniemu światu. I za utrzymywanie oraz wykorzystywanie wprowadzonego jeszcze przez jego poprzedników prawa zezwalającego na internowanie bez sądu osób mogących zagrozić bezpieczeństwu państwa, które jeszcze niedawno musiało zwalczać komunistyczne i separatystyczne powstania. Ale dopiero odrzucenie propozycji MFW spowodowało prawdziwą erupcję gniewu Zachodu.

A premier nie tylko odrzucił te propozycje, lecz także zdecydował się prowadzić politykę odwrotną niż ta, którą mu zalecano. Nie zmniejszył, tylko zwiększył rządowe wydatki i przywiązał malezyjską walutę do dolara, utrudniając tym samym działania spekulantom. I zamiast zmniejszyć, zaostrzył kontrolę państwa nad inwestycjami finansowymi. Co więcej, potępiał otwarcie międzynarodowych spekulantów. Publicznie mówił o ich amoralności.

George Soros wybuchł gniewem i nazwał politykę Mahathira „zagrożeniem dla jego własnego kraju". Premier odwzajemnił się, nazywając Sorosa „idiotą" („moron").

Generalnie cały ton zachodniego mówienia o Malezji był wtedy taki jak Sorosa. Tylko że okazało się, iż Soros nie miał racji. Malezja, która nie uległa dyktatowi MFW i wspierającej Fundusz Ameryki, nie tylko nie spadła na dno piekieł, przewidziane przez liberalną ortodoksję dla heretyków, lecz wręcz przeciwnie. Podniosła się z kryzysu znacznie szybciej niż inne, pokornie przyjmujące rady państwa azjatyckie. Uderzający był zwłaszcza kontrast między tempem podnoszenia się Malezji a sąsiadującej z nią i realizującej politykę zaleconą przez MFW Indonezji. Było to do tego stopnia oczywiste, że po kilku latach, kiedy ultraliberalna ortodoksja przestawała być już jedyną uznawaną za cywilizowaną szkołą ekonomiczną, sam generalny dyrektor MFW Horst Kohler przyznał publicznie, iż to Mahathir, a nie Fundusz, miał rację.

ŻEBY WYJŚĆ ZE SMUTY

Od tego czasu zmieniło się wiele. Mahathir uwięził swego frondującego i skłonnego do uległości wobec Zachodu zastępcę Anwara Ibrahima, który otrzymał wysokie wyroki za... prawdziwy czy rzekomy homoseksualizm oraz za prawdziwe czy rzekome przestępstwa korupcyjne związane z homoseksualizmem (ot, azjatycka specyfika). I po paru latach, w 2003 r., uroczyście odszedł na emeryturę.

Ale w Malezji zaczęła się smuta. Następcy Mahathira nie radzili sobie gospodarczo. I pogrążyli kraj w korupcji wprost niewiarygodnej. Według niektórych (amerykański Departament Sprawiedliwości) rządzący w Kuala Lumpur stworzyli wręcz „największą kleptokrację świata". W zawsze niespokojnym kraju zaczęła rosnąć naprawdę potężna opozycja, której symbolem stał się... ten sam Anwar Ibrahim, w międzyczasie zwolniony z więzienia i skazany ponownie (za kolejne prawdziwe czy rzekome przestępstwa związane z homoseksualizmem). Opozycję wspiera nie kto inny, tylko Soros.

Niby nic nowego pod słońcem. Z jednym, ale zasadniczym wyjątkiem. Oto Wielki Emeryt uznał, że sytuacja grozi naprawdę wyrwaniem się spod kontroli. Wrócił do polityki. Stworzył nową partię. Uroczyście, na wspólnej konferencji, pojednał się z Sorosem, podtrzymując swoją negatywną ocenę spekulacji walutowych jako takich, ale przyjmując zapewnienia rozmówcy, że w 1998 r. nie atakował on akurat malezyjskiej waluty. Najwyraźniej uznał, że w nowej rzeczywistości trzeba zlikwidować niepotrzebne fronty, a Soros pozostaje zbyt ważnym graczem, by – jeśli nie jest to konieczne – mieć go przeciw sobie.

I w sojuszu z opozycją wygrał wybory bezprecedensowo, na fali ogromnego entuzjazmu, poparty zwłaszcza przez pokolenie, które już nie pamięta jego rządów. Przy czym zapowiedział, że władzę będzie sprawował tylko do momentu, w którym jego niegdyś współpracownik, a potem wróg i ofiara, Anwar Ibrahim zostanie ułaskawiony oraz wygra wybory uzupełniające, wchodząc do parlamentu. Wtedy odda mu premierostwo .

Czy dotrzyma słowa? I czego ta historia nas uczy?

eprasa.pl d83cf5c87b



Fot. Shutterstock

Liga młodych talentów

O tym, jak dużym potencjałem dysponuje polski futbol klubowy, świadczy stale rosnąca liczba widzów na stadionach. Bez wątpienia, gdyby poziom był ciut wyższy, a nasze najlepsze drużyny miały choćby status europejskich średniaków, w największych miastach na mecze przychodziłoby po kilkadziesiąt tysięcy widzów. Poza skokami narciarskimi wciąż nie ma w Polsce dyscypliny, która byłaby w stanie przyciągać aż takie tłumy.

Największym plusem minionego sezonu Ekstraklasy było to, że mimo zalewu ligi przeciętniakami z zagranicy (w wielu klubach ich liczba przekraczała 15) pojawiło się kilku ciekawych polskich młodych zawodników. To jednak zjawisko niewynikające z istniejącego systemu. Po prostu mamy talenty, które muszą się przebić wbrew przeciwnościom.

Fenomenem był Górnik Zabrze, który wiosną ubiegłego roku tułał się jeszcze w środku stawki pierwszej ligi. 14-krotny mistrz Polski niespodziewanie jednak awansował i od początku do końca był w ścisłej czołówce. To dzięki pracy trenera Marcina Brosza, który postawił na młodych Polaków i wsparł ich tylko kilkoma bardziej doświadczonymi graczami. Efekt jest taki, że z tej kopalni zaczęli czerpać selekcjonerzy reprezentacji kilku kategorii wiekowych, z Adamem Nawałką na czele. Tacy piłkarze jak Żurkowski, Kądzior czy Kurzawa mają szansę pojechać na mundial do Rosji.

Drugą z rewelacji sezonu była Wisła Płock budowana przez Jerzego Brzęczka podobnie jak Górnik przez Brosza. Jest to istotny sygnał dla ludzi zawiadujących polskimi klubami, w jakim kierunku mają iść. Można stawiać na swoich, kreować nowe twarze i walczyć o ligowy szczyt. Bo tylko w ten sposób można wyszukać i wyszkolić drugiego Lewandowskiego.

Przed sezonem Brosz powiedział, że jego celem jest utrzymanie w lidze i wygranie rywalizacji Pro Junior System (1,5 mln zł zgarnia klub, który wystawia największą liczbę młodych graczy). Cel udało się osiągnąć z nawiązką.

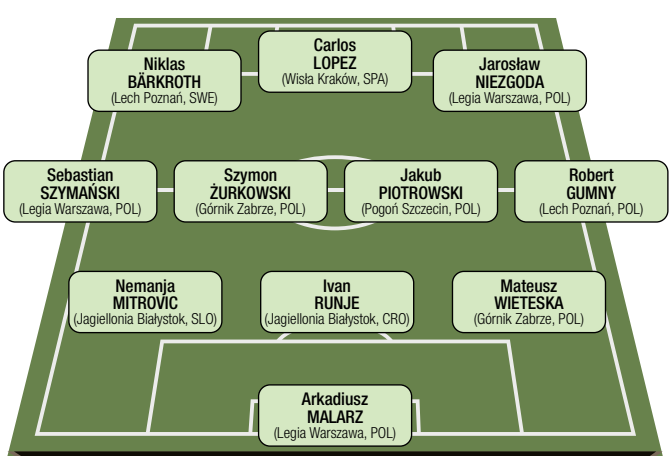
Na tym tle mimo wszystko blado wypadli potentaci, czyli najbogatsze Legia i Lech. Przy swoich budżetach i możliwościach powinny wyprzedzać resztę stawki o kilka długości, a nie minimalnie. Rywalizacja o mistrzostwo do ostatniej kolejki to był niewątpliwy atut naszych rozgrywek w porównaniu z wieloma ligami w Europie, gdzie rozstrzygnięcia zapadły dużo wcześniej. Tyle że emocje to jedno, a poziom drugie. Dlatego zamiast mieszać łyżką w zupie i kombinować ze zmianami regulaminów, władze polskiej piłki powinny zaproponować prawdziwe reformy na naszym piłkarskim boisku.

Cezary Kowalski
(komentator Polsatu Sport)

11 LOTTO EKSTRAKLASY 2017/2018

Typują:

Cezary Kowalski (Polsat Sport):



Trener: **Marcin BROSZ** (Górnik Zabrze)

Maciej Majtczak („Sieci”):



Trener: **Jerzy BRZĘCZEK** (Wisła Płock)

eprasa.pl d83cf5c87b

Europejski Kongres Gospodarczy 2018

Kongresy i fora gospodarcze mają to do siebie, że mnogość wydarzeń utrudnia znalezienie tego jednego najważniejszego newsa, który pozwalałby w kilku zdaniach podsumować liczne debaty, przemówienia, wystąpienia i deklaracje uczestników. Podobnie jest z tegorocznym EKG, który trudno streścić w kilku akapitach. Pozostaje zatem wybrać najciekawsze elementy trzydniowego spotkania biznesu, polityki i start-upów

Ponad 150 sesji tematycznych, 900 prelegentów i rekordowa frekwencja wśród gości – 11,5 tys. uczestników, w tym ponad 700 przedstawicieli mediów – tak prezentuje się w liczbach podsumowanie 10. jubileuszowej edycji Europejskiego Kongresu Gospodarczego (European Economic Congress – EEC) w Katowicach.

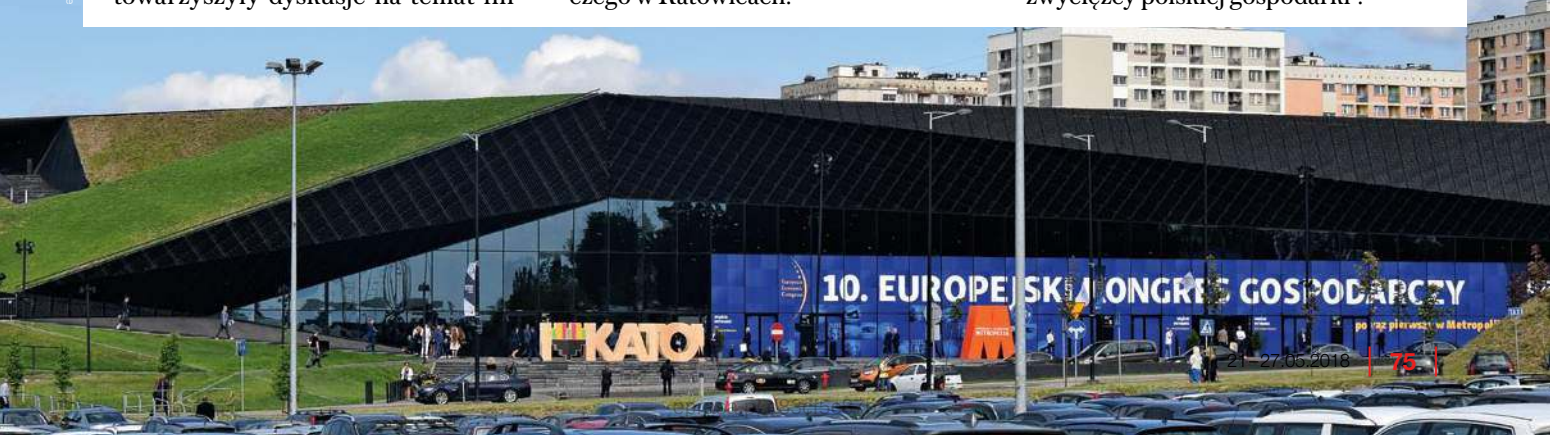
European Start-up Days, wydarzenie towarzyszące kongresowi, odwiedziło ponad 2,5 tys. osób. I to właśnie połączenie „starego", tradycyjnego biznesu z młodymi twórcami i innowatorami stanowi siłę EKG. Rozmowy o ochronie środowiska i wyzwaniach energetyki przeplatały się z prezentacjami nowatorskich pomysłów na walkę ze smogiem czy oszczędzanie energii, a debatom dotyczącym rynku finansowego i programów kapitałowych towarzyszyły dyskusje na temat fin-techów i współpracy technologicznej z bankami.

„Tegoroczna, 10. edycja Europejskiego Kongresu Gospodarczego jest wyjątkowa w wielu wymiarach. Podsumowując trzy dni największej tego typu debaty w Europie Centralnej, możemy mówić o rekordowej frekwencji, zarówno wśród uczestników, jak i mediów, rekordowej liczbie sesji, prelegentów z całego świata i równolegle odbywających się wydarzeń. Tak ogromne zainteresowanie otoczenia jest dowodem na to, że tworzenie przestrzeni do dialogu i nawiązywania relacji biznesowych ma sens. Za nami wiele wartościowych dyskusji i wiele istotnych dla przyszłego kształtu Polski i Europy wniosków" – powiedział, podsumowując jubileuszową edycję wydarzenia, Wojciech Kuśpik, prezes Grupy PTWP, inicjator Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach.

HIGH-TECH ZA 10 LAT

Polski rząd reprezentowali m.in. premier Mateusz Morawiecki, minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz, minister finansów Teresa Czerwińska, minister przedsiębiorczości i technologii Jadwiga Emilewicz, wicepremier oraz minister nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin, minister środowiska Henryk Kowalczyk, minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński, minister energii Krzysztof Tchórzewski, a także minister edukacji narodowej Anna Zalewska.

„Głęboko wierzę, że dzięki wam za 10 lat Polska stanie się krajem high-tech, który będzie zdumiewał innych" – powiedział do początkujących przedsiębiorców, uczestników European Start-up Days, premier Morawiecki. „Wierzę, że na tej sali siedzą przyszli zwycięzcy polskiej gospodarki".



Zdjęcia Materiały prasowe



Szef rządu odwiedził również stanowiska 100 najlepszych start-upów wyłonionych w konkursie Start-up Challenge, prezentujących się w Scale-up Alley w katowickim Spodku. Za najlepsze start-upy uznano w tym roku: Abyss Glass, Genomtec, Handerek Technologies, NanoPure Technologies, Sense Monitoring oraz ShelfWise.

„Przez następne 25 lat chcę wspierać polską własność i polski kapitał. Chcę, aby było jak najwięcej małych firm, które wybijają się na innowacyjność. Dlatego tworzymy preferencyjne warunki dla małych podmiotów oraz staramy się zadbać o równe zasady działania dla dużych firm" – powiedział premier w trakcie wystąpienia na EKG. „Wspólną cechą państw, które się najszybciej rozwijają, jest to, że nie pełnią one wyłącznie roli nocnego stróża, ale starają się działać aktywnie i współpracować z przedsiębiorcami, aby ułatwiać im rozwój i ekspansję. Chciałbym, abyście wiedzieli, że państwo polskie jest po waszej stronie, że dla was jest Konstytucja biznesu oraz zmiany w zasadach rozliczania CIT czy ZUS. Musimy pamiętać, że jedziemy na tym samym wózku i że musimy współpracować" – mówił Mateusz Morawiecki.

DEKLARACJE KONGRESOWE

Wśród tematów głównych jubileuszowej edycji EKG znalazły się m.in. przemiany polityczne w Unii Europejskiej, gospodarka po Brexicie, hierarchia wartości w gospodarce w dobie nowych pokoleń pracowników; przyszłość miast i metropolii, inwestycje, IV rewolucja przemysłowa, digitalizacja, elektromobilność, sztuczna inteligencja, wirtualna, mieszana i rozszerzona rzeczywistość, Internet Rzeczy (IoT), blockchain, robotyzacja i automatyzacja, a także korzyści i zagrożenia płynące z ekspansji świata nowych technologii.

„W tym roku uruchomiony zostanie pilotażowy program »Poland Prize«, czyli »wiza dla start-upów«. Mamy nadzieję w jego wyniku przyjąć do Polski ok. 60 takich spółek spoza obszaru UE" – powiedziała minister Jadwiga Emilewicz. Poinformowała, że pracuje wraz z Ministerstwem Finansów nad „radykalną obniżką" podatku CIT dla osób, które uzyskują przychody z wyników prac badawczo-rozwojowych. „Ten podatek będzie radykalnie, o co najmniej 10 pkt procentowych, niższy niż standardowy podatek typu CIT" – zapewniała Emilewicz.

Deklaracji było na tegorocznym kongresie znacznie więcej. Dotyczyły choćby oczekiwanej przez inwestorów Strategii Rozwoju Rynku Kapitałowego, której ostateczne ogłoszenie minister Teresa Czerwińska zapowiedziała na październik–listopad tego roku.

Debaty dotyczące sytuacji i kierunków rozwoju energetyki stanowiły spory odsetek, stąd obecność ministra i wiceministra energii. Dywersyfikacja źródeł energii, budowa elektrowni jądrowej, zróżnicowanie kierunków dostaw gazu, zbudowanie w Polsce silnego producenta paliw – to tematy wywołujące w Katowicach wiele dyskusji.

„Polska potrzebuje zarówno elektrowni jądrowej, jak i morskiej energetyki wiatrowej" – mówił pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej Piotr Naimski, który zadeklarował, że już w czerwcu zostanie wybrana ostateczna trasa przebiegu gazociągu Baltic Pipe (Gazociągu Bałtyckiego), który ma połączyć Polskę z Danią i dać nam dostęp do złóż norweskich.

NOWY PROJEKT UE

Tegoroczny kongres odbywał się tuż po ogłoszeniu przez Brukselę założeń nowego unijnego budżetu, dlatego wiele rozmów dotyczyło inwestycji po 2023 r. Wspólnym mianownikiem wypowiedzi uczestników inauguracyjnej debaty EKG było bezsporne uznanie, że Unia bardzo się zmienia. Alexander Stubb, premier Finlandii w latach 2014–2015, minister finansów w latach 2015–2016, wiceprezes Europejskiego Banku Inwestycyjnego uznał nawet, że dla Europy kluczowe są trzy daty: 1945 r., 1989 r. i 2016 r. Ten ostatni to rok Brexitu i zwycięstwa Donalda Trumpa w USA.

„To moment, gdy Stany Zjednoczone i Zjednoczone Królestwo wycofały się de facto z chęci wpływania na cały rynek światowy, skupiając się na własnych gospodarkach. Musimy więc myśleć, jak przy tym izolacjonizmie niektórych krajów przejąć, jako Unia Europejska, rolę lidera" – wyjaśniał Stubb. „Musimy rozmawiać, jak bronić podstawowych wartości Unii, pamiętając o rozwadze. Musi powstać nowy projekt dla zjednoczonej Europy" – stwierdził kategorycznie.

„Unia Europejska musi zachować jedność, podział na różne prędkości to tylko inna nazwa rozpadu UE" – powiedział Jacek Czaputowicz, minister spraw zagranicznych. W swoim wystąpieniu szef dyplomacji celnie punktował błędy europejskich elit, podkreślając jednocześnie, że państwa spoza strefy euro rozwijają się szybciej, gdy w Brukseli pojawiają się próby ograniczenia podstawowych swobód unijnych. Na dowód nowego protekcjonizmu gospodarczego Europy Czaputowicz przywoływał choćby dyrektywę o pracownikach delegowanych.

„Jesteśmy za silną UE. W Polsce, w odróżnieniu od wielu krajów zachodnich, nie ma liczącej się reprezentacji sił popierających wyjście z Unii. To Europa protekcjonistyczna, demokracja protekcjonistyczna jest prawdziwym zagrożeniem dla Unii" – mówił Jacek Czaputowicz, wskazując, że ograniczanie konkurencyjności doprowadzi właśnie do osłabienia roli Wspólnoty w gospodarczym świecie.

Kongres w Katowicach został uznany za forum jednej z najbardziej reprezentatywnych dyskusji o przyszłości Europy. Tezy wystąpień najważniejszych uczestników są często cytowane i szeroko komentowane. Trzy dni w Katowicach z pewnością wskazały tematy, które w najbliższych miesiącach będą się pojawiać licznie nie tylko w wypowiedziach polityków i ekonomistów, lecz również w debacie publicznej.

Maciej Wośko, Marek Siudaj

eprasa.pl d83cf5c87b



Narodowe czempiony służą gospodarce

Na Zachodzie od dawna wiedzą, że należy wspierać wielkie krajowe firmy. W Polsce dopiero ostatnio mówi się wyraźnie o tworzeniu narodowych czempionów. Na szczęście rząd nie tylko deklaruje, lecz również wzmacnia takie firmy

Polityka Insight podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego przedstawiła ranking narodowych czempionów. Objął on 50 firm, z których część została uznana za przedsiębiorstwa aspirujące do tej funkcji, część z nich już ją pełni. Dwie firmy – jak uznali analitycy PI – odgrywają już rolę czempionów międzynarodowych. Chodzi o PKN ORLEN i KGHM.

„Wszystkie kraje, w których pracowałem, wspierają swoich narodowych czempionów" – powiedział Markus Sieger, prezes Polpharmy, który pracował m.in. w Szwajcarii, Niemczech i we Francji.

Jak dodał, wsparcie obejmuje nie tylko rozwiązania legislacyjne czy ułatwienia w pozyskiwaniu finansowania, lecz także pomoc dyplomatyczną. Pochodzący ze Szwajcarii Sieger nie ma wątpliwości, że ambasada tego kraju w Warszawie wspiera tamtejsze firmy Roche czy Nestlé.

To wsparcie bierze się stąd, że kraje Zachodu doskonale zdają sobie sprawę ze znaczenia takich firm dla gospodarki.

Silne czempiony pozytywnie oddziałują na gospodarkę. „ORLEN dostarcza towary do 80 krajów na świecie, jesteśmy aktywni za granicą. Narodowi czempioni to stabilizatory gospodarki, które stymulują rozwój małych i średnich firm. Kooperując z małymi i średnimi polskimi firmami, ułatwiamy im wchodzenie na zagraniczne rynki. Dobrym przykładem są nasze sieci stacji paliwowych. W Niemczech jest coraz więcej polskich produktów w marce Star. Gdyby nie współpraca z dużymi firmami, ekspansja małych i średnich przedsiębiorców za granicą byłaby utrudniona, co oni sami przyznają." – powiedział Zbigniew Leszczyński, członek zarządu ds. sprzedaży w PKN ORLEN, podczas debaty „Narodowe czempiony – ambicje i perspektywy", która odbyła się w trakcie EKG.

PKN ORLEN to znaczący gracz na europejskim rynku energetycznym. Już teraz – jak wyliczał prezes Leszczyński – spółka sprzedaje swoje produkty do 80 krajów na świecie. Konkurencja jest jednak coraz bardziej wymagająca, dlatego rząd zdecydował się na kroki, które mają wzmocnić PKN ORLEN na otwartym rynku europejskim. Chodzi o połączenie z Lotosem – spółką, która również została wymieniona w rankingu narodowych czempionów w gronie firm aspirujących do tej roli. Obecnie trwają prace nad przejęciem Lotosu przez ORLEN, o czym również mówiło się w Katowicach.

„Mamy już opracowaną strukturę transakcji. ORLEN kończy wybór doradców, rozpoczęło się badanie due diligence w Lotosie. Wkrótce będziemy się decydować na zgłoszenie zamiaru koncentracji, chcemy także rozpocząć rozmowy w sprawie prenotyfikacji w Komisji Europejskiej" – powiedział Maciej Mataczyński, profesor prawa europejskiego i spółek, partner zarządzający, Kancelaria SMM Legal, doradca PKN ORLEN, w trakcie debaty na EKG.

Rozmowy z Komisją Europejską są o tyle ważne, że to raczej ona zadecyduje o połączeniu podmiotów z polskiego sektora naftowego.

„W wyniku fuzji ORLEN z Lotosem powstanie podmiot, który będzie miał duże znaczenie dla całego rynku europejskiego. Istnienie takich silnych podmiotów wpływa na dochody państw, w których one funkcjonują. Widać to na przykładzie Węgier, które korzystają na takiej właśnie sytuacji" – powiedział minister energii Krzysztof Tchórzewski.

Ten wpływ będzie widoczny w kwestii bezpieczeństwa energetycznego nie tylko Polski, lecz i innych krajów, w których już działają polskie firmy paliwowe.

„ORLEN jest jedną z największych spółek w rejonie Europy Środkowo-Wschodniej. Daje to gwarancję, że produkcja paliw w Polsce i krajach, w których prowadzi tego typu działalność, jest stabilna. To z kolei przekłada się na stabilność całego regionu i w konsekwencji umacnia jego bezpieczeństwo energetyczne" – podkreślał Tomasz Wiatrak, wiceprezes Unipetrolu z Grupy ORLEN.

Zgodnie z planami PKN ORLEN po uzyskaniu zgody na koncentracje od Komisji Europejskiej, co jest oczekiwane w I kwartale 2019 r., uruchomione zostaną pozostałe działania mające na celu przejęcie Lotosu przez ORLEN i w III kwartale 2019 r. obie firmy mogłyby działać już jako jeden podmiot.

eprasa.pl d83cf5c87b



JANUSZ SZEWCZAK



Czas na komisję śledczą

Fot. Shutterstock

Zbrodnia VAT-owska to wina PO-PSL-owska. Komisja śledcza do spraw wyłudzeń VAT to nie będzie spacerek ani zwykła, kolejna już komisja śledcza. To będzie prawdziwa wojna z bardzo groźnymi i bogatymi przeciwnikami: mafiami VAT-owskimi

Skala rabunku należnych Polsce i Polakom dochodów podatkowych tylko w latach 2007–2015 za rządów PO-PSL z VAT, CIT czy akcyzy to ponad 400 mld zł. Ta kwota nie tylko poraża, lecz i mocno zastanawia. Dlaczego to właśnie Polska stała się prawdziwym eldorado dla krajowych mafii i kosmopolitycznych gangów, które tak skutecznie przez lata rozkradały publiczne pieniądze, niszczyły finansową przyszłość narodu i jego aspiracje? Czy działo się tak tylko z powodu trwania przy władzy przez osiem lat koalicji PO-PSL, która stworzyła państwo teoretyczne, pełne afer, czy też za przyczyną „Sztukmistrza z Londynu", czyli byłego ministra finansów Jana Vincenta-Rostowskiego, który – jak sam mawiał – „liczył do pięciu"? A może z powodu przyzwolenia służb skarbowych nadzorowanych też przez Rostowskiego czy wreszcie za przyczyną całkowicie nieudolnych lub „niedowidzących" współpracowników tego ministra finansów, którzy bez większego pojęcia o finansach publicznych, prawie podatkowym mieli zawsze usta pełne frazesów, jak choćby była wiceminister finansów, dziś poseł PO Izabela Leszczyna? A może było jednak też tak, że ten niecny, przestępczy, choć wyjątkowo opłacalny, proceder wyłudzeń, oszustw, karuzeli, całych złodziejskich lunaparków VAT-owskich nie byłby możliwy na taką skalę i tak zabójczo skuteczny bez przyzwolenia najważniejszych osób w państwie, bez udziału i wsparcia wysokich urzędników różnych resortów? Dramatycznym przykładem tych zjawisk mogą być ostatnie zarzuty prokuratury wobec byłego wiceministra skarbu Michała Królikowskiego z rządu PO-PSL czy wcześniej wiceszefa resortu finansów Jacka Kapicy.

Może nie dałoby się tak totalnie ograbiać polskiego państwa bez udziału topowych firm doradczych i konsultingowych, tzw. ekspertów i doradców społecznych przy resorcie finansów. Ciekawe, co doradzali Rostowskiemu owi społeczni doradcy i skąd oni pochodzili, jakie akty prawne popierali i jakie rozwiązania podatkowe rekomendowali? Czy byłoby to możliwe bez wsparcia firm audytorskich, nawet tych renomowanych, wyspecjalizowanych w tzw. optymalizacji podatkowej, bez pośrednictwa również niektórych dużych banków i funduszy inwestycyjnych, które nie tylko przelewały te pieniądze do licznych rajów podatkowych, lecz także najwyraźniej prały je w miliardowych kwotach. Nie byłoby to również możliwe bez wpływowych lobbystów i renomowanych kancelarii prawnych. Tym bardziej to prawdopo-

44/0418/F

eprasa.pl d83cf5c87b

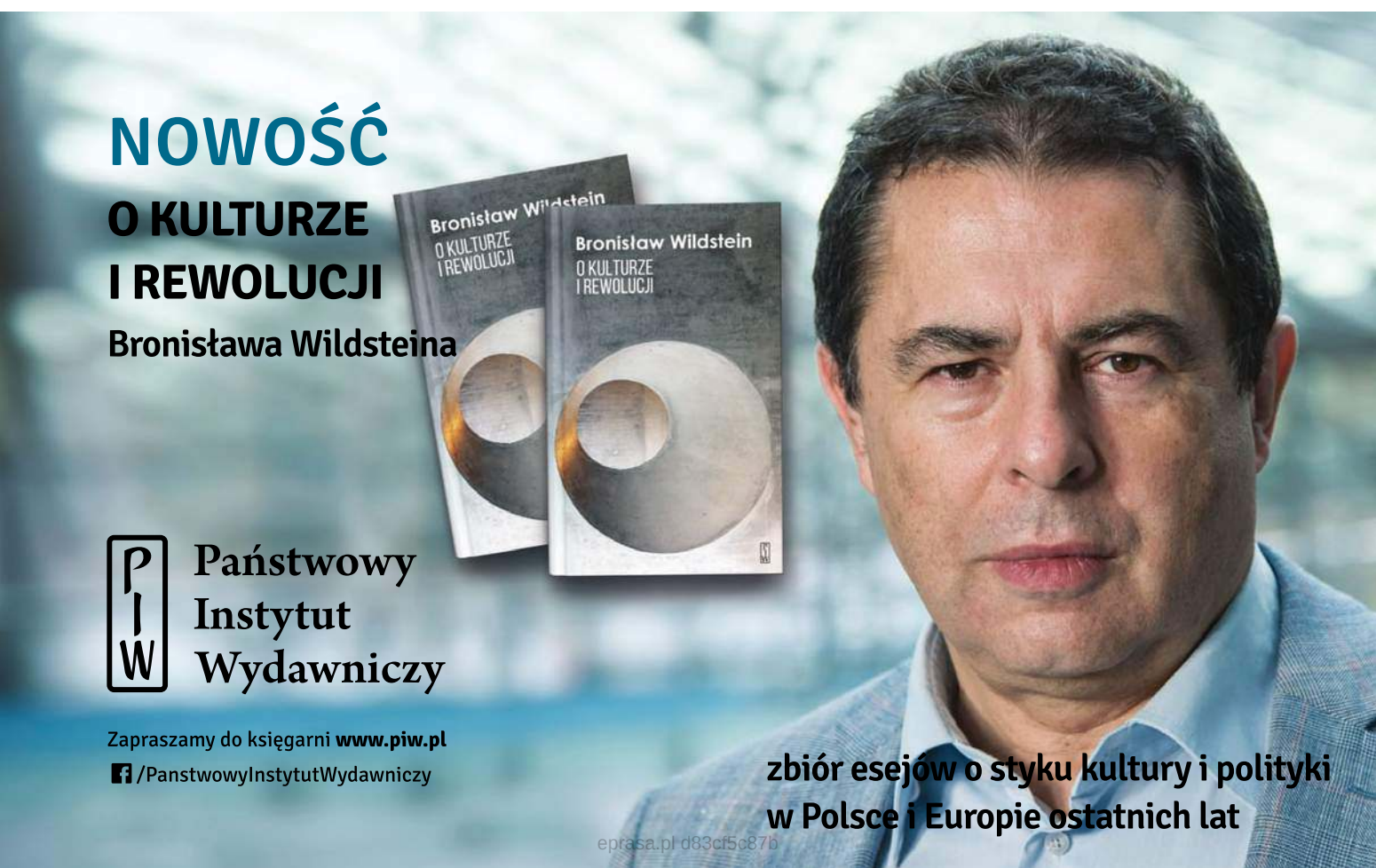
dobne, że nie chodziło o drobne na waciki, ale o prawdziwe fortuny, po które chętnie sięgały zorganizowane grupy przestępcze, różnego rodzaju mafie i kartele, ludzie dawnych i nowych krajowych oraz obcych służb, zagraniczne instytucje finansowe i oczywiście tzw. przyjaciele królika. Jeżeli czteroosobowy gang czy dwie spółki mogły praktycznie bezkarnie ukraść Polakom 200–300 mln zł, a inna kilkunastoosobowa grupa nawet wyłudzić 700 mln zł czy wystawić fałszywe faktury na 440 mln zł, a w domach podejrzanych CBŚP czy ABW potrafiły zająć w gotówce 30 mln zł, to pytanie brzmi nie czy, ale raczej z kim dzielono się tymi gigantycznymi pieniędzmi? Kto chronił te interesy i firmy, kto doradzał, przygotowywał bilanse i analizy czy wreszcie sporządzał audyty? Nie robiły tego przecież ani krasnoludki, ani zwykły Kowalski. Jakim cudem urzędnicy skarbowi nie wszczynali kontroli ani żadnego alarmu przy zwrotach VAT rzędu 150-200 mln zł, a bywało, że żądano zwrotu wielkości 700 mln zł, zaś największy łączny zwrot VAT opiewał na kwotę 1,2 mld zł. Nic więc dziwnego, że rocznie oddawano nawet ok. 100 mld zł, z czego znacząca część to były ewidentne wyłudzenia i oszustwa. Zwykły zaś przedsiębiorca, który wystąpił o zwrot 100–200 tys. zł z VAT, natychmiast miał kontrolę skarbową, często kontrolę krzyżową i z reguły ogromne kłopoty.

Pytanie więc brzmi: kto dał na to wszystko zielone światło, kto pilnował tego złotego biznesu, kto blokował te naturalne wręcz odruchy samoobrony finansowej instytucji państwowych, a zwłaszcza fiskusa? Czy właśnie dlatego politycy PO, PSL i Nowoczesnej tak bardzo protestowali i utrudniali powołanie Krajowej Administracji Skarbowej i bojkotowali reformę służb skarbowych i celnych, jak też podważali decyzję ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry o podwyższaniu kary za wielkie oszustwa VAT-owskie (powyżej 10 mln zł do 25 lat więzienia)? A może właśnie dlatego tzw. totalna opozycja chciała zlikwidowania CBA i obalenia za wszelką cenę obecnego rządu?

Tylko dwuletnie działania uszczelniające system podatkowy ze strony rządu PiS dały w 2017 r. 30 mld zł więcej z podatku VAT niż w 2016 r. Ale najdobitniej ów wielki postęp w walce z mafiami VAT-owskimi ukazuje to, że tylko w jednym województwie lubelskim wpływy z podatku VAT były w 2017 r. wyższe o ok. 20 proc. i wyniosły 6,5 mld zł więcej niż rok wcześniej, czyli z nawiązką pokryły wydatek 5 mld zł przeznaczonych przez rząd na drogi lokalne. Jak widać, coś, o czym były premier Donald Tusk mówił, że „niemożliwe jest niemożliwe", stało się całkiem możliwe i dziś polskie pieniądze, które zagarniały zagraniczne mafie, w kwocie 40–50 mld zł rocznie, trafiają do polskich rodzin i na inne cele społeczne.

To w dużej mierze w oparciu o owe karuzele VAT-owskie, niepłacony CIT i oszustwa akcyzowe powstawały w Polsce wielkie fortuny, a dziesiątki miliardów złotych wypływały rok w rok za granicę. Wiadomo nie od dziś, że bezkarność rozzuchwala złoczyńców, a tam gdzie nie ma kary, tam nie ma miary.

REKLAMA



eprasa.pl d83cf5c87b



Oszczędzanie na emeryturę

Na przyszłą emeryturę trzeba zacząć oszczędzać jak najwcześniej. Może się bowiem okazać, że świadczenia wypłacane z ZUS nie będą wysokie. Prywatne oszczędności mogą uzupełnić ewentualne braki w portfelu emeryta

eprasa.pl d83cf5c87b



W Polsce działa system emerytalny oparty na międzypokoleniowej solidarności, którego zasada polega na finansowaniu świadczeń dla emerytów ze składek osób pracujących. Koncepcja została stworzona pod koniec XIX w. przez kanclerza Ottona von Bismarcka i w tamtych czasach funkcjonowała bardzo dobrze. System bilansował się z prostego powodu: średnia długości życia w Rzeszy przekraczała nieco 40 lat, a prawo do pobierania świadczeń emerytalnych przysługiwało osobom powyżej 70. roku życia. Emerytury dożywało więc niewielu Niemców, w związku z tym składki tych, którzy pracowali na ich świadczenia, były w zupełności wystarczające.

KONIECZNE OSZCZĘDNOŚCI

Sytuacja zmienia się wraz z wydłużeniem okresu życia. Na przykład w Polsce w 1950 r. mężczyzna w wieku 60 lat miał przed sobą przeciętnie jeszcze 14,55 lat życia. Według najnowszej „Tablicy średniego dalszego trwania życia kobiet i mężczyzn" (jest ona podstawą przyznawania emerytur na wnioski zgłoszone od 1 kwietnia 2018 r. do 31 marca 2019 r.) 60-letnia osoba ma jeszcze przed sobą średnio 22 lata życia.

Zarazem wraz ze starzeniem się społeczeństwa zmniejsza się liczba osób w wieku produkcyjnym opłacających świadczenia emerytalne. Według najnowszych danych GUS z końca 2017 r. rośnie odsetek osób w wieku poprodukcyjnym (60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn), maleje udział osób w wieku przedprodukcyjnym, czyli do 17 lat, zmniejsza się grupa w wieku produkcyjnym. Pogarsza się też tzw. współczynnik obciążenia, czyli liczba osób w wieku nieprodukcyjnym przypadająca na 100 osób w wieku produkcyjnym: w 2010 r. wynosił on 55, w 2017 – 63.

Według danych OECD do 2060 r. pracowników aktywnych zawodowo będzie mniej aż o 40 proc. Zgodnie z prognozami ZUS w 2020 r. liczba osób w wieku poprodukcyjnym wyniesie 8,6 mln, w 2040 – 10,6 mln, a w 2060 – 11,7 mln. Już teraz tzw. stopa zastąpienia w Polsce, czyli procentowa relacja pierwszej emerytury do ostatniej pensji, jest niska. A może być jeszcze niższa. Z wyliczeń OECD wynika, że obecne dwudziestolatki otrzymają na starość tylko 38,6 proc. ich finalnej pensji netto. Polska znajduje się na ostatnich miejscach zestawienia, w sąsiedztwie Meksyku, Chile czy Japonii. Zdecydowanie lepsze perspektywy mają Hiszpanie, Holendrzy czy Portugalczycy, w ich krajach ten wskaźnik wynosi ok. 70 proc. Średnia dla 34 państw OECD to 41,3 proc., uwzględniając świadczenia jedynie z obowiązkowych publicznych systemów emerytalnych. Gdy doda się do nich dobrowolne i prywatne systemy emerytalne, wskaźnik zwiększa się aż do 57,6 proc.

I właśnie o tę dodatkową pulę trzeba się jak najwcześniej samemu postarać. W przyszłości mają ją uzupełnić pracownicze plany kapitałowe.

Żeby nie tracić czasu i na emeryturę zacząć oszczędzać jak najwcześniej, należy wybrać już dostępne na rynku instrumenty. Do dyspozycji przyszłych emerytów jest tzw. trzeci filar, w ramach którego do wyboru są m.in. indywidualne konta emerytalne (IKE), indywidualne konta zabezpieczenia emerytalnego (IKZE) i pracownicze programy emerytalne (PPE).

TRZY FILARY

Pierwszy filar jest obowiązkowy, powszechny, administrowany przez państwowy Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Z zakładu pracy trafia do niego co miesiąc składka emerytalna, która stanowi 19,52 proc. wynagrodzenia brutto pracownika. Jeżeli ubezpieczony nie przystąpił do otwartego funduszu emerytalnego (to drugi filar systemu), wówczas cała składka na ubezpieczenie emerytalne przekazywana jest na Fundusz Ubezpieczeń Społecznych i ewidencjonowana na koncie w ZUS. Jeśli przystąpił do otwartego funduszu emerytalnego (OFE), to część składki, wynosząca 2,92 proc. wynagrodzenia, jest do niego przekazywana i inwestowana na rynku kapitałowym.

Osoby, które podjęły pracę przed 1 stycznia 1999 r., czyli przed wejściem w życie reformy emerytalnej, mają zapisany na swoim koncie w ZUS tzw. kapitał początkowy. Jest on wyliczany dla pracowników urodzonych po 31 grudnia 1948 r. Kapitał początkowy to wartość hipotetycznej emerytury, jaką ubezpieczony by otrzymał, gdyby 1 stycznia 1999 r. miał prawo zakończyć aktywność zawodową. Jest ona uwzględniana przy obliczaniu świadczenia po osiągnięciu wieku emerytalnego.

Filar drugi to OFE. Obecnie można samemu decydować, dokąd trafi część składki emerytalnej, wynosząca 2,92 proc. wynagrodzenia – czy do ZUS i zostanie zapisana na subkoncie pracownika, czy do jednego z otwartych funduszy emerytalnych. Od tej reguły

eprasa.pl d83cf5c87b

jest wyjątek w sytuacji, gdy ubezpieczonego dzieli 10 lat od uzyskania wieku emerytalnego: wówczas OFE muszą systematycznie i stopniowo wycofywać środki zgromadzone w funduszu. Każdego miesiąca określona liczba jednostek rozrachunkowych z rachunku członka OFE jest umarzana i przekazywana do ZUS, gdzie ich wartość jest ewidencjonowana w postaci zapisu na subkoncie.

Trzeci filar – w przeciwieństwie do dwóch pierwszych – jest w pełni dobrowolny, daje możliwość dodatkowego zabezpieczenia się na emeryturę według indywidualnych potrzeb (choć ograniczonych pewnymi regulacjami).

WZROST, ALE CIĄGLE ZA MAŁY

Dla IKE i IKZE ubiegły rok był bardzo dobry: w sumie istniało ponad 1,6 mln takich kont, a zgromadzona na nich pula oszczędności sięgnęła 9,66 mld zł. To historyczny rekord. Liczba IKE zwiększyła się w stosunku do 2016 r. o nieco ponad 5,4 proc., a IKZE – o ok. 7,4 proc. Wartość zebranych środków na IKE i IKZE wzrosła o 1,9 mld zł.

Rosnące zainteresowanie kontami emerytalnymi to przede wszystkim efekt dobrej koniunktury w gospodarce i coraz wyższych zarobków Polaków. Średnia pensja w ubiegłym roku wynosiła ponad 4,2 tys. zł brutto, czyli – po uwzględnieniu inflacji – o 3,4 proc. więcej niż rok wcześniej. Coraz lepsza jest też sytuacja na rynku pracy, co wiąże się z większym poczuciem bezpieczeństwa i rosnącą skłonnością do oszczędzania. Nie bez znaczenia jest także wzrost świadomości emerytalnej Polaków, którzy coraz bardziej zdają sobie sprawę z tego, że sami muszą zadbać o swoje świadczenia na starość, bo wypłaty z ZUS mogą się okazać niewystarczające.

Z drugiej strony aktywnych zawodowo Polaków jest prawie 19 mln, liczba 1,6 mln kont nie jest więc imponująca. Część zatrudnionych posiada oszczędności w pracowniczych programach emerytalnych (według stanu na koniec grudnia PPE objętych było 395,6 tys. osób, czyli 2,42 proc. osób pracujących; wartość aktywów zgromadzonych w pracowniczych programach emerytalnych wyniosła 11,4 mld zł), a część poza trzecim filarem emerytalnym, np. w bankach, funduszach inwestycyjnych czy w obligacjach. IKE i IKZE, a także PPE mają jednak zalety dedykowane wprost oszczędzaniu na emeryturę, z których warto skorzystać.

IKE – BEZ PODATKU OD ZYSKÓW KAPITAŁOWYCH

IKE może założyć już 16-latek, jednak osoby małoletnie (w przedziale wiekowym 16–18 lat) mają możliwość dokonywania wpłat tylko w roku kalendarzowym, w którym uzyskują dochody na podstawie umowy o pracę. Na IKE można co roku wpłacić maksymalnie 300 proc. prognozowanego na dany rok przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia w gospodarce narodowej, limit nie może być jednak niższy niż obowiązujący w roku poprzednim. W tym roku limit wpłat nie może przekroczyć kwoty 13 329 zł

> Trzeci filar – w przeciwieństwie do dwóch pierwszych – jest w pełni dobrowolny, daje możliwość dodatkowego zabezpieczenia się na emeryturę

IKE można założyć w funduszu inwestycyjnym, w domu maklerskim, w zakładzie ubezpieczeń na życie, w banku lub w dobrowolnym funduszu emerytalnym. Według danych za 2017 r. najwięcej IKE prowadzą zakłady ubezpieczeń (568,5 tys.), następnie fundusze inwestycyjne (275,8 tys.), banki (71,9 tys.), najmniej podmioty prowadzące działalność maklerską (30,4 tys.) i dobrowolne fundusze emerytalne, zarządzane przez PTE (4,9 tys.). Procentowo udziały kształtują się następująco: zakłady ubezpieczeń – ok. 59,7 proc., fundusze inwestycyjne – ok. 29 proc., banki – ok. 7,6 proc., podmioty prowadzące działalność maklerską – 3,2 proc., oraz dobrowolne fundusze emerytalne – ok. 0,5 proc.

Uczestnik IKE może przenieść zgromadzony kapitał do innej instytucji finansowej. Kapitał można także przetransferować z IKE do PPE, a także z PPE do IKE (np. po zakończeniu pracy u pracodawcy prowadzącego ten program lub w przypadku likwidacji programu). Przeniesienie środków jest zwolnione z podatku od dochodów kapitałowych, natomiast instytucje finansowe prowadzące IKE mogą pobrać od oszczędzającego dodatkową opłatę za dokonanie wypłaty transferowej, jeżeli następuje ona przed upływem roku od dnia podpisania umowy o prowadzenie konta. Przetransferować można tylko całość zgromadzonych środków, poza dwoma wyjątkami – w przypadku transferu pomiędzy funduszami należącymi do tej samej rodziny funduszy inwestycyjnych oraz gdy środki są przyznane w postępowaniu likwidacyjnym lub upadłościowym.

Podstawową zaletą IKE jest to, że oszczędzający jest zwolniony z podatku od dochodów kapitałowych. Ponieważ jednak IKE służy oszczędzaniu na dodatkową emeryturę, z ulgi podatkowej mogą skorzystać te osoby, które dokonają wypłaty dopiero po 60. roku życia (jeżeli uprawnienia emerytalne nabyły wcześniej, mogą to zrobić po ukończeniu 55 lat). Są jeszcze dodatkowe warunki: wpłat na IKE należy dokonać co najmniej w pięciu dowolnych latach kalendarzowych albo wpłacić ponad połowę wartości wpłat na IKE co najmniej pięć lat przed dniem złożenia przez oszczędzającego wniosku o dokonanie wypłaty.

Górny wiek oszczędzającego, do którego musi zostać dokonana wypłata, nie jest ustalony. Moment wypłaty środków zależy od jego woli. Również od jego decyzji zależy wybór formy wypłaty, tzn. czy ma być to wypłata jednorazowa, czy ratalna.

Wcześniejsze wycofanie zgromadzonych na IKE oszczędności wiąże się z koniecznością zapłacenia 19 proc. podatku od dochodów kapitałowych, tak jak w przypadku innych inwestycji.

eprasa.pl d83cf5c87b



IKZE MOŻNA ODLICZYĆ OD PODATKU

Zasady korzystania z IKZE są podobne jak w przypadku IKE. Najwięcej IKZE, według danych na koniec 2017 r., prowadziły zakłady ubezpieczeń – 448,9 tys. (65 proc.). W funduszach inwestycyjnych prowadzono 121,3 tys. IKZE (17,5 proc.), w dobrowolnych funduszach emerytalnych, zarządzanych przez PTE – 94,3 tys. (13,6 proc.). W bankach było otwartych 18,1 tys. IKZE, a w podmiotach prowadzących działalność maklerską – 8,5 tys.

IKZE oparte są na rozwiązaniach przyjętych w IKE, ale istnieje między nimi zasadnicza różnica dotycząca zasad opodatkowania: kwotę składek na IKZE można odliczyć od podstawy opodatkowania podatkiem dochodowym za rok, w którym dokonano wpłat, i w ten sposób zmniejszyć swój podatek dochodowy. Nie jest także pobierany podatek od zysków kapitałowych.

Tak jak w przypadku IKE również na indywidualnym koncie zabezpieczenia emerytalnego istnieje limit rocznych wpłat: to kwota odpowiadająca maksymalnie 1,2-krotności prognozowanego na dany rok przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia w gospodarce narodowej. Limit ten w kolejnym roku nie może być niższy niż limit wpłat na IKZE obowiązujący w roku poprzednim. W 2018 r. wynosi on 5 331,60 zł.

Wcześniejsze wycofanie środków z IKZE jest obarczone koniecznością zapłacenia podatku od zysków kapitałowych oraz podatku dochodowego. Wypłacić pieniądze z zachowaniem ulg podatkowych można dopiero po osiągnięciu przez oszczędzającego wieku 65 lat oraz pod warunkiem dokonywania wpłat na IKZE co najmniej w pięciu latach kalendarzowych. Środki mogą zostać wypłacone jednorazowo lub w ratach. Od wypłacanych kwot trzeba zapłacić 10-procentowy podatek, czyli mniejszy niż od dochodów poniżej najniższego progu podatkowego.

PPE W FIRMIE

Tę formę oszczędzania na emeryturę organizuje pracodawca, a pracownik – jeżeli chce – może do niej przystąpić. Pracodawca finansuje składkę podstawową (nie wyższą niż 7 proc. wynagrodzenia uczestnika), natomiast pracownik może płacić więcej, ale ze swojej pensji. Pieniędzmi tymi zarządza instytucja finansowa wybrana przez pracodawcę i reprezentację pracowników. Formy PPE mogą być różne: pracowniczy fundusz emerytalny, umowa o wnoszenie przez pracodawcę składek pracowników do funduszu inwestycyjnego, umowa grupowego ubezpieczenia na życie pracowników z zakładem ubezpieczeń w formie grupowego ubezpieczenia na życie z ubezpieczeniowym funduszem kapitałowym, a także zarządzanie zagraniczne. Składka podstawowa odprowadzana przez pracodawcę zwolniona jest z obciążenia składkami na ubezpieczenia społeczne, zalicza się jednak do przychodów podatkowych. Zyski z inwestycji w ramach PPE są zwolnione z 19-procentowego zryczałtowanego podatku od dochodów kapitałowych, a wypłata środków – z podatku dochodowego od osób fizycznych.

Pewne rozwiązania wynikają wprost z ustawy o PPE z 20 kwietnia 2004 r., są więc wspólne dla wszystkich uczestników tej formy oszczędzania na emeryturę. Należą do nich np. tryb tworzenia PPE, rodzaje składek, ich maksymalna wysokość, zasady wypłat oraz likwidacji programu. W niektórych obszarach PPE różnią się jednak między sobą, np. w kwestiach związanych z opcjami inwestycyjnymi. Jeden sposób oszczędzania dla wszystkich jest konieczny tylko w przypadku pracowniczego funduszu emerytalnego. W innych formach pracownicy mogą wybierać między różnymi opcjami, w zależności np. od stopnia akceptacji ryzyka lub od okresu, jaki pozostał im do przejścia na emeryturę. Zwykle pracodawca proponuje pracownikom możliwość wyboru opcji spośród dostępnych w PPE funduszy, a także oferuje gotowe rozwiązania dla osób, które nie wiedzą, jaką strategię wybrać.

Zaoszczędzone w PPE środki mogą być wypłacane na wniosek pracownika, kiedy skończy 60 lat lub gdy nabędzie uprawnienia emerytalne po ukończeniu 55 lat albo automatycznie po ukończeniu 70 lat. Tak jak w przypadku IKE i IKZE wypłata może być jednorazowa lub w ratach.

Oszczędzanie na emeryturę w IKE i IKZE zależy od nas samych, natomiast w PPE – od tego, czy pracodawca oferuje je pracownikom. Nic nie stoi na przeszkodzie, by oszczędzać jednocześnie w IKE, IKZE i PPE. W każdym z nich można mieć jednak tylko po jednym koncie.

Wszystkie zgromadzone środki w ramach tych trzech programów są prywatne i podlegają dziedziczeniu. Wybierając opisywane w artykule sposoby oszczędzania na emeryturę warto zwrócić uwagę na wszystkie koszty ponoszone na rzecz instytucji finansowej zarządzającej naszymi środkami. Wysokość pobieranych opłat może bowiem znacznie wpłynąć na opłacalność oszczędzania.

Artur Kliski

eprasa.pl d83cf5c87b

Franczyza szansą na przetrwanie i rozwój



Fot. Shutterstock | 39/0418/F

W Polsce ok. 40 proc. handlu skupia się w małych i średniej wielkości sklepach detalicznych. To ewenement w skali całej Europy. Umiejętne wykorzystanie licencji franczyzowych pozwala przedsiębiorcom skutecznie konkurować z wielkopowierzchniowymi sklepami

Tak zwany mały format jest główną siłą polskiego rynku FMCG (dóbr szybko zbywalnych). Udział hipermarketów od lat spada – Polacy odwracają się od rodzinnych, wielogodzinnych wypraw na zakupy. Małe i średnie sklepy prowadzone są przez przedsiębiorców samodzielnie lub w ramach sieci partnerskich i franczyzowych. Franczyza, czyli gotowy pomysł na biznes pod logo znanej marki wraz z pomocą w prowadzeniu działalności gospodarczej, okazała się dla polskich przedsiębiorców dużym wsparciem.

JEST HISTORIA I POTENCJAŁ

Biznes na licencji na polskim rynku nie jest niczym nowym. Jego korzenie sięgają lat 50. ubiegłego wieku, gdy Bank PKO BP oraz Poczta Polska otwierały tzw. ajencje. Prawdziwy rozkwit franczyzy nadszedł jednak wraz z przemianami gospodarczymi i politycznymi, które uwolniły wolnorynkową przestrzeń. Franczyzowe ścieżki nad Wisłą przecierały zagraniczne sieci, bardzo szybko odnaleźli się w niej także rodzimi przedsiębiorcy. Prekursorami polskiej franczyzy byli właściciele chorzowskiej restauracji Mr Hamburger i warszawskiej cukierni A. Blikle. Z biegiem lat coraz więcej właścicieli sklepów decydowało się na przystąpienie do silnego partnera rynkowego. Szacuje się, że aktualnie w kraju działają 74 tys. jednostek franczyzowych, w których łącznie z franczyzodawcami pracuje nawet 480 tys. osób. Zainteresowani połączeniem sił przedsiębiorcy mają do wyboru 1,2 tys. pomysłów na własny biznes.

FRANCZYZA KOLEBKĄ POLSKOŚCI

Mało kto wie, że na przestrzeni ostatnich lat franczyza uratowała od upadłości wiele polskich niezależnych sklepów, które samodzielnie nie były w stanie dotrzymać kroku największym

eprasa.pl d83cf5c87b

podmiotom lub nie posiadały kapitału inwestycyjnego. Problem ten dotyczył przede wszystkim sklepów w małych miejscowościach i na wsiach. Szybki rozwój sieci franczyzy sprawił, że w 2004 r. polskie marki uzyskały przewagę nad zagranicznymi na rodzimym rynku. Dziś już osiem na dziesięć franczyz nad Wisłą stanowią polskie marki. Sklepy z licencją franczyzową najczęściej prowadzą małe rodzinne firmy. Jednocześnie polscy franczyzodawcy coraz lepiej radzą sobie na rynkach zagranicznych. Na koniec 2016 r. ekspansję poza rodzimym rynkiem prowadziło już 127 sieci.

NIE JESTEŚ SAM

Sieci franczyzowe oferują wielopłaszczyznowe wsparcie aktualnym lub przyszłym przedsiębiorcom. Franczyzodawcy zapewniają m.in. szkolenie, wynajęcie i adaptację lokalu, wyposażenie sklepu, stałe dostawy produktów, pomoc marketingową, prowadzenie finansów. Na jeszcze większe profity mogą liczyć przedsiębiorcy dłużej działający na rynku. W tym przypadku w grę wchodzą negocjacje warunków wykupienia licencji. Niektóre sieci pomagają przedsiębiorcom w uzyskaniu zewnętrznego dofinansowania, a nawet udzielają gwarancji finansowania zaciągniętego przez nich kredytu. Franczyza jednak przede wszystkim daje przedsiębiorcom możliwość dotarcia do nowych grup klientów poprzez rozpoznawalność marki oraz zróżnicowanie cen i asortymentu. To skuteczna odpowiedź na promocje i wyprzedaże produktów, jakie widzimy w supermarketach. Nie bez znaczenia jest też rodzinny charakter franczyzowego sklepu, który w przyszłości może dać spokojną pracę kolejnemu pokoleniu.

– Jako franczyzobiorca nie muszę się martwić o wszystko sam. Zachowuję niezależność i rodzinny charakter biznesu, a jednocześnie mam dostawcę towarów, który ze względu na skalę działania może mi zaoferować konkurencyjne ceny, wsparcie marketingowe i pomysły na zwiększenie atrakcyjności moich sklepów w oczach klientów – mówi Sławomir Białożyt z Tychów, który w trzech miastach prowadzi siedem sklepów Groszek we franczyzie Eurocash. I dodaje: – Bez wahania otworzyłbym w tej formule kolejne sklepy.

W MAŁYM SKLEPIE ŁATWIEJ O EKO

Przewagą sklepów franczyzowych nad zagranicznymi marketami i dyskontami jest multiformatowość. Dzięki temu regionalne produkty czy ekologiczną żywność częściej kupimy w sklepie „za rogiem" niż w wielkopowierzchniowym markecie. Sieci franczyzowe reklamują lokalnych dostawców oferujących zdrowe i naturalne produkty, które nie podlegają skracaniu procesów technologicznych. Część sieci we współpracy z polskimi producentami i dostawcami wprowadza do sprzedaży produkty pod własną marką lub wdraża serie lokalnych produktów ekologicznych i prozdrowotnych.

Małe i średnie sklepy są też silnie zakorzenione w lokalnej społeczności, co sprzyja inicjowaniu akcji prospołecznych. Właściciele franczyzowych sklepów chętnie wspierają organizacje pożytku publicznego, m.in. prowadząc zbiórki żywności dla potrzebujących czy przekazując produkty z krótkim terminem ważności.

NIE TYLKO PIENIĄDZE

Oprócz jednorazowych profitów przedsiębiorcy zainteresowani franczyzą mogą liczyć na systemowe wsparcie swojego biznesu. Przykładem jest Grupa Eurocash, największy franczyzodawca na rynku sklepów spożywczych w Polsce. To jedyna spółka w branży handlowej, która na dużą skalę wspiera polskich niezależnych przedsiębiorców. W ciągu ostatnich 10 lat zainwestowała w rozwój polskiego niezależnego handlu detalicznego ponad 3 mld zł. Dzięki temu wsparciu sklepy spożywcze profesjonalizują się i mogą się oprzeć silnej ekspansji dyskontów. Sieci franczyzowe i partnerskie wspierane przez Eurocash zrzeszają ponad 14 tys. sklepów, m.in. Delikatesy Centrum, ABC, Lewiatan, Gama, Groszek. W sumie z hurtowniami i sklepami niezależnymi marka liczy już kilkadziesiąt tysięcy placówek na terenie całego kraju.

Co istotne, przedsiębiorcy mogą liczyć na dogodny wybór systemu franczyzowego. Grupa Eurocash oprócz standardowych warunków współpracy, takich jak pomoc specjalistów, atrakcyjne ceny, pomoc marketingowa, zróżnicowany asortyment produktów, wspiera też swoich partnerów edukacyjnie. Służy temu unikatowy program szkoleniowy „Akademia Umiejętności", którym objęto już ponad 30 tys. osób. Projekt ma na celu kompleksową edukację właścicieli i pracowników sklepu. Szkolenia obejmują tematykę zarządzania, finansów, marketingu, zarządzania sklepem, polityki cenowej, sezonowości sprzedaży i obsługi klienta. Co istotne, szkolenia dla pracowników sklepu są bezpłatne. Właściciel musi zapłacić jedynie za dojazd i ewentualny nocleg sprzedawców. Od ośmiu lat Eurocash organizuje także konferencje, w których udział bierze kilka tysięcy osób. W 2017 r. wspólnie ze Szkołą Główną Handlową uruchomił studia podyplomowe „Zarządzanie przedsiębiorstwem w handlu detalicznym". To pierwsze tego typu studia w Polsce, które powstały dzięki współpracy uczelni i firmy z sektora FMCG.

– Ideą programu jest wsparcie polskiej przedsiębiorczości i lokalnego handlu. Zdobyta wiedza to kolejny sposób podniesienia konkurencyjności sklepów i stawienie czoła wielkim sieciom hipermarketów oraz dyskontów. W ostatnich latach lokalny handel był w defensywie, ale dziś dzięki lepszemu dopasowaniu do potrzeb klientów ma szansę na wygrywanie z największymi – mówi Jan Domański, dyrektor ds. relacji inwestorskich i przejęć Grupy Eurocash.

WALCZ O SWOJE!

Prawdą jest, że sklepów jest mniej. Te, które przetrwały, sprzedają jednak więcej (w przeliczeniu na jeden sklep). Małe i średnie sklepy, aby się rozwijać, muszą sprostać oczekiwaniom dzisiejszych konsumentów. Potrzebują do tego zaplecza inwestycyjnego, dużej siły zakupowej, wsparcia marketingowego i edukacyjnego oraz know-how. Wszystko to oferuje im franczyza.

eprasa.pl d83cf5c87b

MIKOŁAJ MARCELA **AUTOR KSIĄŻKI „BEST SELER I ZAGADKA ZNIKAJĄCYCH WARZYW”**

Jarzynowe inspiracje

Gotowałem od zawsze, nie miałem żadnych problemów z warzywami, ale miłość do nich na dobre zaczęła się niedawno. Dziś tego nie widać, ale kilka lat temu ważyłem 150 kg i bez warzyw zapewne tak byłoby do teraz. Gdy postanowiłem schudnąć, to one stały się moimi najlepszymi przyjaciółmi. Zresztą nie tylko moimi. Moja dziewczyna – bez której ta powieść nigdy by nie powstała – jest wegetarianką, a przy okazji niejadkiem, którego przekonują tylko warzywa i owoce. Nie potrafię jednak wskazać ulubionego warzywa – uwielbiam zarówno seler naciowy i brukselkę, które są głównymi bohaterami mojej powieści, jak i paprykę czy bób, które odgrywają role drugoplanowe. Jedno jest pewne: bez nich moje życie byłoby smutne i szare.



Fot. Michał Łapnicki

„Best Seler...”, czyli vege kryminał dla dzieci w każdym wieku, który właśnie trafia do czytelników, wyrasta z mojego życia i doświadczeń. Jest też dialogiem z ulubionymi powieściami, filmami i serialami. Mam to szczęście, że literaturą i kulturą mogę się zajmować zarówno od strony teoretycznej, badając ją na uniwersytecie [Śląskim – przyp. red.] i ucząc studentów pracy nad własnymi książkami, jak i w praktyce – pisząc powieści. Tym, co cechuje najlepsze popkulturowe teksty (nie tylko dla dzieci), jest ich dwukodowość – umiejętność opowiadania wciągającej fabuły i pamiętanie przy tym o aluzjach, które widoczne będą dla wnikliwych czytelników oraz widzów. Doskonale widać to w filmach Disneya, na które wciąż chodzę do kina i które są dla mnie wzorem sprawnego opowiadania historii. Stąd w „Best Selerze...” odwołania do tekstów, które wyłapią dorośli czytelnicy: z jednej strony do klasyki, jak „Pan Tadeusz”, a z drugiej – do najnowszych seriali, np. „Stranger Things”.

Ale skoro to kryminał, nie mogło w nim zabraknąć intrygi pełnej zwrotów akcji i dreszczu emocji. Uwielbiam skandynawskie kryminały, jestem też miłośnikiem literatury grozy, co ma swoje odzwierciedlenie w powieści. A zmierzenie się z tymi konwencjami w świecie zamieszkanym wyłącznie przez warzywa było wielką frajdą.

Zdarzyło mi się też pisać teksty piosenek dla polskich artystów i było to doświadczenie niezwykle istotne dla powstania „Best Selera...”. Jak wiadomo, dobre teksty piosenek rymują się. A kto przeczyta moją powieść, dowie się, że i w niej rymów nie brakuje – od głównej bohaterki, Melki Brukselki, przez jej mamę, Augustę Kapustę, a kończąc na Ewce Marchewce. To właśnie imiona, które rymowały się z nazwami warzyw, błyskawicznie stworzyły w mojej głowie uniwersum Jarzynowa.

Na koniec kluczowe pytanie: która perspektywa jest mi bliższa – Best Selera czy Melki Brukselki? Tytułowy bohater ma kilka moich cech, ale to Melka jest mi bliższa. Z jednej strony jej wyważenie i rola mediatorki, jaką przyjmuje, z drugiej – gotowość do działania. Nie sposób jej za to nie kochać!

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

Gulasz z soczewicy i dyni

To zdrowe i bardzo proste w przygotowaniu danie wegańskie, bogate w białko roślinne, witaminy i mikroelementy, które smakuje przez cały rok!

Dynię (najlepiej piżmową) oczyszczam z pestek, kroję na mniejsze kawałki i piekę w piekarniku przez 25–30 minut w 200°C. Na łyżce oleju z pestek winogron podsmażam przez 10 minut posiekane cebulę, trzy ząbki czosnku, marchewkę, zieloną paprykę. Następnie dodaję 200 g opłukanej zielonej soczewicy, łyżkę octu balsamicznego, opakowanie passaty (przecieru pomidorowego) i 200–300 ml bulionu warzywnego. Całość duszę przez 30 minut, po czym dodaję upieczoną i pokrojoną w małe kawałki dynię. Na koniec doprawiam do smaku mielonym imbirem, gałką muszkatołową, cynamonem, goździkami, solą, pieprzem i ksylitolem. Przed podaniem posypuję jeszcze prażonymi pestkami dyni i świeżą bazylią



Fot. Shutterstock

eprasa.pl d83cf5c87b



Wróżka z lasu

Wracałam niedawno z wycieczki przez Pojezierze Drawskie. Skracając drogę z Ińska do Recza, pokonywałam całkowicie dzikie tereny. Nagle z lasu wyszła autostopowiczka. Starsza kobieta z tobołkiem, w turbanie, kolorowych chustach, z dyndającym wisiorem sowy na piersiach. W środku puszczy spodziewałabym się raczej łosia albo czołgu... Zamachała, żeby ją podrzucić, a ja się zatrzymałam. Następne pół godziny było wykładem z przyrody, bo pani ta miała nieprawdopodobną wiedzę o ziołach i innych dzikich roślinach, którą postanowiła się ze mną podzielić, dziękując za pomoc.

Było o szczawiu, mniszku, dzikiej róży i czarnym bzie, który uratował jej życie, gdy zawiodły antybiotyki. O tym, że jedzenie schodzi na psy, bo nawet zapachy są podrobione, i o sąsiedzie idiocie, który wykarczował z ogródka milin, a posadził tuje. O zbrodni wycinania drzew przy drogach i dobrym Bogu, który zsyła w maju zimne wichury, bo inaczej w tym dziwnym roku wszystkie kwiaty na drzewkach owocowych by opadły.

Lato wiosną rzeczywiście przyhamowało w okolicach zimnej Zośki (ochłodziło się o parę stopni i spadł długo wyczekiwany deszcz, choć o przymrozkach możemy zapomnieć). Kwitnie czarny bez, zwykle robi to dwa-trzy tygodnie później, a lilak przekwitł, zanim zdążyłam się nim nacieszyć. Liście szczawiu na łące są wielkie jak sałata. Korzystajcie. Świeża szczawiowa ma naturalny smak i zapach, a na dokładkę jest tania – kilka ziemniaków, wywar z włoszczyzny, jajko... Liście szczawiu myjemy, kroimy w paseczki i podduszamy na maśle, wlewamy do wywaru, zabielamy śmietaną lub jogurtem (w wersji light), podajemy z ziemniakiem i jajkiem na twardo. Tego nie podrobią żadne laboratoria.

A co z bzem? Zbierzcie na soki – pyszne i przeciwwirusowe. Moją wróżkę uleczył co prawda ten z owoców, ale i kwiatowym nie pogardzimy. Zerwijcie baldachy bzu (40–50), odczekajcie, aż wyjdą z nich robaczki, zagotujcie krótko w wodzie, dosłodźcie cukrem lub miodem, dolejcie sok z cytryny i przelewajcie na gorąco do słoików lub butelek. Po rozcieńczeniu wodą z lodem macie najlepszy napój na upały, a podawany na gorąco zimą pomaga przy przeziębieniach.

Fot. Shutterstock

Bardzo stara nowinka

ROBERT MAZUREK

Świat zmienia się w nieprawdopodobnym tempie, a czasem prawdziwa zmiana polega na powrocie do czegoś starego, ale tak bardzo, bardzo starego, że najstarsi Gruzini nie pamiętają, więc jawi się jako rewolucja. Ot, przyjmowanie komunii świętej na rękę – soborowa nowinka, nieprawdaż? Ano nieprawdaż, bo to i III w., i św. Cyprian, i inne takie.

Kiedy więc winiarz z Abruzji zaczyna robić wino wedle starożytnych receptur, to faktycznie niektórzy pukają się w czoło. Ale to za moment, zatrzymajmy się na tym, z czym kojarzy się Abruzja? Ano nie jest to winiarska Serie A i przeciętny amator wina łączy ją z dwoma szczepami – białym trebbiano i czerwonym montepulciano. Trebbiano d'Abruzzo to poważniejsza propozycja niż zwykłe, leciutkie trebbiano, wciąż jednak nie jest to wino wielkie. Montepulciano d'Abruzzo nie należy mylić ze szlachetnym – także w nazwie – winem z toskańskiego miasteczka Montepulciano. I już, tyle wiedza powszechna o winach z górzystej, leżącej nad Adriatykiem Abruzji.

I tu wracamy do naszego winiarza dziwaka. Franco Cirelli robi wina zaledwie od dekady, a już osiągnął klasę mistrzowską. Kilka kilometrów od morza ma swą ekologiczną winiarnię, gdzie pozostaje wierny abruzyjskim szczepom. Z tym że oprócz win normalnych robi również te w amforze, jak starożytni Rzymianie oraz – przede wszystkim – starożytni i całkiem współcześni Gruzini. OK, może i gdzieś na świecie robią je lepsze, ale ja tego wariata i jego wina pokochałem od pierwszego wejrzenia. I wy też pokochacie, jeśli tylko spróbujecie.

Trebbiano jest zupełnie inne niż większość win pomarańczowych, łączy wigor i głębię. Cerasuolo powstaje z gron montepulciano, ale jest dużo delikatniejsze, lżejsze, flirtujące. I wreszcie bardzo bogate, ze wspaniale zachowanym owocem montepulciano. Oj tak, takie eksperymenty daj nam Panie Boże jak najczęściej, amen.



Cirelli Trebbiano d'Abruzzo Anfora
119 zł



Cirelli Cerasuolo d'Abruzzo Anfora
119 zł



Cirelli Montepulciano d'Abruzzo Anfora
119 zł

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl d83cf5c87b

Dwa nurty

PIOTR SKWIECIŃSKI

Może mam słabą wyobraźnię, ale nie potrafię wymyślić niczego bardziej groteskowego, czego mogłyby się dopuścić polskie urzędy od sławnego już wejścia policji na teren ośrodka wypoczynkowego Uniwersytetu Szczecińskiego w celu kontroli konferencji naukowej o marksizmie. A zarazem niczego bardziej niepokojącego. Kiedy piszę ten felieton, nie wiadomo jeszcze, kto dokładnie podjął decyzję o tej akcji. Uważam, że ten ktoś powinien zostać odnaleziony, ujawniony i ukarany.

A to z wielu powodów. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej sprzyjającego kreowaniu na świecie obrazu Polski jako państwa dyktatorskiego, odbierającego podstawowe wolności, w tym nawet wolność badań naukowych. Głupie, nieprawdziwe? No to co, przecież polska policja weszła na konferencję... Narracja gotowa.

Trudno wyobrazić sobie też coś bardziej kompromitującego wybitnego intelektualistę, który tę akcję podjął, od strony prawnej. Bo doprawdy w polskim prawie nie sposób znaleźć zapisów, które choćby naciągnięte mogłyby uchodzić za do tego zmuszające. To, że ktoś zgłosił pisemnie rejonowej prokuraturze podejrzenie, iż podczas konferencji „może dojść do publicznego propagowania treści totalitarnych", bynajmniej nie wymuszało na tejże prokuraturze podejmowania tego rodzaju działań. To nie jest tak, że jeśli zawiadomię odpowiedni urząd, iż mój sąsiad jest w istocie kosmitą przygotowującym zagładę ludzkości, urząd ów będzie musiał się pochylić nad moim pismem i zacząć pieczołowicie sprawdzać, czy mam rację – istnieje bowiem kategoria wniosków w oczywisty sposób bezzasadnych.

Wreszcie – decyzję o posłaniu policji na uniwersytet można postrzegać jako przejaw obecnego niestety w formacji IV RP myślenia, które można oddać słowami: „Oto my w Polsce przecieramy szlaki całej Europie; wykazujemy jej, jak kulturowo i politycznie zbłądziła, odbudowujemy (rzekomo niegdyś istniejącą) konserwatywną arkadię. Poślijmy więc policję na konferencję o Marksie, pokażmy Europie, jaka jest prawda". Że to jest obłędnie śmieszne, tego chyba tłumaczyć nie muszę.

Tyle więc o groteskowości. Teraz o niepokoju.

Otóż niepokoi objawiona przy okazji tej sprawy łatwość, z jaką część aparatu państwowego przyjmuje postawę, którą skojarzyć łatwo wcale nie z – może i śmieszną, lecz będącą co najwyżej nadgorliwością w słusznej sprawie – urzędniczą skrupulatnością (że wszystko trzeba sprawdzić), tylko ze skłonnością do politycznego radykalizmu. I z tej perspektywy nie jest już najważniejsze, czy bierze się to z autentycznej inklinacji do radykalnych ideologii, czy też z antycypowania, że tego rodzaju manifestacja spodoba się zwierzchnikom. Jak znam życie, to raczej to drugie. Ale obie ewentualności wystawiają ulegającym tym skłonnościom złe świadectwo. I każą się zastanowić nad tym, jak ten państwowy aparat zareagowałby, gdyby – za jakiejkolwiek władzy – stanął wobec prawdziwej próby. Gdyby ktoś rzeczywiście próbował ograniczyć demokrację, rzeczywiście zaczął testować granice polskiego przywiązania do wolności.



Policja na szczecińskim uniwersytecie to groteska, ale też przejaw czegoś poważnego

To, co zobaczyliśmy w Szczecinie, zmusza mnie w tej mierze do pesymizmu. Do przeświadczenia, że ów aparat zapewne nie stałby się sprawnym narzędziem w realizacji takich planów (sprawny to on z definicji być nie potrafi; jak ktoś powiedział: polskie państwo jest z tektury, a z tektury nie buduje się dyktatur), ale jakimś narzędziem by był.

W tej zarazem śmiesznej i przygnębiającej sprawie jest jednak również element optymistyczny – zachowanie ministra spraw wewnętrznych Joachima Brudzińskiego, który kiedy skandal został ujawniony, zareagował jednoznacznie. Mimo że ani on sam, ani podległa mu policja nie byli odpowiedzialni za całą sprawę (funkcjonariusze wykonywali jedynie polecenie prokuratury i nie mieli innego wyjścia), przeprosił rektora szczecińskiego uniwersytetu. A przecież nie musiał.

Brudziński zresztą już po raz drugi w ostatnim czasie daje się poznać z podobnej strony. Bo to on, gdy prezydent Katowic rozwiązał demonstrację niosących faszystowskie symbole narodowców, a policja rozproszyła niechcących się rozejść manifestantów, poparł prezydenta. Co więcej, gdy lider Ruchu Narodowego Robert Winnicki zwrócił się do niego, wyraźnie próbując się odwołać do jego zdaniem łączącej narodowców z PiS płaszczyzny wspólnej walki z „lewactwem" (stara koncepcja „nie ma wroga na prawicy"), jednoznacznie odrzucił tę interpretację rzeczywistości i te awanse.

Wpisał się w ten sposób Brudziński w istniejący na polskiej prawicy nurt polityki państwowej. Opozycyjnej wobec, również tam obecnego, nurtu ideologicznego fanatyzmu. Liczę na ten pierwszy nurt. To jego istnienie i polityczna przewaga przyciągnęły mnie niegdyś w pobliże formacji IV RP. Potem jednak ta sytuacja zaczęła się zmieniać, gmatwać, przestawało być jasne, czy ów nurt dominuje.

Dziś momentami widać go lepiej niż niedawno. Co stwierdzam z satysfakcją.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d83cf5c87b

No i co to będzie z tą Polską, panie Timmermans?



Unia Europejska chwieje się w posadach, we Włoszech władzę przejmuje ugrupowanie eurosceptyczne – Ruch Pięciu Gwiazd – które ma rządzić w koalicji z prawicową Ligą Północną. Właśnie w Włoszech, gdzie 60 lat temu zostały podpisane traktaty rzymskie ustanawiające Europejską Wspólnotę Gospodarczą z inicjatywy RFN, Włoch, Francji, Luksemburga, Belgii i Holandii. W marcu br. prominencja założycielska uroczyście obchodziła tę rocznicę, wymieniając buziaki w stolicy Włoch. Wtedy, 60 lat temu, wszystko było jasne i zrozumiałe. Wspólnota powstała w celu ułatwienia współpracy gospodarczej w Europie poprzez powołanie wspólnego rynku towarów i usług. Tak się zaczęło, ale tak się nie skończyło. W roku 1992 podpisano traktat z Maastricht, który wytyczył kierunki integracji europejskiej, nie tylko gospodarczej, lecz przede wszystkim politycznej. I oto dzisiaj po 60 latach funkcjonowania wspólnoty w jej sercu doszły do głosu partie eurosceptyczne, które – jeśli utworzą rząd – będą się domagać rewizji traktatów europejskich, w tym najbardziej poprawnego politycznie i zideologizowanego traktatu lizbońskiego z 2007 r.

Bruksela trzęsie się ze strachu, bo Włochy to nie Polska, nie Węgry ani nie Austria. To trzecia co do wielkości gospodarka europejska, która, jak pokazuje życie, swoją siłę opiera na iluzji, bo właśnie się załamała, podobnie jak gospodarka „drugiej" potęgi, co z przyzwyczajenia przypisuje się Francji. Nie wiadomo, jak nawrócić Włochów na słuszną ścieżkę brukselskiej integracji, jak zmienić przeważający dziś w tym kraju eurosceptycyzm w euroentuzjazm, skoro relacja długu publicznego do PKB wyniosła już 115 proc., bezrobocie wśród młodych wzrosło do 40 proc. i nie brak głosów domagających się odejścia od waluty euro, która przyniosła więcej szkód niż pożytku. Według najnowszych sondaży aż 74 proc. Włochów źle ocenia sytuację gospodarczą.

Lewacko-liberalne media w rodzaju Politico naigrawają się z przywódcy Ruchu Pięciu Gwiazd, 31-letniego Luigiego Di Maio, bo za młody na politykę i na dodatek jest z zawodu kelnerem. No właśnie, establishment europejski przegrywa z młodymi politykami, którzy nie utracili kontaktu z rzeczywistością, są politycznie niepoprawni, nie imponuje im relatywizm moralny ani polityczny, co to propagując wolność jednostki, jej indywidualny rozwój, zaprowadza dyktaturę zaledwie procenta w skali świata władców „społeczeństwa otwartego" nad wolnością daną człowiekowi, którą jest wolna wola. Wolna od wyższości tolerancji dla narkomanów, świadczących usługi seksualne i kochających inaczej w ramach LGBT i temu podobnych, acz marginalnych dewiacji. I właśnie ta „otwartość" skonfliktowała się z wolną wolą narodów, węgierskiego, polskiego, a zapewne wkrótce włoskiego. Niedawno Brukselę odwiedził twórca i przywódca Open Society George Soros. Przeprowadził on rozmowy z Fransem Timmermansem. I oto stało się to, co się stać musiało. Wiceprzewodniczący KE, który wyjawił, że przyjaźni się z Sorosem od 20 lat, zmienił zdanie na temat negocjacji UE z Polską i uznał, za poradą swego patrona, że do porozumienia jest jeszcze daleko, bo strona polska nie spełniła wszystkich oczekiwań KE w kwestii praworządności. Biedaczek uległ Sorosowi, który nienawidzi polskiej dobrej zmiany, gdyż stoi w poprzek jego planom uczynienia świata „sprawiedliwym dla wszystkich", a ci wszyscy to planeta bez państw narodowych, bez różnic rasowych i kulturowych, zaopatrywana w wiedzę serwowaną przez lewackie uniwersytety i przede wszystkim bez chrześcijaństwa. Rządzić będą chamy, które obwołały się elitą. I w ten oto sposób proces dogadywania się Warszawy z Brukselą został zahamowany. A Timmermans pokazał, że ma władzę i należy się go bać. Jest to gest nie tylko nieprzyjazny, jest to gest człowieka, który wypłynął na widok publiczny wyłącznie dzięki nieustannym atakom na Polskę i Polaków, poza tym jest nikim i niczym w Brukseli. A tymczasem zbliżają się wybory do Parlamentu Europejskiego i zmiany na szczycie UE. Oj, będzie źle. Chyba że spełni się jego marzenie o dalszej karierze w Brukseli, jeśli osobiście obali rząd Morawieckiego. Dzięki czemu uratuje swoje lewackie cztery litery.

Może sobie Timmermans konferować z Sorosem do woli. Jemu też nie jest do śmiechu. Właśnie uciekł ze swoją Open Society z Budapesztu do Berlina. A wpływy finansowanych przez niego fundacji na terenie Polski ograniczają się do coraz mniej licznych marszów „w obronie wolności". Niedługo dojdzie do wniosku, że jest to nieopłacalny interes i zamknie kasę. No i co to będzie z tą Polską, panie Timmermans? Zastosuje pan artykuł 7? Niestety, się nie da, bo pan i pańscy towarzysze nie są po właściwej stronie mocy. I nie będą.

eprasa.pl d83cf5c87b

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Przymiarka do konstytucji – cz. II



II Europejski Festiwal Schumana zorganizowany w Warszawie był też okazją do dyskusji na temat przyszłej konstytucji RP. Jak wiadomo, prezydent RP w dniach 10–11 listopada tego roku planuje referendum konstytucyjne w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości. O jego pomyśle wie nie więcej niż 40 proc. społeczeństwa, a jeszcze mniej, bo tylko 34 proc., zadeklarowało swój udział w referendum.

To ambitne zadanie, jakie postawił sobie i nam prezydent Andrzej Duda, łączy się z dużym ryzykiem. Pamiętamy klęskę referendum Bronisława Komorowskiego w sprawie jednomandatowych okręgów wyborczych. Referendum z małą frekwencją będzie argumentem za utrzymaniem w mocy obowiązującej konstytucji z 1997 r., a ta nie odpowiada już na dzisiejsze potrzeby naszego społeczeństwa. Poza tym to Senat ostatecznie zatwierdzi pytania i datę referendum. Nie wiadomo, jak zagłosują senatorowie PiS. A senatorowie z PO nie są zainteresowani żadną zmianą obecnej konstytucji.

Referendum konstytucyjne jako preludium do zastąpienia konstytucji III RP konstytucją IV RP to z pewnością pomysł na miarę wyzwań XXI w. i dlatego warto śledzić jego realizację oraz wykazać pewną aktywność. A jesteśmy dopiero na bardzo wstępnym etapie stawiania pytań na temat treści ewentualnych pytań kierunkowych, jakie mogą się pojawić w referendum. W tym celu odbywają się spotkania urzędników prezydenta ze specjalistami i opinią publiczną. Taką też formułę miało spotkanie Pawła Janika z Kancelarii Prezydenta z panelistami – ks. prof. Piotrem Mazurkiewiczem z UKSW, prof. Markiem Dobrowolskim z KUL i senatorem Piotrem Łukaszem Andrzejewskim.

Nie ulega wątpliwości, że referendum konstytucyjne odbędzie się w warunkach ostrego sporu ideowego i światopoglądowego, jaki mamy w Polsce od lat. To zagrożenie, ale i okazja do stawiania drażliwych kwestii w sposób otwarty. Poza tym większość parlamentarna nie musi udawać, że jej szlachetną troską, wręcz barometrem demokracji, winno być w pierwszej kolejności zabezpieczenie praw mniejszości. Jeżeli referendum się nie uda, pozostaje walka o zapewnienie takiej reprezentacji parlamentarnej, która samodzielnie dokona wyboru nowej konstytucji.

Senator Piotr Andrzejewski, prawnik chyba najbardziej doświadczony w pisaniu aktów konstytucyjnej rangi, przypomniał dawny projekt obywatelski konstytucji. Projekt ten zakładał, że konstytucja jest najwyższym prawem stanowionym, a preambuła odnosiła się do prawa naturalnego. Zatem wniosek pierwszy: należy stawiać prawo naturalne przed prawem stanowionym. Równocześnie tak zdefiniować system demokratyczny, jak ujął to sługa Boży Robert Schuman, czyli „albo demokracja będzie chrześcijańska, albo nie będzie jej wcale". Spór aksjologiczny o antropologiczną wizję państwa pod rządami przyszłej konstytucji winni wygrać chrześcijanie gwarantujący jak zawsze wszelkie wolności religijne. Tak jak to było drzewiej w Polsce. Albo będziemy się czuli jak we własnym domu, albo będziemy się zachowywali, jakby Bóg nie istniał. Nie do pogodzenia jest lansowane dziś w Unii Europejskiej stwierdzenie, że chrześcijaństwo jest tylko jednym z elementów kultury państwa.

Powinno się zatem pojawić pytanie referendalne z treścią definicji człowieka, osoby, której konstytucja gwarantuje prawo do życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Ponadto definicja małżeństwa niepozostawiająca cienia wątpliwości, że jest to związek między mężczyzną i kobietą, otwarty na przekazywanie nowego życia. Tak zdefiniowane małżeństwo winno być instytucją naturalną, podobnie jak rodzina, czyli związek naturalny i pierwotny w stosunku do państwa. Wiąże się z tym także pierwotne i naturalne prawo rodziców do wychowywania dzieci zgodnie z własnym sumieniem.

Kwestie te najpełniej reguluje Karta Praw Rodziny wydana niedawno pod patronatem honorowym prezydenta Andrzeja Dudy w ramach obchodów Dnia Praw Rodziny. Wystarczy, aby te kwestie, które reguluje Karta Praw Rodziny, postawić w formie pytania i w ten sposób uzyskać odpowiedź.

Wśród pytań referendalnych musi się też znaleźć pytanie o usytuowanie UE w polskim prawie. W sposób jednoznaczny należy oddać prymat polskiej konstytucji nad unijnym prawem. Dotyczy to również międzynarodowych instytucji, m.in. Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. Mówiąc najkrócej, prawo unijne musi się zatrzymać przed prawem krajowym, tym bardziej że traktat lizboński już odrzucił zasadę pomocniczości, którą wchodząc do Unii, w pełni akceptowaliśmy. Polska obecność w UE nie może prowadzić do ograniczenia naszej suwerenności, a Unia nie może się stać superpaństwem, tym bardziej że już teraz przypomina jakieś quasi-państwo. Tak więc nadrzędność polskiej konstytucji nad prawem wspólnotowym i jasne sformułowanie, że fundamentem kultury europejskiej jest chrześcijaństwo. Tyle i aż tyle.

eprasa.pl d83cf5c87b

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Małgorzata i trutnie



Witold Gadowski

Przyznam się bez bicia: nigdy nie byłem patriotą PiS ani nawet dobrej zmiany. Patriotą mogę być tylko mojej ojczyzny, a partie i propagandowe nowomowy traktuję jedynie jako narzędzia służące, bądź nie, interesom Polski. Logika prosta, jednak dla niektórych zbyt prostolinijna. Oni jednak wolą pokręcić, poudawać i stwarzać pozory, bo na tym najlepiej się wychodzi. Oni zatem już tak szczelnie poprzyklejali się do burt nowej władzy, że nuże łajać, rozliczać tych, którzy o nich zbyt wiele wiedzą i na dodatek potrafią to publicznie wygarnąć.

Przyglądam się przygotowaniom do kampanii wyborczej w Krakowie. Oto miejscowe nieudaczne baro(a)niątka PiS już się skrzykują, aby popsuć kampanię swojej koleżance – Małgorzacie Wassermann. Tak, dobrze słyszycie: chcą psuć. Dlaczego?! Ależ to przecież proste jak partyjna tabliczka mnożenia. Jeśliby pani Wassermann wygrała wybory z komuchem Majchrowskim, to przecież właśnie ona, a nie dotychczasowe baroniątka, stanie się naturalnym liderem niepodległościowców pod Wawelem. Z Majchrowskim można było kugłować swoje małe interesiki, z panią Małgorzatą może to być niemożliwe. Im Majchrowski przeszkadza w stopniu najmniejszym – utrzymuje status quo, a więc jest cennym elementem systemu, w którym ludzie bez zdolności i dokonań mogą odgrywać ważne role.

Na ironię zakrawa to, że w Krakowie takie właśnie uformowało się kierownictwo rządzącej partii. Oni doskonale zdają sobie sprawę z tego, że tylko szczęśliwe zrządzenie losu sprawiło, iż dorwali pozycje, jakie teraz okupują. Są trutniami bez większego znaczenia. Strategia trutnia może być tylko jedna: na zewnątrz udaje, że bez niego nic się nie powiedzie, że tylko on potrafi rozwiązać problemy, a wewnątrz knuje, obrabia tyłek każdemu mądrzejszemu od siebie. Nie cofnie się przed żadną małością ani zdradą.

Małgorzata Wassermann stanęła więc w Krakowie do boju z dwiema napasionymi i zdemoralizowanymi kamarylami. Z kliką komucha Majchrowskiego, od której ex definitione nie może oczekiwać niczego dobrego, i z własną partią, którą w Krakowie reprezentują wyjątkowo mętne typki, na dodatek noszące o kilka numerów za duże kapelusze.

Walczyć twarzą w twarzą to szlachetne, jak jednak postąpić wobec „miękkosztyletników", którzy już się szykują, aby dźgać w plecy? To zadanie, które ma tylko jedno sprawiedliwe rozwiązanie: należy wygrać wbrew wszystkim. Pani Wassermann, czeka panią tytaniczna praca i wytężona czujność. Mniemam, że po ciężko osiągniętym sukcesie będzie pani wiedziała, co zrobić z wianuszkiem nieszczerych trutni, którzy będą usiłowali natychmiast panią obleźć.

Eurowizja



Lech Makowiecki

Nie jestem fanem festiwalu Eurowizji, ale doceniam potęgę oddziaływania tegoż na masowy gust i kreowanie wizerunku rywalizujących krajów. Jednak (jak w każdej popkulturowej masówce) ważniejsze dziś od muzyki zdaje się zaskakiwanie lub szokowanie widza (patrz: baba z brodą, wampirza soczewka w oku, markowanie awarii półplaybacku itp., itd.). Mile widziane jest również dryfowanie w modnym na Zachodzie nurcie LGBT. W tym roku – mimo wystawienia do śpiewania Szweda Lukasa Meijera – polegliśmy z kretesem. Nawet wężowe ruchy dłoni kompozytora Andrzeja Gromali (ps. Gromee) nie pomogły chłopakom wśliznąć się do finału. Może byli za mało gejowscy, może ktoś źle policzył głosy, może to kara za „brak demokracji" w Polsce, może...

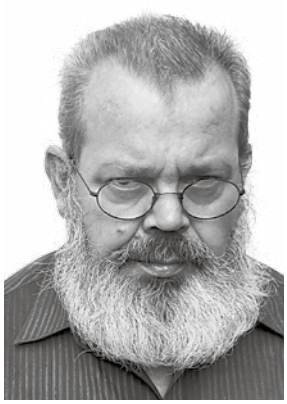
Zwycięzczyni Netta Barzilai podziękowała jurorom i widzom za... wspieranie różnorodności (?!). I zaprosiła wszystkich do Jerozolimy, nowej stolicy Izraela. Zaiste – w kontekście zastrzelenia 60 protestujących przeciw temu przeniesieniu Palestyńczyków – kusząca propozycja.

Jak w przyszłości możemy powalczyć na Eurowizji? Pewne szanse daje nowocześnie zaaranżowany folk (dowodem są zwycięstwa np. Irlandii, Ukrainy, Alexandra Rybaka). Trzeba tylko wyłonić w kastingu kilku przystojnych górali z potężnymi, białymi głosami i skomponować (specjalnie dla nich, na długich nutach) ostry, heavymetalowy kawałek. I dla dodania mocy, urody i bezpieczeństwa odziać ich w husarskie zbroje. Pośród metroseksualnych solistów z pomalowanymi paznokietkami i torebeńkami nasi skrzydlaci rycerze wyglądaliby zjawiskowo i monumentalnie! A kiedy znienacka ryknęliby na głosy jakąś współczesną „Bogurodzicę", to uniósłby się dach nad europejskim salonem. Jestem pewien, że nasi herosi mieliby niesamowite branie! I to u obu płci. Czy wygraliby? Nie wiem, nie mam wpływu na liczenie głosów. Ale z całą pewnością wszyscy by o nas mówili!

eprasa.pl d83cf5c87b

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Kategorycznie, radykalnie, fundamentalnie



Aleksander Nalaskowski

Gdy ze studentami omawiam tzw. pedagogikę potoczną, to często używam jako przykładu przysłów czy powiedzeń, wskazując na ich pouczenia. Na przykład: „nie ma reguły bez wyjątków" i dalej: „ale wyjątek tylko potwierdza regułę" wskazuję jako zaprzeczenie, że przysłowia są zawsze mądrością narodu. Albo u licha jest reguła, albo jej nie ma! Wyobraźmy więc sobie takie stwierdzenie: „Janek jest zawsze prawdomówny". Czyli Janek nigdy nie kłamie. Czyż stwierdzenie „Janek jest zawsze prawdomówny, chociaż czasami łże" (to ten wyjątek) potwierdza regułę o prawdomówności Janka?! I dalej: „Ale to, że Janek czasami łże, tylko potwierdza jego prawdomówność". To w końcu jak jest z tym Jankiem? Oczywiście domorośli sofiści będą takie rozumowanie demontować albo lepiej „dekonstruować" i np. zapytają klasykiem: „A czym jest prawda?" albo stwierdzą, że Janek mógł mówić to, co w danej chwili uznawał za prawdę. Lub też, że łgać to znaczy podawać świadomie fałsz jako prawdę. I to się wszystko będzie zgadzało. Tyle że reguła jest zawsze jednoznaczna. Spróbujcie fizykom powiedzieć, że od reguły są wyjątki. Jeśli coś uznajemy za wyjątek, to albo jest elementem innej reguły, albo nasza reguła jest do luftu.

Ten przydługi wstęp pozwoliłem sobie tutaj umieścić, aby wygłosić pochwałę kategoryczności, radykalizmu, a nawet fundamentalizmu. Oczywiście wszystkie te pojęcia brzmią nam słownikowo w uszach źle, groźnie i złowieszczo, ale spróbujmy być pragmatyczni. Przede wszystkim mówimy tu o poglądach i przekonaniach, które same w sobie nie są niebezpieczne. Oczywiście dopóki się ich nie uzbroi. Ale wtedy to już zupełnie inna para kaloszy. Bo uzbrojone przekonania zamieniają się w fanatyzm i mogą być zabójcze. Jeśli bowiem uzbroimy je w złe emocje, np. w nienawiść, a nienawiść w gilotyny, terroryzm czy obozy koncentracyjne, to owa hybryda poglądowo-działaniowa zamieni się w przemoc, a na końcu przemocy jest zawsze śmierć. Tego musimy się wystrzegać. Inaczej po raz kolejny wpuścimy świat w przestrzeń zagłady. A tego Bóg nam nie wybaczy, bo będzie rozczarowany tym, co zrobiliśmy z darem wolnej woli.

Kategoryczność rozumiem tu jako wyraźnie zaznaczony system wartości. Filozofowie spierają się co do tego, czy są one nam dane, czy je sami wytwarzamy. Ważne jednak, że je uznajemy. Radykalizm to przestrzeń owych wartości, poza którą nigdy się nie wybierzemy, gdzie wyraźnie stawiamy znaki „stop", które informują: ani kroku w tył i ani kroku dalej. Fundamentalizm to niezłomna wierność wartościom, wierność zasadom i odporność na jakiekolwiek ich rozmywanie, na relatywizowanie. Jak widzimy, wszystkie trzy właściwości są skierowane do wnętrza tych, którym pewne wartości są bliskie, a nie przeciwko komukolwiek. Stanowią też lek na naszą poważną i globalną chorobę, którą jest rozmycie poglądów i przekonań. Na ich zmatowienie, nieczytelność, niestałość. Stajemy się niewyraziści, niejasni w tym, co mówimy i tym, co postanawiamy.

Te trzy właściwości stanowią lek na poważną i globalną chorobę, którą jest rozmycie poglądów i przekonań

Tak jest np. w przypadku aborcji. Wszak na tylu ustach pełno jest tłustych frazesów o niepowtarzalności i najwyższej wartości ludzkiego życia, a jednocześnie sankcjonujemy parszywy wyjątek od tej niepowtarzalności. Pozbawiamy życia najmłodszych obywateli. Gdzie tu reguła? Ileż trzeba mieć w sobie hipokryzji, aby przytulać niepełnosprawnych w Sejmie, a jednocześnie ich braci w kalectwie chcieć skazywać na ćwiartowanie skrobanką?! To właśnie brak kategoryczności, radykalizmu i fundamentalizmu powoduje, że trwale zagościła u nas reguła, iż każde życie jest równe, ale niektóre mniej. Przecież piąte przykazanie mówi wprost: „Nie zabijaj". I dotyczy to każdej śmierci, którą może zadać jeden drugiemu. Każdej.

Podobnie jest z naszym chrześcijaństwem. Zwłaszcza tutaj nie ma miejsca na nieostrość. Albo ma się do chrześcijaństwa stosunek kategoryczny, radykalny i fundamentalny, albo nie jest to żadne chrześcijaństwo. Przekonują o tym święci męczennicy. Nie żyli przeciwko nikomu. Żyli dla. Bo przecież „wymagajcie sami od siebie, nawet gdyby inni od was nie wymagali" (Jan Paweł II). A to zadanie zarówno dla wiernych, jak i dla kapłanów. Wszak albo reguła, albo wyjątki.

Takie też powinny być nasze zmiany, taka powinna być dobra zmiana. Kategoryczna, radykalna i fundamentalna. Choćby cała Europa na nas pluła, nie można się cofnąć nawet o krok, nie można tracić z oczu tego, co jest wartością. Nie ma tu miejsca na polityczny sabotaż ani zagraniczne donosicielstwo. Ta praca polega na byciu dla, a nie przeciwko. Czasy, że „jestem za, a nawet przeciw" już wrócić nie mogą. Zbyt wiele nas to kosztowało, a jeszcze pewnie będzie kosztować. Musimy być po prostu za.

Autopromocja

eprasa.pl d83cf5c87b

PRZEZ ŚWIETLIK

Fulop, przeproś



Wiktor Świetlik

Nawet najbardziej grzeczni ludzie świata, czyli Japończycy, mają powiedzenie, że grzeczność przesadna bywa niegrzecznością. Tego, że przesadnie grzecznym nie zawsze powinno się być, niedawno dowiódł zresztą premier tego kraju, kiedy podczas wizyty w Izraelu zaserwowano mu deser w bucie. Zamiast przełknąć kulinarny dowcip, który w Japonii jest zwykłą zniewagą, nakazał swoim dyplomatom zaprotestować i głośno się oburzyć. Co charakterystyczne, owym przesadnie grzecznym Japończykom w tym przypadku nie przeszkadzały w proteście różnice kulturowe, ogólnoświatowa moda na kulinarne eksperymenty i to, że zawsze powinno się być miłym. To, co dla nich, w ich kraju, było obraźliwe, było dla nich obraźliwe bez względu na wszystkie różnice, uwarunkowania i to, czy ktoś się obrazi, czy nie. Tamtą scenę ciągle mam w głowie, kiedy obserwuję, jak szybko zmienia się w Polsce obraz Stevena Fulopa, burmistrza Jersey City, do niedawna w Polsce odsądzanego od czci i wiary, zresztą słusznie, a teraz traktowanego już co najwyżej jako zbłąkana, nawrócona na szacunek do Polaków owieczka.

Dobrze, że w USA prezydent Duda potraktował Fulopa dość stanowczo. Czy dobrze, że składał z nim kwiaty pod pomnikiem? Mam poważne wątpliwości. Choć przyznajmy, że cała afera pomnikowa miała też swój wymiar pozytywny. Przynajmniej iluś tam Amerykanów dowiedziało się o zbrodni katyńskiej, a iluś przedstawicieli elit amerykańskich być może zauważyło, że w pluciu na Polskę i Polaków warto się nieco ograniczyć, bo część ich elektoratu to rozmaici „Kołolscy".

Nie zmienia to faktu, że – jak się okazuje – pomnik będzie przesunięty („w inne godne miejsce"), a burmistrz Jersey City w gruncie rzeczy nawet nie przeprosił, tylko wybełkotał jakieś tam enigmatyczne ubolewanie z powodu „nieporozumienia". Przypomina ono nieco zdjęcie karteczki, która swego czasu krążyła w internecie, a którą ktoś miał w USA znaleźć na parkingu: „Przykro mi, że uderzyłem w twój samochód, ale to w sumie tylko drobne zarysowanie, a ponieważ wyglądasz na bogatego, nie zostawiam numeru telefonu". Chamskie obrażanie przedstawicieli innego narodu, bo nie chodzi w tym przypadku o samego marszałka Karczewskiego ani nawet jego elektorat, ale o reprezentanta państwa, zasługuje na słowo „przepraszam". Nawet nie na „sorry", bo „sorry" to może komuś być z powodu deszczu albo topnienia lodu na Antarktydzie, a na „apologize", i to słowo powinno paść.

Na widok Fulopa pod pomnikiem katyńskim amerykańscy Polonusi gwizdali. Nadal wydaje mi się to najlepszym sposobem, w jaki należy traktować tego pana. Przynajmniej dopóki nie padnie z jego ust jedno ważne słowo, którego dotąd nie usłyszeliśmy, choćby zostało wypowiedziane z największą obłudą.

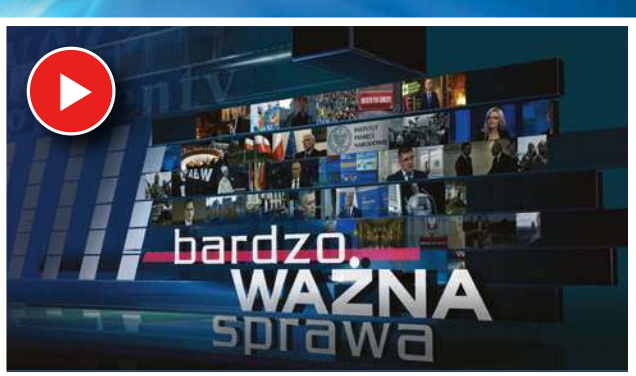
Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

POLECAMY

TELEWIZJA W POLSCE PL

BARDZO WAŻNA SPRAWA

– GORĄCA DYSKUSJA, MERYTORYCZNE STARCIE ARGUMENTÓW



ŚRODA o godz. 12.29

OGLĄDAJ TELEWIZJA W POLSCE PL W CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196

eprasa.pl

ROBERT MAZUREK

Tytani szaleństwa

W końcu los może się odwrócić i znów to my wylądujemy w Tworkach?

Gdyby jakiś historyk chciał jednym słowem opisać polską prawicę z lat 90., byłoby to zapewne słowo „łupież". Tak, ten nasz, swojski łupież, o którym wspominał nawet Jan Paweł II, żartując z wiernych, że zamiast „Niech żyje papież!", usłyszał „Niech żyje łupież!". Bo, powiedzmy sobie szczerze, jak świat światem, a Polska Polską prawica zawsze miała łupież. I była obciachowa.

Nie żeby tylko prawica, to prawda, PSL w śliwkowych garniturach, postkomuniści z metkami na mankietach nowych marynarek – to paradne towarzystwo również dostarczało obserwatorom wiele uciechy, ale jednak prawica dzierżyła palmę. Na przeciwnym biegunie byli, rzecz jasna, światowcy z Unii Demokratycznej, a już zwłaszcza liberałowie. Ci byli piękni, wymuskani, cacani i absolutnie nowocześni. Tak przynajmniej opisywała to najważniejsza z gazet – ta, której nie jest wszystko jedno.

Wiek XXI przyniósł nie tylko powszechność szamponów leczniczych, lecz i potworną uniformizację, więc teraz wszyscy wyglądają tak samo, a prawica bez łupieżu to jakaś łże-prawica. Ale legenda pozostała. Obciachowi zresztą byli nie tylko politycy prawicy, lecz przede wszystkim ich zaplecze medialne i elektorat. Pamiętamy wszyscy te żarciki premiera Tuska z moherowych beretów, te kpiny z tych nieporadnych staruszków mamroczących coś o Polsce. Uch, matko, jakież to było obciachowe. A te prawicowe media! Bólu brzucha można było dostać ze śmiechu, przeglądając te ulotki patentowanych wariatów i pospolitych szaleńców. Oj tak, były czasy.

Notabene, kiedy kilka lat temu zażartowałem sobie z nowej elity „Alfabetem leminga", reakcją było oburzenie, że z nich drwię. Ci wyluzowani, pełni poczucia humoru i dystansu do siebie bohaterowie poczuli się potwornie dotknięci. Bo szydzić można było tylko ze staruszek z różańcami w ręku, kpina z leminga z ajfonem w dłoni była już przestępstwem.

Wszystko to jednak zmiotła rewolucja 2015 r. Najpierw się okazało, że obciachowy jest wąsaty Bronek, a na propsie wyluzowany Andrzej. Potem nastąpił kopernikański przewrót i świat stanął na głowie. Księżniczka na opak się wywróciła, że zacytuję mistrza.

„Gazeta Polska" (nie czepiajcie się, piszę o was, boście najstarsi), ten rezerwat oszołomskiej fauny i flory, nagle sławi reformy, pisze wyważone komentarze w trosce o wzrost gospodarczy, dywaguje o różnych aspektach polityki zagranicznej. Prawicowy portal numer jeden pełen jest tekstów, z których pobrzmiewa to urocze poczucie moralnej wyższości nad tamtymi. Tak, znamy to. Tak rodził się ROAD.

W tym samym czasie umiłowana „Wyborcza" pogrąża się w amoku takim, że żaden lekarz tu nie poradzi. Wicenaczelny sypia nocą w budce kempingowej pod kancelarią premiera (autentyk!), a redakcja odlatuje w ślad za autografem Michnika na Tytana i tyle ich widać. Hasło „Zabierz babci dowód" nadal obowiązuje, tyle że teraz bije w elektorat oświecony, który wziął się i postarzał. Osobliwą egzemplifikacją tego procesu były demonstracje KOD, na których rozhisteryzowanym babciom spadały bereciki, a młodzieżówka tej schodzącej organizacji była zdrowo pod pięćdziesiątkę.

Spotykam ostatnio przy różnych okazjach ministra K. z poprzedniego reżimu. Wzrok nieobecny, resztki włosów rozwiane, ruchy chaotyczne. Nie, jest trzeźwy, tylko podniecony. „Polska upada!" – przywitał mnie wrzaskiem, łapiąc za rękę pewnego razu, i od teraz staram się przejść na drugą stronę ulicy, kiedy tylko majaczy mi jego sylwetka. Jak to zwykle z byłymi dygnitarzami bywa, nie wiadomo, czym się zajmuje i z czego żyje, ale wiadomo, czym zionie. Nie da się z nim porozmawiać, nawet wychodząc z kina, bo każdy film, który oglądał, był o Kaczyńskim. Serio. Tak, obsesja, szaleństwo w postaci klinicznej, ale to nie przypadek jednostkowy, tylko wzór postawy, ich jest cały legion.

Można by się teraz radować z tego odwrócenia ról, odetchnąwszy pełną piersią, pokpić z wariatów. Ale może nie? W końcu los może się odwrócić i znów to my wylądujemy w Tworkach?

robert.mazurek@hotmail.com

Fot. Andrzej Wiktor

Skarb, nie żona



Jerzy Jachowicz

Panie Prokuratorze, drogi Feliksie,
pozwalam sobie na ten drugi zwrot, mając w pamięci uroczy wieczór przy grillu, po tym jak wspólnie z Pana małżonką wodowaliśmy nowoczesny jacht ziemi koszalińskiej „Dar Donalda", a Pan razem z moim Zenkiem siedział do późnej nocy nad wyborczą strategią do samorządu.

Będę szczera. Nie mogę jeść, spać. Życie przestało sprawiać mi radość. Po brutalnej rewizji byłam bliska załamania. To był wielki koszmar. Ci z CBA zaraz po zabraniu Zenka zabierali srebrne łyżki, potem posrebrzane widelce. Na końcu jego zegarki. Chcieli też wziąć ścienny. Przekonałam ich, że mój. Szukali obcych metek i rachunków. Mówili coś o jakiejś Chorwacji. Jak znaleźli rachunki z chińskiej restauracji na Florydzie, rzucili z pogardą na podłogę. Zrobili prawdziwą demolkę. Musiałam cały czas uważać, żeby czegoś nie podrzucili. Choćby podziemnych ulotek antypisowskich. Albo fałszywych nagrań z restauracji Sowa & Przyjaciele jako dowodów oskarżenia. Nie chciałam, żeby zrobili ze mnie drugą Blidę.

Nie mogę pojąć, jak mogliście dopuścić do władzy tych z PiS. Za nimi stoi Rydzyk. To jego zemsta. Domyślam się za co. Byliśmy w Toruniu, jak zbierał na geotermię. Zenek był zmęczony po całej nocy omawiania spraw partyjnych z aktywem. Pomyliło mu się. Zamiast dać na tacę, wziął z niej 10 zł. Kiedy chciał zwrócić, tego z tacą już nie było. Naprawdę. Znam przecież Zenka. Od obcego nigdy by nie wziął. On taki ostrożny. A tu się okazało, że wszędzie były kamery.

Jakby nieszczęść było mało, doszły poważne kłopoty z finansami. Trzeba dać adwokatom, mnóstwo dodatkowych wydatków, paczki żywieniowe. Zenek ma delikatny żołądek, tak jak charakter. Brakuje mi wpływów z dzierżawy mieszkania od dziewczyn. Kiedy Zenek im wynajmował, przedstawiły się jako tancerki baletowe, które koncertują na prywatnych imprezach. Ręczył za nie. Mówił: „Złota żyła. Mają sponsorów, zapełniony plan występów". A teraz okazały się kim innym. W dodatku nie płacą.

Zenek tak ufał ludziom. Jak można mu dziś pomóc?

CO MNIE WZRUSZA I DENERWUJE

Pszczoła, pszenica



Katarzyna Łaniewska

Spotkania kandydatów na prezydenta miasta stołecznego Warszawy (którzy ponoć jeszcze oficjalnie nie wystartowali) z ewentualnymi wyborcami przypomniały mi pewne zdarzenie sprzed kilku lat.

Warszawski tramwaj dość zatłoczony. Siedzi dama, na kolanach trzyma dość dużą siatkę dojrzałych jabłek. Pochyla się nad nią charakterny facet i mówi: „Te, Ziuta, patrz, no, to mają być warszawiaki, przecie to Zielonka, Gołąbki, Radzymin. Chyba że jak ja – pszczoła, pszenica, nie". „Geniuś – mówi niewiasta – jaka pszczoła, pszenica?". „No, wyjątek w pisaniu, bo ja jestem warszawiak z dziada pradziada, z czwartej kondygnacji, chociaż z Targówka".

Ta typowo warszawska rozmowa przypomina mi się, jak teraz zaczynają się debaty, kto ma prawo nazywać się warszawiakiem, a kto jest tzw. słoikiem. Rzeczywiście tych warszawiaków, patrząc po swojej kamienicy, już nie ma. Wprowadzałam się tu jako najmłodsza, teraz jestem najstarsza.

Jestem warszawianką, tak, choć urodziłam się w mieście Łodzi. Jako sześciolatka świadomie byłam już w Warszawie. W Warszawie skończyłam szkoły, tu przeżyłam pierwszą miłość, tu wychowała się moja córka. Jestem warszawianką – działałam społecznie jako radna, kiedy paradoksem było działanie, bo ludzie chcący pracować w Warszawie musieli mieć meldunek w tym mieście, a meldunek warszawski dostawali ci, którzy mieli tu pracę. Naszym wynagrodzeniem był bilet miesięczny. Nauczyłam się wtedy rozmawiać z wielkimi i starałam się coś załatwiać. Walczyłam o pozostawienie technikum teatralnego. Walczyłam o Nagrodę m.st. Warszawy dla Mieczysława Mileckiego. Kłóciłam się z ludźmi, którzy zmieniali poglądy zależnie od okoliczności.

Doczekałam się nagrody bardzo dla mnie cennej – Nagrody m.st. Warszawy. Jestem z niej dumna. Jako warszawianka zabieram głos w sprawach mojej stolicy i będę wybierała. I żeby ten wybór był jaki taki, to mam już kandydata, na którego chcę głosować.

To koniec moich przemyśleń – warszawianki, która podczas studiów sadziła drzewa na olbrzymim skwerze zieleni wokół Sejmu. Liczę, że Warszawa będzie mądrzejsza i piękniejsza, a przede wszystkim dumna z ludzi, którzy będą nią zarządzać i nie pozwolą na to, co działo się w Warszawie przez ostatnie osiem lat.

eprasa.pl d83cf5c87b



TRENDY I OWĘDY

Szwed na barze

Nie wszystkim konkurs Eurowizji przyniósł rozczarowanie



Ryszard Makowski

Nie wszystkim konkurs Eurowizji przyniósł rozczarowanie.

Oto, jak swój udział wspomina w jednej z gazet nasz reprezentant Andrzej Gromala, czyli DJ Gromee: „Jednak muszę też powiedzieć, że po tym, jak odpadliśmy, byliśmy w klubie, gdzie było dwa i pół tysiąca osób. I nagle okazało się, że wszyscy znają i nas, i piosenkę. I wszyscy z nami zaczęli ją śpiewać, kiedy Łukasz (Szwed Lukas) stanął na barze i ją zaintonował. To było niezwykłe i dało do myślenia o tym, czy była to porażka". Jaka porażka? To ogromny sukces, by w imieniu Polski wysłać do Lizbony ledwo śpiewającego Szweda. Podchmielonej publice na afterku entuzjastycznie się podobał.

Eliminacje do Eurowizji przebiegły u nas jak zwykle w enigmatyczny sposób. TVP zaaranżowała pozór, że to telewidzowie decydują. Wybrać jednak mogli z dziesiątki, którą im podsunięto. Z 260 zgłoszeń macie te kawałki. Dlaczego akurat te? Nie wiadomo, bo utwory nie zachwycały. Potem były esemesy. Ileś przyszło. Ile? Nie wiadomo. Ostatecznie zdecydowało jury i zwyciężył 1 pkt polsko-szwedzki duet Gromee feat. Lukas Meijer.

Do artystów trudno mieć pretensje. Każdy chce wygrać. Zasadnicza kwestia: dlaczego metody kwalifikacji proponowane od lat przez TVP są tak mało skuteczne? Czy widzowie nie mogą mieć wglądu we wszystkie zgłoszenia? Umieszczenie nawet 260 piosenek w internecie nie jest trudne. Dajmy rzeczywiste szanse wyboru tym, do których piosenki są kierowane. To jest autentyczne jury, nieuwikłane w żadne toksyczne układy.

eprasa.pl d83cf5c87b

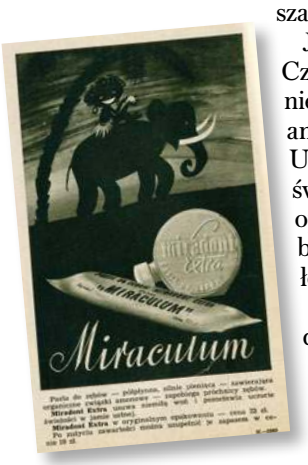
Zawistowski prezentuje: Gazprom



Wycinki z przeszłości

Jeden z czytelników zapytał nas, dlaczego w tak lubianych przez niego „Wycinkach z przeszłości" nie sięgamy do prasy z okresu PRL. Czy to z powodów ideologicznych? Odpowiadamy: nie, lecz prawda jest taka, że trudno odsączyć prawdę od fałszu w mediach z tego okresu. Ale dobrze – czytelnik chce, czytelnik dostaje! Oto w „Przekroju" z maja 1960 r. odnajdujemy ciekawą reklamę, specyficzną zresztą w ogóle formę w prasie peerelowskiej, bo w warunkach gospodarki socjalistycznej towar rzadko naprawdę szukał nabywcy.

To reklama pasty do zębów Miradont Extra. Rysunek przedstawia Murzynka na słoniu. Chłopcu bieleją zęby w kontraście do czarnej skóry. I tu właśnie tkwi gwóźdź: dziś reklamę uznano by zapewne za rasistowską, a jej publikacja na każdą firmę ściągnęłaby kłopoty. Odwoływanie się do koloru skóry jest dzisiaj uznawane za co najmniej niesmaczne. Zresztą kiedy niesie z sobą pogardę, słusznie. Każdy człowiek zasługuje na szacunek.

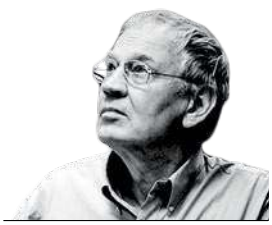


Jak producent zachwalał Miradont Extra? Czytamy: „Pasta do zębów – półpłynna, silnie pieniąca – zawierająca organiczne związki amonowe – zapobiega próchnicy zębów. Usuwa niemiłą woń i pozostawia uczucie świeżości w jamie ustnej". Ciekawostką było opakowanie – plastikowe, sztywne, można było uzupełnić je „zapasem", w cenie o połowę niższej.

Jak widać, same hasła reklamowe tak bardzo się nie zmieniły.

(mk)

W oczach bullterierki Brandy



***Leszek* Długosz**

Czy to konieczne, taka asysta?
Ledwie papiery porozkładam
– już hop, na kanapie
Za stołem mamy gościa?
Czy zaproszona?
Czy to tak ładnie w nie swoje światy
Nos bez żenady wtykać
– Śledzić pióro
Z politowaniem patrzeć, jak co chwila
Wzrok do sufitu unoszę
– Łupy polowań moich stamtąd
Do kajetu jak zapędzam
– W strofkach zamykam?

Rozumiem, wiem, co tym myślisz
– Kość to kość
Wiatr to wiatr
Trawa i przestrzeń – istność konkretna
Wystarczająca do pochwycenia
– Ech tak rozpędzić się we własnym żywiole
Jak Alfa Romeo
Przez Lasu Wolskiego wykroty pomknąć
Wytarzać się
Do ochrypnięcia się wy-szcze-kać
To radość, życie
Samo m i ę c h o życia!

A tu?... Mgławice
Zaświaty chwiejne
Niejasne dreszcze jakiejś tam ponoć
Me-ta-fi-zy-ki
Mój Panie, wiesz, co o tym myślę?
Nie szczeknę. Zmilczę w duchu
(Z duszą, podobno u mnie wątpliwości
Kłopot?)

Krótko więc – po co to wszystko?
I ja zapytam
– Czy to konieczne tyle ślęczeć?
Raz by jak trzeba na to machnąć
Poszłoby się
W porządku przez świat ustalonym:
– Ja przodem
Pan z tyłu
– Niechby i w alejki
Niechby i na smyczy...

Moglibyśmy sprawdzić, czy nie ma nas tam
W dalszej jeszcze dali?
A nie tu –
Godzinami wygniatać krzesło
Do świtu na papierze toczyć bitwy
Kreślić wzdychać
– Kreślić wzdychać...
I kość niezgody
Mieć z tego ledwie
Na papierze
Ot, wielkie mi pożytki

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl d83cf5c87b

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Zasób limitowany

Cała idea liberalizmu polega na tym, by zmian nie przeprowadzać w sposób dogmatyczny, by uczyć się na błędach, by negocjować każde posunięcie, by starać się od kompromisu do kompromisu podążać do przodu. Bez utopii". To słowa prof. Jana Zielonki z zamieszczonej w jednym z dzienników rozmowy na kanwie jego nowej książki „Kontrrewolucja. Liberalna Europa w odwrocie".

Kompromis i w życiu prywatnym, i w polityce (zarówno krajowej, jak i międzynarodowej) jest niezbędny. A dziś niezbędny jak może nigdy wcześniej. Ale czy można negocjować każde posunięcie?

„TRANS" I „INTER"

Wystarczy przyjrzeć się słowom, za pomocą których opisujemy dzisiejszą cywilizację. Pełno tu określeń typu „inter" oraz „trans". I chociaż bardzo wiele współczesnych zjawisk trudno ująć w spójne, całościowe teorie, to te dwa przedrostki: trans- i inter- wydają się chwytać sedno tego, co się dzieje.

„Trans" często kojarzy się z odmiennym, odrębnym od „normalnego" stanem świadomości. Przedrostek dodany do rzeczownika oznacza, że jakiś obiekt przekroczył swoje wyjściowe ramy. I tak oto mówimy coraz częściej o transnarodowości, transhumanizmie, transseksualizmie, transgraniczości, transgeniczności itd.

Te pojęcia jak w soczewce ukazują tętno współczesnej kultury, społeczeństwa, polityki, a nawet gospodarki.

„Transowość", owo przekraczanie, tworzenie odmienności, stale powstające pola interdyscyplinarności, wszystko, co dzieje się na styku, na granicach, obszarach niedookreślonych, wymaga nieustannego kompromisu – ciągłego uzgadniania, dostosowywania się, ustalania. Zatem polityka kompromisu to cenna zdobycz cywilizacyjna – dzięki negocjacjom można minimalizować w życiu społecznym przemoc. Tu się z prof. Zielonką zgadzamy. Ale...



Kompromis nie jest zasobem niewyczerpanym. Jak wyobrażają sobie państwo kompromis polegający na pogodzeniu prawa szariatu z prawami kobiet i wolnością obywatelską?

POETA WIDZI INACZEJ

Kwestionujemy przekaz badacza Zielonki, sięgając po słowa poety Tymoteusza Karpowicza: „I nie da się otworzyć wszechświata szerzej niż ludzkich ramion". Jak rozumiemy to obrazowe zdanie?

Otóż można deklarować otwartość, tak jak w zachodniej części Europy ongiś zadeklarowano politykę multikulti, ale nie można dać z siebie więcej, niż jest się w stanie dać. Każdy człowiek ma swoje ograniczenia. Każda instytucja i każde społeczeństwo również.

Siłą swojej woli i najlepszych chęci, nawet wspartych przez kosztowne programy adaptacji społecznej, nie można spełnić obietnicy multikulturowości wobec zbiorowości, które nie są na to gotowe. Tak jak nie można w pełni wyczyścić naszego umysłu z jego zaczepnych odruchów.

Gdy budujemy nowy, demokratyczny ustrój i wychodzimy z autorytaryzmu, nie można zadeklarować niepamięci: robimy grubą kreskę i nie pamiętamy zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy starego reżimu. Ludzkiej boleści nie da się wygumkować.

WYCZERPANIE KOMPROMISU?

W demokracji trudno wyobrazić sobie ład społeczny bez kompromisów łagodzących konflikty. Jednak kompromis to zasób limitowany. Kompromis słabo się sprawdza, gdy docieramy do poziomu sporu o wartości fundamentalne, o kategorie podstawowe jak dobro i zło. Wprawdzie nieraz wybieramy tzw. mniejsze zło, ale nie zyskujemy w ten sposób trwałego fundamentu porozumienia czy spokoju duszy.

Kompromis nie jest zasobem niewyczerpanym. Jak wyobrażają sobie państwo kompromis polegający na pogodzeniu prawa szariatu z prawami kobiet i wolnością obywatelską?

Nawet w sprawach mniej fundamentalnych tak bardzo przywykliśmy do tego, że niemal wszystko w życiu można nieustannie negocjować, że i tu nierzadko kompromisy przestały rozwiązywać problemy. A poza tym często przedmioty kompromisu już są rozmyte (jak współcześnie rozumiemy płeć, rodzinę; kiedy zaczyna się życie ludzkie?). Zatem jak ma wyglądać kompromis, skoro często nawet nie umiemy się dogadać co do wyjściowych ustaleń. Na dodatek staliśmy się bardzo niecierpliwi, rozwiązań chcemy natychmiast. Któż dziś lubi czekać, trwać w niepewności; a kompromis potrzebuje czasu. Nic dziwnego, że różne sfery życia społecznego znalazły się w kryzysie. Że liberalizm, który miał chronić nas od utopii, sam znalazł się w głębokich tarapatach.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

12/0318/F | 43/0418/F

eprasa.pl d83cf5c87b

PIELGRZYMKA
DO OJCA PIO

POD PATRONATEM TYGODNIKA KATOLICKIEGO „NIEDZIELA”

7-16.10.2018 r.

- Asyż - Rzym - Watykan
- Monte Cassino Neapol - Pompeje
- Pietrelcina - San Giovanni Rotondo
- Lanciano - Manoppello - Wenecja

CENA: 2300 zł + 120 euro

www.pielgrzymka.niedziela.pl

REDAKCJA TYGODNIKA KATOLICKIEGO „NIEDZIELA”
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa
tel.: 34 369 43 25 tel. kom.: 506 744 552

TRADE & TRAVEL COMPANY SP. Z O.O. :
ul. Piotrkowska 92, 90-103 Łódź
tel./fax: 42 630 48 66, 42 630 48 68
42 630 48 69, 42 636 98 38, 42 633 06 74
biuro@konsorcjum.com.pl

ul. Koszykowa 53, 00-659 Warszawa
tel./fax: 22 622 82 96, 22 622 46 82
biurowaw@konsorcjum.com.pl

Więcej informacji o obchodach Roku Jubileuszowego o. Pio:
www.kapucyni.pl



ORGANIZATOR:

niedziela

KONSORCJUM.PL TRADE & TRAVEL COMPANY

PATRONATY HONOROWE NAD ROKIEM JUBILEUSZOWYM O. PIO:

KONFERENCJA EPISKOPATU POLSKI

PATRON:

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

eprasa.pl d83cf5c87b

ZERRO TRUDNOŚCI
MULTI MOŻLIWOŚCI

Zmierz się w grze o nawet

25 000 000 zł!



Multi Multi plus

Graj w punktach

LOTTO